

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 6/333

1975



• *« La Culture »* • *Revue mensuelle* •

SENS ŻYCIA - WYWIAD G. SUFFERT'A Z P. CHAUNU

L. KOŁAKOWSKI :

O NAS SAMYCH

N. N. z WARSZAWY :

WYPISY I PRZYPISY O ROSJANACH

Z. OSSOWSKI :

NEOSTALINIZM BEZ TERRORU

SPIS RZECZY

Georges Suffer — wywiad z prof. Pierre Chaunu:	<i>Sens życia</i>	3
Maria Kurecka:	<i>Tomasz Mann</i>	14
Czesław Miłosz:	<i>Zdania</i>	22

CO ROBIĆ?

Leszek Kołakowski:	<i>O nas samych</i>	26
Jan Zwada:	<i>Poprawki, uzupełnienia, propozycje</i> ..	36

ARCHIWUM POLITYCZNE

Juliusz Mieroszewski:	<i>Materiały do refleksji i zadumy</i>	45
Brukselczyk:	<i>Widziane z Brukseli</i>	57

K R A J

Zygmunt Ossowski:	<i>Neostalinizm bez terroru</i>	66
—	<i>Wiadomości</i>	71

SĄSIEDZI

N.N. z Warszawy:	<i>Wypisy i przypisy o Rosjanach</i>	75
Karel Klatovsky:	<i>Czeska kultura lat ostatnich</i>	85
Adam Kruczek:	<i>W sowieckiej prasie</i>	90
M. D.:	<i>Kronika ukraińska</i>	96
W. S.:	<i>Kronika litewska</i>	97

SPRAWY I TROSKI

Grażyna Nowak:	<i>List z Londynu</i>	99
Ks. Wojciech Sojka:	<i>Amerykańska Częstochowa</i>	104

KRONIKA KULTURALNA

Maria Danilewicz Zielińska:	<i>30-lecie polskiej literatury na obczyźnie</i>	110
Peter Raina:	<i>Dedecius i Lisiecka o literaturze emigracyjnej</i>	113
—	<i>„Modern Poetry”</i>	116

K S I A ̇ Z K I

Wiktor Sukiennicki:	<i>„Mała rosyjska mięścina Wilno”</i>	117
Władysław Jaworski:	<i>Sprawa życia i śmierci</i>	126
Adam Kruczek:	<i>Krótko o książkach</i>	129
Maria Hirszowicz:	<i>„Normalizacja”</i>	133
Janina Katz-Hewetson:	<i>A ten dom — to kraj cały</i>	137
M. Broński:	<i>Metateza Marka Głogoczowskiego</i>	139



Zofia Hertz:	<i>Humor Krajowy</i>	141
--------------	----------------------------	-----



—	<i>Wydarzenia miesiąca</i>	142
---	----------------------------------	-----



Od Redakcji:	<i>Zmiana cen wydawnictw Instytutu Literackiego</i>	153
--------------	---	-----



M. Erdman, B. Wanke: Redakcja:	<i>Listy do Redakcji</i>	158
	<i>Odpowiedzi Redakcji</i>	159

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Czerwiec - Juin

1975

INSTITUT



LITERACKI

NOTY BIOGRAFICZNE

Władysław JAWORSKI urodził się we Lwowie w roku 1916. W latach 1935-39 studiował filozofię u profesorów Kazimierza Ajdukiewicza i Romana Ingardena na wydziale humanistycznym U.J.K. Jego pierwsze utwory (poezje i recenzje poetyckie) pojawiły się przed wojną w „Sygnałach”. Jego tom wierszy pt. „Pożegnanie niewidzialnej” ukazał się w roku 1939 we Lwowie (nakł. Krawczyńskiego). Lata wojenne spędził jako więzień w Rosji Sowieckiej i jako żołnierz 2-go Korpusu we Włoszech. Po wojnie wyjechał z Anglii do Australii, gdzie po odbyciu na nowo studiów filozoficznych uzyskał w roku 1961 stopień B.A. (Hons.) w uniwersytecie sydneyjskim. Obecnie mieszka w Londynie i ogłasza w prasie emigracyjnej artykuły, przeważnie na tematy literackie.

Maria KURECKA — tłumaczka, głównie literatury niemieckiej (Goethe, Heine, W. Raabe, E. Möricke, A. Seghers, H. Hesse, R. Musil, nowele i eseje T. Manna i in.). Współtłumaczka „Śmierci Wergilego” H. Brocha, „Homo ludens” J. Huizingi, „Doktora Faustusa” T. Manna. Za przekład „Doktora Faustusa” — z Witoldem Wirpszą — nagroda ZAIKS'u w 1961 r. oraz w 1967 nagroda Niemieckiej Akademii Literatury (Darmstadt). Autorka monografii J. S. Bacha — „Czytelnik”, Warszawa, 1 wydanie 1952, 2 wydanie 1955, duńskiego bajkopisarza Andersena, PIW, Warszawa, 1965, eseju o zagadnieniach przekładu literackiego: „Diabelne tarapaty”, Wyd. Poznańskie, Poznań, 1970.

WPLATY NA FUNDUSZ « KULTURY »

Andrzej Brzeski, Davis, Cal. (USA), po raz dwudziesty siódmy	F. 85,00
Dr J. S. Dobrucki, Mississauga, Ont. (Kanada), po raz jedenasty	F. 105,00
Czesław Gładyszewski, Sherbrooke, Que. (Kanada)	F. 100,00
Zbigniew Jasiński, Bermangui South, N.S.W. (Australia), po raz piąty	F. 66,00
Klub New Horizon, Toronto, Ont. (Kanada)	F. 120,00
Bożena Teisler, Toronto, Ont. (Kanada), po raz siódmy	F. 100,00
Tadeusz Wyrwa, Paryż — w piątą rocznicę śmierci śp. Ojca ..	F. 150,00
Bezimiennie z Abuquerque, N.M. (USA), po raz szósty	F. 20,00
Bezimiennie z Santa Barbara, Cal. (USA), po raz drugi	F. 44,00

DZIĘKUJEMY!



Sens życia

PRAWDZIWA DEKADENCJA — TO ŚWIAT STARCÓW

Kontynuując ankietę na temat znaczenia nadawanego egzystencji ludzkiej przez pokolenie 1975, Georges SUFFERT zadał szereg pytań jednemu z wybitniejszych historyków francuskich Pierre'owi CHAUNU z paryskiej Sorbony, dyrektorowi Ośrodka Badań Historii Kwantytatywnej Uniwersytetu w Caen. Trudno wytlumaczyć w kilku słowach, kim jest Pierre CHAUNU: w każdym razie, jest to osobistość pełna wigoru, pasji — a przy tym niezmiernie metodyczna. Gdy np. wyczuł intuicyjnie że Sewilla w XVI i XVII wieku była jednym z centrów światowych, rzucił się na ten temat i opracował za jednym zamachem („Sewilla i Atlantyk”) dwanaście tomów: 7343 strony. Do głównych jego prac należą „Cywilizacja Europy klasycznej”, „Cywilizacja Europy wieku Oświecenia” (Arthaud). W roku ubiegłym ukazały się: „Historia — nauka społeczna” (Sedes). A w kilka tygodni potem: „Od historii do przewidywania” (Laffont). Autor, którego może należy czytać, zanim go cały świat odkryje.



Georges Suffert: — Dla pana, jednym słowem, wszystko ma sens?

(Mój rozmówca kręci się na fotelu i szuka nie wiadomo czego w teczce wypchanej po brzegi, z którą się nigdy nie rozstaje; przeciąga się i spogląda na mnie z odrobiną humoru).

Pierre Chaunu: — Gdy się ten wywiad ukaże będzie już Wielka-noc, czy tak? „Najwyższa z idei, do których doszedł człowiek

w ciągu swej długiej historii” — powiedział kiedyś Malraux, który — nawiasem mówiąc — nie był człowiekiem wierzącym. Do pewnego stopnia przyznaję mu rację: uczynić Syna Bożego z wyczekiwanego Mesjasza; uczynić z Niego przedmiot jedynej godnej Ojca ofiary — a więc Zbawiciela, — to cała seria tematów fascynujących każde myślące stworzenie. Chodzi mi jednak o co innego: jest to kluczowy moment Historii, krótki ciąg wydarzeń ustalonych w czasie i przestrzeni wyjaśniających i zwiększających znaczenie przebiegu przygody ludzkiej i nadających wagę choćby memu własnemu życiu...

G.S.: — Pan wygłasza kazanie?

P.C.: — Dlaczegożby nie? Przyznam się panu do czegoś. Zdarza mi się to często w niedziele. Śpieszę z pomocną ręką — a raczej z pomocnym głosem — pastorowi mojej parafii...

G.S.: — A ja uważałem pana za historyka.

P.C.: — Dlaczego widzi pan w tym sprzeczność? Zawodowo wygląda na to, że jestem historykiem. Grzebię się w dokumentach, zakładam kartoteki, posługuję się maszynami do obliczeń, staram się odkryć serie wydarzeń, wykładam, a wreszcie, gdy odnoszę wrażenie, że odkryłem jakiś trop, zapisuję kilka kartek...

G.S.: — Kilka kartek? O ile się nie mylę ogłosił pan, w ciągu 25 lat, od 20 do 30.000 stron. W świecie specjalistów historyków ma pan wielbicieli i przeciwników, jak zresztą każdy z nas. Cieszy się pan powszechnym szacunkiem. Szeroka publiczność nie dostrzega pana, gdyż ma pan reputację pisarza trudnego, co zresztą nie jest zgodne z prawdą. Ale może dlatego nie jest pan w tej chwili modnym autorem...

P.C.: — To nie ma znaczenia. Istotne jest to, by widzieć nieco jaśniej.

G.S.: — Zmartwychwstanie czy historię?

P.C.: — I jedno i drugie. Ale już widzę do czego pan zmierza. Chce pan bym zmieszał wszystko, sporządził intelektualną papkę o trudnym do rozpoznania smaku, by dać panu sposobność do protestów. Mowy nie ma o tym, bym sprawił panu tę przyjemność. Chce pan, jak rozumiem, mówić ze mną o sensie ludzkiej przygody. Czy tak? Podchodząc racjonalnie do zagadnienia? Czy jesteśmy ciągle w zgodzie? W takim razie jestem do pańskiej dyspozycji. I stawiam sprawę jasno: uważam, że historyk, wstępując się w bieg wydarzeń na przestrzeni sześciu tysięcy lat, jest nieuchronnie uderzany zjawiskiem logiki całości. Oczywiście, jeżeli będzie pan wodzić nosem po dywanie, nie dojrzy pan

jego wzoru. Jeśli jednak oddali się pan o kilka metrów, deseń stanie się w pełni widoczny. Otóż historia ludzkości jest takim dywanem a my zaczynamy dostrzegać wspaniałe motywy jego rysunku.

G.S.: — A więc dla pana „nieskładność, zgiełk i furia” są tematami literackimi?

P.C.: — Nic podobnego. Złożmy należny hołd Szekspirowi. Historia, na pierwszy rzut oka, to całe taczki niekonsekwencji, głośnie a jałowe hałasy, oceany przemijających pasji. Ale co dalej? Całość trwa we wspaniałym bogactwie. Jest rzeczą zdumiewającą, że taki chaos mikroskopijny przeobraża się w taki ład makroskopiczny.

G.S.: — Czy znów nie wyłania się tu człowiek wierzący?

P.C.: — Pan mnie zbija z tropu. Innym razem będę mówił z panem o sprawach wiary. Dziś zabieram głos jako historyk. Pozwoli pan że naszkicuję plan abyśmy byli zgodni. Pracuję nad dziejami sześciu tysięcy lat, ponieważ jest to pokaźny odcinek czasu i ponieważ wiem niewiele o tym, co działo się wcześniej. Człowiek oczywiście już istniał i to od dłuższego czasu. Ale nie wziął jeszcze rozpędu. Niespodzianie i mniej więcej w tym samym czasie (około 2.000 lat temu) człowiek skupia się w trzech punktach planety. Słowo „skupia się” nie oddaje zresztą należycie istoty rzeczy. Powiedzmy po prostu, że mamy pojęcie jak tworzy się cywilizacja: co najmniej milion ludzi skupionych na przestrzeni względnie ograniczonej, znających uprawę roli a w szczególności zboża, zdolnych do porozumiewania się na dosyć wysokim poziomie i wynajdujących jakąś formę języka pisanego. A zatem cztery elementy.

Proszę zauważyć, że dwa z tych elementów objawiały się sporadycznie to tu, to tam. Ale to nie wystarczało. Żeby dojść do pisma, tego kroku decydującego o zwycięstwie nad zagładą (ponieważ dzięki pismu wiadomości mogą być łatwiej przekazywane i zachowywane), niezbędny jest warunek równoczesnego spełnienia trzech innych wymagań. Cud — wybacz mi pan to wyrażenie — zdarza się zawsze na skraju pustyni. W pierwszym rzedzie — „urodzajny półksiężyc” (Egipt, Mezopotamia, Syria), północne Chiny, podnóża Himalajów. O ile mi wiadomo nie było nigdy czwartego epicentrum. I podkreślam z całym naciskiem, że nie było łączności między tymi zonami. To są wyspy otoczone tajemnicą. Jak dla nas niebios. Niech mi pan wierzy, że mieszkańcy północnych Chin wiedzieli mniej o tym, co istniało za morzami i górami, niż my wiemy o planetach.

G.S.: — Pewni ludzie kwestionują pańską wersję definicji terminu „cywilizacja”. Ich zdaniem jest ono zbyt pojemne, a przez to „mętne”.

P.C.: — Znam tę piosenkę. Z tym jednak zastrzeżeniem, że uznaję w pełni niedoskonałość tego terminu. Domagam się jednak, aby mi wskazano inne słowo określające całokształt zjawisk, które panu opisałem. I żeby było dokładne, skodyfikowane i niekwestionowane. Zwracam uwagę, że świat śródlądowy ma nad Chinami i nad Indiami u swego początku 2.000 lat przewagi. To nie bagatela. To oznacza, że początek tego, co dziś nazywamy cywilizacją planetarną jest ustalony w miejscu i w czasie: dolina Nilu, doliny Tygrysa i Eufratu, dolina Jordanu itd.

G.S.: — I co dalej?

P.S.: — Dalej dzieje się wiele: powstają i giną imperia, królowie następują jeden po drugim, narody przemieszczają się, wędrują. Ale to jest piana na fali. Największe nasilenie przyływu oznacza okres, w którym rozszerzono zonę uprawy zboża. Dlaczego Chiny są nadal spóźnione? Ponieważ nie można nadrobić, zawrócić straconego czasu mimo osiągnięć na zatopionym polu ryżowym. Tam gdzie przemiany wydarzyły się wcześniej, człowiek żyje dłużej, robi dzieci, bierze w posiadanie przyrodę, mówi, liczy i rozważa. Spadek śmiertelności, zmniejszenie się groźby głodu, zwiększenie się liczby ludzi — oto trzy elementy, które wyrwywają człowieka ze stanu zwierzęcości. Wszystko to zresztą dzieje się bardzo powoli. Dziedzina Historii kwantytatywnej (to jest opierającej się na różnego rodzaju obliczeniach) da się rzadko zaprezentować przy pomocy spektakularnych wykresów. Ludzkość zwiększa się powoli, zakres jej wpływu porusza się ledwo, ledwo. Niech pan nie zapomina, że nie dalej jak dwieście lat temu, materiały używane do budowy domów pochodziły w 999 wypadkach na 1000 z perymetru nie większego niż 5 km. od miejsca siedziby. I ten stan rzeczy jest nadal ważny w Azji, Ameryce Południowej, w Afryce. W Europie — dwieście lat temu. To znaczy: niemal wczoraj. Człowiek więc porusza się powolutku...

G.S.: — A jednak odbywa się to z hałasem?

P.C.: — Są oczywiście zahamowania. Epidemie, wojny itp. Ale to wszystko znaczy mało dla historyka na długą metę. W rzeczywistości pomiędzy powstaniem tych trzech epicentrow a XV-ym wiekiem wydarzyło się niewiele...

G.S.: — Czy nie idzie pan jednak za daleko?

P.C.: — Uwaga! Pytał mnie pan jaki jest całokształt wzoru na dywanie. Świadomie opuszczam przeto niejedno, aby przyspieszyć te potężne grzmoty sejsmiczne, dochodzące spod ziemi a zwiastujące rzeczywiste przemiany. Historyk, który pomija w Europie wieki dwunasty i trzynasty nie może być traktowany poważnie. To są w sposób oczywisty dwa kluczowe momenty historii świata. Chrześcijaństwo zachodnie, które osiąga swego rodzaju doskonałość; krzywa produkcji zbóż, która dokonuje skoku naprzód zarówno z powodów klimatycznych jak i z powodu postępów metalurgii (żelazny lemiesz) — to ułatwia egzystencję. W tym samym czasie Indie i Chiny pozostają w tyle, — spóźnienie, którego nigdy nie nadrobą.

Przeskakuję więc świadomie do momentów o znaczeniu decydującym. Ale jestem skrupowany, jeżeli mam się tutaj trzymać faktów konkretnych. Dlaczego mam wybrać wiek piętnasty? Dlatego, że jest to początek „odniewolniczenia” świata. Ludzie po prostu opuszczali światy-wyspy, w których się narodzili i szli w poszukiwaniu przygody ku horyzontom. Oczywiście odkrywają przy tym inne epicentra: północne Indie i Chiny. I, co więcej, instalują się na olbrzymich obszarach których mieszkańcy nie zdołali dotąd wytworzyć tego co określam nazwą cywilizacji. Wstrząs jest potężny, ponieważ wszystko to dokonuje się na przestrzeni dwu stuleci: świat jest odtąd okrągły i znany. Rozpoczyna się okres porozumiewania się. Za cenę olbrzymich strat, których nie jesteśmy w stanie dokładnie obliczyć.

W każdym jednak razie Zachód rozpoczyna dzieło zjednoczenia planetarnego. To jest etap nieodwracalny.

G.S.: — Jak tłumaczy się to, że ludzie owej epoki narażają się na ryzyko nieznanego?

P.C.: — Zadaje mi pan kłopotliwe pytanie. Mógłbym odpowiedzieć, że zawsze istnieli awanturnicy. Ale mógłby pan odpowiedzieć i słusznie, że zjawisko nabiera znaczenia dopiero wtedy, gdy awanturnicy są dostatecznie liczni na to, by przetrwać trwałe kładki między światami-wyspami. Mogę panu poddać pewne wytłumaczenie. Na to by postępowała naprzód ekspansja ludzka (w sensie geograficznym, politycznym, ekonomicznym, religijnym — a wszystkie są powiązane w sposób nie do rozplątania) konieczne jest osiągnięcie przez poszczególne epicentra pewnego wystarczającego poziomu demograficznego. Sądzę, że można go ująć cyfrowo: 40 mieszkańców na kilometr kwadratowy osiadłych tam od około trzech stuleci. Poniżej tej cyfry jesteśmy jeszcze w świecie niejako szczepowym, niezdolnym do zorganizowania się, liczenia, przewidywania. I dopiero, poczynając od 40 miesz-

kańców na kilometr kwadratowy zaczyna się to, co nazywam *pełnym światem* — to jest światem nowożytnym. Inteligencja, niech pan nie zapomina, wiąże się z tą cyfrą jako minimalną. Gdy słyszę ataki pięknoduchów na miasta, mam ochotę grzmieć: nikt nie może twierdzić, że miasta są najdoskonalszą formą zamieszkania; ale jestem pewien, że ludzie odosobnieni, mało się komunikujący z innymi, nie wymieniający informacji i nie przekazujący dzieciom wiadomości przez siebie posiadanych, są skazani na pewną dekadencję. *Inteligencja jest zjawiskiem kolektywnym*. Oto co rzuca się w oczy historykowi. Ograniczam się tutaj do recepty na sporządzenie tego dość rzadko występującego majonezu cywilizacji.

G.S.: — Zaskoczę zapewne pana. Ale to co pan opisuje jest, być może, mniejszą niespodzianką niż to się panu wydaje. Ostatecznie, pamiętając o prawie wielkich liczb, czyż nie jest zjawiskiem normalnym, że powtarzanie się przypadków na dostatecznie wielkim dystansie czasowym kończy się narodzinami „żyznego półksiężyca”?

P.C.: — Wydaje mi się to zawracaniem głowy, ale brak mi argumentu, by wykazać panu, że rzecz ma się inaczej.

G.S.: — Wydaje się to panu zawracaniem głowy dlatego, że jest pan starym judeo-chrześcijaninem i ciągle jeszcze wierzy pan, że nasza planeta została stworzona dla człowieka.

P.C.: — Otóż to. Pan mi przykłada do brzucha lufę rewolweru antropomorfizmu. I to właśnie pan pobudza mnie do śmiechu! W chwili, gdy nasze współczesne pięknoduchy podniecały się tą nową negacją dwóch facetów stawiało pierwsze kroki na Księżycu i oglądało Ziemię. Może pan być pewien, że nie byli filozofami. Ale w owej chwili dla nich obu, mogę pana zapewnić, Ziemia była ich ojczyzną, statkiem rzuconym w nieskończoność czasu i przestrzeni. Nagle *zobaczenie* siedziby człowieka stało się czymś możliwym. W tej sekundzie — obojętne czy wierzyli czy nie wierzyli w Boga — stało się dla nich pewne: ich rodzaj podbił na dobre Ziemię i, co ważniejsze, na długo. Jedna jest tylko Ziemia, jak jedno jest morze Śródziemne. I albo będzie ona nadal zdatna do zamieszkiwania i w takim razie przygoda będzie miała ciąg dalszy, albo — gdyby przestała nim być — będzie znowu do wzięcia przez, czemuż by nie, np. owady; jednym słowem dywan będzie skończony. Wybaczy mi pan ten wyskok w stylu „science fiction”. Historycy są często uderzeni brakiem imaginacji u powieściopisarzy. Historia rodu ludzkiego jest fantastyczna a my wykrzywiamy się na nią. To mnie irytuje.

G.S.: — A co mogłoby sprawić katastrofę tego co pan nazywa przygodą ludzką?

P.C.: — To, co nazywam przygodą ludzką jest wyłonieniem się cywilizacji planetarnej. Wypadek bez precedensu bez możliwości odwrotu. Z drugiej strony nie da się zaprzeczyć, że istnieją zagrożenia. To nawet należy do dobrego tonu, by o nich mówić. Cóż za moda, rany Boskie! Co za potok idiotyzmów spada na nasze ramiona! Prawda miesza się z fałszem w jedno rumowisko: Klub Rzymski, M[assachusetts] I[nstitute] T[echnology], polucja, przeludnienie, wyczerpanie rezerw naturalnych, klęska głodu, lęk przed rokiem dwutysięcznym itp. Coś w stylu duchowego Średniowiecza. Ale mówiąc tak obrażam Średniowiecze. Oni nie dysponowali przecież naszymi środkami komunikacji, nie mieli laboratoriów i maszyn do liczenia. My posiadamy to wszystko i gadamy głupstwa.

Prof. Chaunu wstał, przeszedł przez pokój, wyciągnął z teczki Biblię i rzucił ją na stół. Najoczywiej wpadnie w szal. Gdyby przy moim fotelu był pas bezpieczeństwa, zapiąłbym go. Nie ulega wątpliwości, że nie znoszę naukowców niezdolnych do silnych wzruszeń. Lubię takich jak on: zapalonych, wybuchowych, spod znaku Wiktora Hugo.

G.S.: — A cóż takiego głupiego mówią?

Wbrew moim przewidywaniom zaczyna swą odpowiedź głosem spokojnym.

P.C.: — Jedną z rzeczy, których historyk jest względnie pewny, jest prymitywizm rozwiązania problemów dotyczących sposobów przekazu przedmiotów i idei. Jednym słowem teoria kręgów komunikacyjnych: aż do XVIII wieku, to jest praktycznie przez cały czas trwania historii ludzkości, ludzie żyli w kręgach o maksymalnym promieniu 5 km. 80-90 % wymian, wokół których oplatają się stosunki między ludźmi, rozgrywało się w tradycyjnym społeczeństwie pełnego świata wewnątrz tych kręgów. Tam znajdowano towarzyszy życia, materiały do budowy domostwa, produkty roślinne i zwierzęce, którymi się żywiono, miejsca kultu, w których święcono ciąg świtów i zmierzchów, życia i śmierci. A więc do tego czasu świat, krótko to ujmując, żyje pod znakiem auto-konsumpcji. Proszę o tym nie zapominać, jeśli chce pan rozumieć procesy historyczne.

Wokół tego pierwszego kręgu zarysowuje się drugi: nazwijmy go „małym krajem” (okolicą). Dajmy mu w przybliżeniu promień 40 km., — jest to odległość możliwa do przebycia w ciągu

jednego dnia, jeśli człowiek jest dostatecznie krzepki i maszeruje dość szybkim krokiem. W środku tego „małego kraju” leży coś, co pan dobrze zna: targ. Tam właśnie dostarczane są do wymiany produkty ze wszystkich krańców tego drugiego kręgu. Ale niech pan nie zapomina o tym, co powiedziałem wcześniej: przedmiotem wymiany na tych targach, do XVIII wieku, było najwyżej 10 % ogólnej produkcji.

Z kolei jesteśmy w trzecim kręgu. W tym, o którym mówi cały świat, gdy snuje się rozważania na temat imperiów, wojen, podbicia Ameryki Południowej przez Hiszpanię itd.: jest to obszar gospodarki wymiennej o wielkim zasięgu. Otóż obejmuje on 10 % z 10 %. Czyli po prostu 1 % produkcji światowej. Tak właśnie zarysowują się nasze powiązania planetarne. A skoro to co się odnosi do wymiany towarowej da się wymierzyć, czemuż miałyby być inaczej w zakresie idei? To jest cienka siateczka, która przekracza morza, gdy nie ma epidemii, ani wojny, ani burzy. A czym jest burza nad burzami? Raptownym spadkiem zaludnienia i związaną z nim nieodłącznie odmową udziału w życiu.

G.S.: — Otóż to...

P.C.: — A więc... Historyk w naszych czasach kończy prawie zawsze na tym, że zamienia się w demografa. Ponieważ dyscyplina ta daje najlepsze możliwości pomiarów. Tu operujemy już wykresami.

G.S.: — Ale tego, co działo się przed tysiącem lat nie widzi pan bynajmniej tak jasno...

P.C.: — O wiele jaśniej, niż to się panu może wydawać. Wybaczy pan: robimy postępy. To by jednak szło za daleko, gdybym chciał tłumaczyć to teraz. Przerzucmy się do najprostszyc stwierdzeń: świat się rozwija, inteligencja czyni postępy, kultura narasta gdy ludzie są liczni. Nic na to nie poradzę, tak to już jest...

G.S.: — Tak to było. Ale jakie ma pan dowody na to, że to co było jednym z warunków postępu nie stanie się jedną z przyczyn katastrofy? Tak myśli w chwili obecnej przytłaczająca większość tych, którzy sprawują władzę nad żyjącymi na świecie mężczyznami i kobietami...

P.C.: — To są wymysły anglosaskie, rozgłoszone przez O.N.Z., UNESCO, roztrąbione na cztery krańce świata przez te nowoczesne tam-tamy, które nazywamy dziś środkami przekazu (*mass-media*'mi). Niech Bóg mnie strzeże, bym miał negocjować, że człowiek powinien opanować rozrodczość! Ale mogę panu powie-

dzieć, że w tej chwili pod pretekstem uniknięcia przeludnienia, świat zmierza ku kryzysowi dość fantastycznemu — to jest po prostu — do świata starców. A to oznacza zagładę. Czy zna pan historię Indian amerykańskich?

G.S.: — Niech mi pan nie stawia kłopotliwych pytań. Słucham pana.

P.C.: — Gdy zdobywcy hiszpańscy przybyli do Ameryki Południowej było tam co najmniej 80 milionów Indian. Czy to mówi coś panu? W wieku szesnastym oznaczało to coś pomiędzy jedną piątą a jedną szóstą mieszkańców globu ziemskiego. Otóż to — znikli niemal doszczętnie. Po prostu znikli. To dziś jeszcze jest zagadką dla całego świata. Niech pan będzie tak dobry i nie mówi mi o kolonizacji. To nie tłumaczy wszystkiego. Pod wieloma względami była to obrzydliwość. Z drugiej strony była nieuniknionym etapem przejścia ze światów-wysp do świata planetarnego. Trudno zestawzić bilans końcowy. Kolonizatorzy nie działali w rękawiczkach. Ale nie było w ich mocy, by wytrzebić całą rasę. I nie chcieli tego, to było sprzeczne z ich interesami, nie mogli. A więc, cóż się stało? Ot, po prostu Indianie całymi społecznościami popełnili samobójstwo. Pewnego dnia przestali robić dzieci. Życie straciło dla nich urok. Może dlatego, że nie byli już ludźmi wolnymi. Może dlatego, że przestali wierzyć w bogów. W każdym razie wskaźnik rozrodczości malał prawdopodobnie z dnia na dzień w ciągu dwu stuleci. Nie ma nawet pewności czy zdawali sobie z tego sprawę. Ale po 50 latach na San Domingo nie było już Tainów. Czy pan uświadamia sobie od jakiego punktu maleje stopa rozrodczości?

G.S.: — Do czego pan prowadzi?

P.C.: — Otóż demografowie ustalili wskaźniki rozrodczości. Liczba 1 oznacza, że 100 kobiet w wieku rozrodczym rodzi 100 kobiet, które z kolei będą rodzić po dojrzeniu do odpowiedniego wieku. Powyżej jedynki ludność wzrasta! poniżej — maleje. Ale, jak się wydaje, istnieje wskaźnik tak niski, że nie można go już podwyższyć, jeśli utrzyma się przez 20 lub 25 lat. To jest ten punkt, do którego doszli Indianie w Ameryce: 0,7. A wie pan jaki jest wskaźnik dla obecnych Niemiec?

G.S.: — Niech pan mówi dalej.

P.C.: — 0,7. Od trzech czy czterech lat zbliżamy się do punktu krytycznego; czyż nie tak? Francja trzyma się względnie dobrze: 0,9. Ale niech pan zwróci uwagę, że jesteśmy już poniżej wskaźnika odnowy. Nie zdajemy sobie z tego sprawy, ponieważ jeste-

my dotąd pod działaniem wstrząsu jakim był *baby-boom*, którzy wstrząsnęli naszą planetą w latach 1940-1960. Ale *baby-boom* przeminął. Odplyw dotknął Stany Zjednoczone, Kanadę, Europę Zachodnią, demokracje ludowe, Związek Sowiecki, Chiny...

G.S.: — Chiny?

P.C.: — Chiny w pierwszym rzędzie. Jakkolwiek tam problem ten jest bardziej zawiły. Polityka ograniczania urodzeń dała wyniki tak wydatne, że rządzący Chinami zaczęli wpadać w panikę. I oni właśnie na konferencji w Bukareszcie pierwsi stawili czoło tym durniom Amerykanom, którzy wyobrażają sobie, że zmniejszając liczbę ludności staną się bogatsi. A przecież jest oczywiste że zbiednieją. Czemu we Francji nie odczuwamy skutków tego zjawiska? Dlatego, że mamy tutaj cztery miliony robotników emigrantów, z których wielu pozostaje na stałe i robi dzieci. Ale niech pan uważa! Rasizm jest nie tylko kwestią cnoty. To się da wymierzyć. Powyżej 10 % czarnych pomiędzy białymi lub białych między czarnymi (to jest absolutnie to samo) rasizm zaczyna się przejawiać. A więc emigracja nie przynosi z sobą rozwiązania sprawy.

G.S.: — To nie zmienia faktu, że w roku dwutysiącnym będzie nas siedem miliardów żyjących.

P.C.: — Co pan o tym może wiedzieć! Powtarza pan jak papuga to co powtarza cały świat. To się dziś nazywa nauką. Gdybym miał się z kimś zakładać, powiedziałbym, że cyfra ta będzie o wiele niższa, gdy bowiem krzywa urodzeń zaczyna się obniżać niełatwo jest ją podnieść. Pan mi odpowie na to, że to co Sauvy nazywa czarnym trójkątem Indii ma nadal stopę rozrodzności w okolicy 2,7. To prawda i to jest problem bardzo poważny. Ale w jakiej mierze katastroficzne przeludnienie Indii może być skompensowane przez niefortunne „niedoludnienie” Europy? Czy się to panu podoba czy nie Zachód od czasów sumeryjskich przewodzi. Nie przez imperializm: dla historyka jest to pojęcie mętne. Ale dlatego, że Zachód jest bardziej żywotny, ma większe zasoby kulturalne, więcej imaginacji. Skąd bierze się imaginacja? Z dzieci. Starzy nie mają jej zupełnie. Jeśli Europa przestanie robić dzieci, epicentrum, które od 6.000 lat elektryzuje naszą planetę, zacznie stopniowo zanikać. I w obecnym stanie rzeczy nie twierdzą, że będzie inaczej.

Otóż tu jest prawdziwe niebezpieczeństwo. Nie kryje się ono w kominach fabryk ani w braku środków żywności. Polucja fabryczna będzie opanowana a Ziemia może produkować olbrzy-

mie ilości żywności. Jesteśmy dopiero u początków podboju naszej planety. Wypowiadam się za kontynuowaniem przygody.

G.S.: — Dlaczego?

P.C.: — W tym miejscu muszę uderzyć z innego tonu. Historyk nie ma tu nic do powiedzenia. Jeśli zniknie człowiek, zniknie również i przedmiot Historii i na tym sprawa się kończy. Mógłbym panu oczywiście powiedzieć, że jako człowiek, — chciałem powiedzieć jako ciekawy widz, że chciałem aby inni przędli dalej tę piękną historię. Chciałem znać jej ciąg dalszy. Żyjemy tak krótko! Jesteśmy tacy słabi! A potrafiliśmy zdziałać tak wiele! Cóż za cuda! Wynaleźliśmy pismo, muzykę, sztukę, zdolność abstrahowania; doszliśmy do Boga! Coś wspaniałego! I oto nagle, z braku odwagi, opuszczamy ręce? W tej możliwości kryje się coś absurdalnego. Tak się jednak składa, że jestem człowiekiem wierzącym...

G.S.: — Z tradycji rodzinnej?

P.C.: — Nic podobnego. To przyszło na mnie, gdy miałem 25 lat. I wybrałem protestantyzm, zdając sobie doskonale sprawę dlaczego. Mówiąc między nami Luter przypadł mi do serca dlatego, że wymyślił słowo *Cambronne'a* na długo przed marszałkiem Cesarstwa. Poza tym lubię Europę wieku Oświecenia. Ale to wszystko, mówiąc otwarcie, nie liczy się. Bardzo trudno mówić o tych sprawach. Powiem tylko, że gdy Bóg wchodzi w czyjeś życie, to się słyszy. Wywołuje ogromne poruszenie. Ktokolwiek by to był poznaje Go natychmiast. Krótko mówiąc, dla chrześcijanina *Pierre'a Chaunu* trzeba by człowiek istniał dalej aby dopełniły się plany Boskie. To pojednanie poprzez Historię stworzenia ze Stwórcą, to ostateczne zwycięstwo nad śmiercią i wejście naprzód jednostki, ale potem także zbiorowości, do Królestwa Bożego, — wszystko to zaczęło się tutaj, na naszym padole; dlaczego chciałby pan, bym się od tego uchylał? Nie boję się roku 2000-go. Chcę słyszeć śmiech otaczających mnie dzieci. I widzieć człowieka, który tak zagospodarował Ziemię, że ma czas na modlitwę. Czasem wydaje mi się, że słyszę Boga. On spoziera na nas. I wie pan, co On robi?

G.S.: — ???

P.C.: — Śmieje się, panie Suffert. Pęka ze śmiechu. Schemat Historii na moim dywanie symbolizuje śmiech Boga. Czy pan nie wiedział o tym?

(*Le Point*, Nr 132, 31 marca 1975)

Powyższy wywiad drukujemy za uprzejmą zgodą Redakcji *Le Point*.



Tomasz Mann

W maju 1970 roku podpisałam w Państwowym Instytucie Wydawniczym w Warszawie umowę na monografię Tomasza Manna, mającą ukazać się w serii pt. „Ludzie żywi”. Gotowy maszynopis wysłałam do wydawnictwa z końcem października 1971 roku nie uzyskując żadnej odpowiedzi, prócz — po listownych naleganiach — potwierdzenia odbioru tekstu. Mimo ogromną poczytność swych dzieł nie ma ów autor szczęścia do polskich biografów. Książka R. Karsta, po jego przymusowym wyjeździe z Polski, ukazała się — o ile wiem — jedynie w tłumaczeniu na niemiecki. Z mojej przeszło czterysta stron liczącej pracy publikuję obecnie ten fragment, aby przynajmniej jakiś ślad po niej pozostał.

Rok ostatni zaczyna się zapowiedziami licznych honorów i zaszczytów. W początkach marca wiadomość o przyznaniu honorowego obywatelstwa Lubeki. W połowie kwietnia założone zostaje we wschodnim Berlinie „Archiwum Tomasza Manna”. Szóstego marca czyta autor nadawany przez niemieckie radio „od zachodu słońca aż do północy” pełny tekst „Tonia Krögera”. A na wiele już tygodni przed wyjazdem na organizowane tegoż roku uroczystości schillerowskie zaczyna Tomasz Manna ogarniać podniecenie, jakiego nie przejawiał dotychczas nawet przed znacznie dłuższymi i uciążliwymi podróżami.

Podróż to bowiem specjalnego rodzaju, a któż od najbardziej zaangażowanego mógł lepiej odczuwać tę jej atmosferę? „Czyż wszelkie umiłowanie człowieka nie polega na sympatii, na bratersko współzaangażowanej świadomości jego niemal beznadziejnie trudnej sytuacji? Tak — kocha się człowieka, ponieważ mu ciężko i ponieważ samemu jest się również człowiekiem” — pisał niegdyś.

Banalnie brzmieć mogłyby te słowa, gdyby nie odnosiły się również do konkretnej sytuacji, jaka nastąpiła owej wiosny 1955 roku. Autor wielkiego „Eseju o Schillerze” przede wszystkim do ludzi chciał przemówić i trafić w swej wyprawie, wiodącej przez powojenne, podzielone Niemcy. Chciał — po iluż i jakich latach! — nawiązać żywy kontakt z rodakami swoimi i krajem. Obawy przed zamienieniem się w „pomnik za życia” były zresztą uzasadnione: w październiku roku ubiegłego rzeźbiarz Seitz, na zlecenie NRD, modelował popiersie Tomasza Manna. Model uznał ów konterfekt za bardzo podobny, lecz dorzucił jednocześnie, że jest w nim coś z uwiecznienia monumentalnego...

Siódmego maja wraz z żoną i najstarszą córką, Eryką, wyrusza Tomasz Mann najpierw do Stuttgartu, gdzie spotyka się z ówczesnym prezydentem NRF, profesorem Heussem. Zadrażnień i kłopotów nie brak od samego początku tej podróży. Jedni mają sędziwemu autorowi za złe, że „zaczyna” schillerowską swoją podróż nie od Weimaru, jak by z historycznych względów się „należało”, inni — że w ogóle na przyjazd do Weimaru także się zgodził, choć jeszcze przed dwoma laty odmówił udziału w uroczystościach ku czci Herdera, celebrowanych także w tym mieście:

„Zdrowie bynajmniej mi już nie dopisuje. Dostosowanie się ponownie do środkowoeuropejskiego klimatu okazuje się w moim wieku jednak trudniejsze, niż sądziłem” — tłumaczył się wówczas. A młodszy był przecież, niż obecnie... Nikt już zdaje się nie pamiętać o ciężkiej, wirusowej infekcji, jaką autor tych słów przeszedł jeszcze z początkiem schillerowskiego roku, o poważnych zaburzeniach krążeniowych jakie później się pojawiły. Wygodniej i bezpieczniej jest zawarować pomnikową nieruchomość już za życia tego na wskroś niemieckiego, ale z tej właśnie także racji jakże często i gorzko prawującego się z swym krajem pisarza.

Ósmego maja, w wypełnionej do ostatniego miejsca wielkiej sali teatralnej wygłasza Tomasz Manna swój esej o Schillerze. Niebezpieczeństwo nadmiaru z jakim walczyć musiał przy pisaniu każdej ze swych prac i w tym wypadku mocno obciążało tekst, który rozrósł się do stu dwudziestu zamiast przewidywanych ledwo dwudziestu dwóch stron. Nieodzowna okazała się więc i tym razem pomoc Eryki, która wreszcie doprowadziła całość do racjonalnych rozmiarów: niespełna godzinnego przemówienia.

Obawy, że tym razem nie zdoła już sprostać trudnościom, które okazały się tu szczególnie wielkie, były płonne: obecni na sali słuchacze powstali na zakończenie „jak jeden mąż”. Inni, od początku niechętnie nastawieni względem tego mówcy i przekonani, że nie zdoła w swym eseju sprostać geniuszowi Schillera,

przepraszają później w listach za tę nieufność, zwierają się że płakali przy radiu, słuchając owej audycji. Reakcja tych nieznanomych była dla mówcy chyba najcenniejsza. Bo jeśli Goethe, którego w późniejszych latach życia nazywał swym „zwierciadłem nieporuszoną”, stanowił dla Tomasza Manna uosobienie pierwiastka apollinijskiego w sztuce, przykład „wszechogarniającej wyższości i najwyższej pojmowanej reprezentacji”, Schiller z kolei był dlań personifikacją pierwiastka dionizyjskiego. Cenił w nim ogromny wysiłek woli, zwyciężający nawet słabość fizyczną, pełną pasji spekulatywność, walkę o wolność i godność ludzką. Pierwszą nowelą, jaką w 1905 roku, w miesiąc po własnym ślubie napisał „od jednego rzutu” była „Ciężka chwila”: Wychudły, schorowany Schiller, tkwiący przez całą noc przy wystygłym piecu, w zwątpieniu i rozterce, że nie zdoła uporać się z potężnym tematem „Wallensteina”, wspominający z goryczą „... tamtego, innego, zdrowego, zmysłowego, żadnego czynu, bosko-nieświadomego — t a m — w Weimarze”, którego, owszem, kochał „uczuciem tęsknej wrogości”, lecz któremu „było łatwiej!”. Ale pisząc o nim już wówczas zdecydowany był szukać we własnej pracy i życiu tego, co trudne, najtrudniejsze.

Dwa dni odpoczynku zaledwie i dalsza podróż do Weimaru. Tłumy przybyszów ze wschodniej i zachodniej części Niemiec, okrzyki, kwiaty, sztandary. W Teatrze Narodowym raz jeszcze powtarza Tomasz Manna swe przemówienie. Wieczorem jest na przedstawieniu „Dziewicy Orleańskiej” — przed tygodniem, w Stuttgarcie, oglądał świetną inscenizację „Marii Stuart”.

Nazajutrz, 15 maja, zostaje promowany na honorowego doktora uniwersytetu w Jenie („Który to już doktorat? Siedemnasty? Sprawdzić!” notuje w pośpiechu Eryka).

Następnego dnia odjazd do Lubeki. Z humorem, maskującym wzruszenie, dziękuje Tomasz Manna za obdarzenie go honorowym obywatelstwem rodzinnego miasta w tym samym ratuszu, gdzie niegdyś jego ojciec tak sumiennie spełniał swe senatorskie obowiązki. W teatrze słucha uwertury do „Lohengrina”, a potem czyta tam przez półtorej godziny fragmenty „Tonia Krögera”, „Józefa”, „Feliksa Krulla”.

Bałyckie fale zawsze tak samo szumią w dawnym rajku zawsze zbyt krótkich, szkolnych wakacji, Travemünde. Tym razem wtórują im dźwięki starych instrumentów podczas koncertu, jaki wydano na cześć przybyłego jubilata.

Ledwo bowiem przeminęły uroczystości schillerowskie, miłą jego własnego jubileuszu rozpoczyna się w całej pełni. Obawiał się jej już z początkiem roku, pisząc: „zanosi się na to, że zrobią wszystko abym się później zanadto już nie postarzał...”.

Czwartego czerwca oficjalne gratulacje w Zurychu i gminie

Kilchberg, połączone z wręczeniem jeszcze jednego dyplomu — tym razem doktora nauk przyrodniczych — z tyleż uroczystym, co osobliwie w szwajcarskiej niemczyźnie wyrażonym uzasadnieniem zasług odznaczonego, polegających między innymi na tym, iż „dożywotnio” (*lebenslänglich*) zabiegał o sprawy człowieka i humanizmu.

Wielką niespodzianką jest przyjazd zza oceanu Bruno Waltera, dyrygującego ku czci starego swego przyjaciela „Eine kleine Nachtmusik” w zurychskim teatrze. Wzruszony i znużony długo przedtem trwającą akademią jubilat sam na zakończenie zabiera głos, oświadczając nie tylko zgromadzonej publiczności, ale także licznym radiosłuchaczom w Szwajcarii i innych krajach, że zawsze wysoko cenił inteligentną chłonność widzów teatralnych... Monachium. Cóż — na scenę wyprowadził Tomasza Manna w Zurychu pewien historyk literatury, znany mu dobrze jeszcze z lat monachijskich, a któż mógł doprawdy mieć za złe pisarzowi, przez czterdzieści lat zdomowionemu w bawarskiej stolicy, ów lapsus, mimowiednie świadczący tylko o tym, że na szwajcarskim gruncie także się już zdomowił?

Szóstego czerwca — w sam dzień urodzin — przyjęcie w domu Tomasza Manna w Kilchbergu. Sterty gratulacyjnych artykułów, listów, depeš, nie tylko z Ameryki czy Europy, ale również ze wschodniej i zachodniej części Niemiec napływają z poczty co pół godziny. Goście, prezenty, kwiaty.

Do darów, jakie sprawiły Tomaszowi Mannowi najżywszą radość należał ofiarowany mu przez najbliższych pierścień z zielonym, przejrzystym turmalinem. Okazał się jednak przyduży, toteż w kilka dni po jubileuszowym rozgardiaszu wybrano się do jubilera w Zurychu, aby mankament ten naprawić. I tu nastąpiła charakterystyczna, zanotowana przez Erykę scenka: gdy jubiler zapytał klienta, czy zadowolony, Tomasz Manna zapewnił z nieoczekiwanym ożywieniem:

— Ależ bardzo! A poza tym: osobliwa to naprawdę sprawa jak taki kamień powstaje, ile zawiera różności: trochę chloru na przykład i...

Zdumiony jubiler nic nie odpowiedział, a z miny jego widać było wyraźnie, że chyba nie wiedział o zawartości chloru w turmalinie, a przynajmniej ani przypuszczał, że ten właśnie klient takimi sprawami się interesuje. Ale tak było zawsze: z chwilą, gdy choćby najbłahszy z pozorów przedmiot czy temat budził w nim zainteresowanie, usiłował Tomasz Mann „zbadać go” możliwie najdokładniej i wszechstronnie, przyswoić go sobie w najściślejszym tego słowa znaczeniu. Co nie przeszkadza, że ów skrupulatny ciułacz tych wszystkich detali — jak odnotował Golo Mann — stwierdził kiedyś samokrytycznie:

„... osobiwą cechą mego umysłu jest, iż dziwnie szybko zapominam o wszystkich takich pomocach, a nawet przekazane przez nie wiadomości nikną mi z pamięci. Z chwilą, gdy już spełniły swe zadanie, zostały włączone do danej pracy, wchłonięte przez nią i zużytkowane, zapominam je, a wydaje się niemal jakbym nic już nie chciał o nich wiedzieć, odpychając wszelką myśl o nich...”

Krótki pobyt z początkiem lipca w Amsterdamie, dwa dni w Hadze to nadal dni pełne zamętu: wywiady prasowe, powtórzenie eseju o Schillerze, premiera filmu „Królewska Wysokość”, audyencja u królowej holenderskiej — strudzony jubilat z ulgą wyjeżdża wreszcie na odpoczynek do zacisznego Nordwijk aan Zee.

Pracuje i tam. „Pomysłów mi nie zabraknie, choćbym i stu dwudziestu lat dożył” zapewniał w pół tylko żartobliwie. Chciał pisać dramat o Lutrze, do którego zebrał już sporo materiałów, powieść o Erazmie z Rotterdamu, dalszy ciąg „Achilleis” Goethego. Wiedział, że czasu na urzeczywistnienie wszystkich tych planów już mu zapewne nie starczy, ale komentował ów fakt z ironicznym humorem: „... a szkoda! — bo któż to napisze?”. Siedząc w plażowym koszu, słuchając szumu morza, pisze wstęp do mającej się niebawem ukazać antologii „Najpiękniejsze opowiadania świata”. Dokucza mu tylko ból nogi. Utyskuje na reumatyzm, na trudności w chodzeniu. Ale wezwany z Lejdy specjalista stwierdza skrzep w nodze, nakazuje całkowite jej unieruchomienie. Dwudziestego trzeciego lipca transportują Tomasza Manna samolotem do kantonalnego szpitala w Zurychu, skąd piątego sierpnia tak pisze do jednego z najbliższych przyjaciół, Ericha Kahlera:

„... ogromnie wzruszyło mnie, że mimo choroby, operacji i przeciążenia pracą zdobył się pan na tak piękny i serdeczny list urodzinowy do mnie. Czy posłałem panu kartkę z podziękowaniem i odręcznym dopiskiem? Mam nadzieję, że tak. W każdym razie pragnę raz jeszcze podziękować za wierną pamięć i zapewnić, że oboje z Katją serdecznie się cieszymy na pańską wizytę w Europie i wrześnieowe spotkanie w Kilchbergu. Do tej pory będę z boską pomocą znowu na nogach i w domu, chociaż choroba moja z natury swej zawsze jest długotrwała.

Osobiwie bowiem wiodło mi się od czasu, gdy otrzymałem pański list. Przetrwiałem wcale dzielnie podróże schillerowskie w maju, potem urodzinowy tumult w Kilchbergu i Zurychu, później jeszcze różne imprezy w Amsterdamie i Hadze... Ale nagle coś się porobiło z lewą moją nogą, com uznał za reumatyzm i nad czym, kuśtykając, chciałem przejść do porządku dzien-

nego, lecz... okazało się to zaburzeniem krążenia, zapaleniem arterii...

Istotnie jedna moja noga była dwukrotnie grubsza od drugiej, ale któż wpadnie na pomysł porównywania grubości własnych nóg!... I oto leżę z okładami alkoholu, zmuszony do przestrzegania absolutnego unieruchomienia, rozczłonony najrozmaitszymi implikacjami, jakie stan taki ze sobą niesie, a spośród których, dla przyzwoitości, wymienię jedynie swędzące egzemy, jakie wskutek nieustannego, łózkowego ciepła potworzyły mi się na wszelkich możliwych częściach ciała. Krzyż pański to, zaiste (autor posłużył się tu w oryginale bawarskim, gwarowym wyrażeniem *est ist halt a Kreiz*, używanym z lubością niegdyś przez piwowara, Alojzego Permanedera, drugiego męża Toni Buddenbrook — M.K.) i niebywała próba cierpliwości. Lecz cierpliwość jest akurat przypadkowo silną moją stroną, a pielęgnacja tu istotnie nader akurata i sumienna pod kierunkiem słynnego profesora Loeffelera, będącego czymś w rodzaju medycznej primadonny i pozostawiającego swemu naczelnemu lekarzowi drugoczące korygowanie owego optymizmu, którym sam promieniuje: 'Owszem. Ale, widzi pan, że jedno udo grubsze jest nadal jeszcze o trzy centymetry od drugiego'.

Mimo wszystko już tylko o trzy. Robię postępy, popołudniu spędzam już pół godziny w fotelu, przy czym pozwalam sobie nastawiać na pożyczonym gramofonie Mozarta, który jako natura artystyczna stanowi najnowszy przedmiot moich zainteresowań. Niechże pan sobie wyobrazi, że nie miał on żadnego w ogóle zmysłu dla przyrody, architektury, czy innego rodzaju osoblności. Nic w ogóle nie chciał widzieć, a zapędy swoje czerpał nieustannie na nowo tylko z muzyki — coś w rodzaju filtracji czy arystokratycznego kazirodztwa... jak Goethe. Einstein pisze o tym doskonale...”

O Schillerze pisał Tomasz Manna przed wielu laty, że był to pisarz mało w istocie zainteresowany zewnętrznym otoczeniem, dorzucając: „Bo i dla mnie świat oczu nie jest właściwie moim światem i najchętniej wołałbym nic nie widzieć — jak on...”

Uważał się — i powtarzał to wielokrotnie — za muzyka w literaturze, twierdząc: „... prace moje oceniajcie, jak chcecie, lecz były one zawsze dobrymi partyturami...”

I tym razem widocznie cieszyła go „szczęśliwa zgodność” upodobań Mozarta z własnymi zainteresowaniami.

Odwiedzają go bliscy, przyjaciele, a lekarze napomykają już nawet o bliskiej możliwości krótkiego spaceru po szpitalnym korytarzu.

Obawy najbliższych mimo to nie ustają. Niepokoi się zwłaszcza Eryka apatią ojca wobec wspaniałego sukcesu „Wyznań hoch-

sztaplera Feliksa Krulla" nad którym pracę podjął po czterdziestoletniej przerwie, a teraz słowem nawet nie wspomina o możliwości podjęcia dalszego ciągu tej powieści. Nie pyta także o nic: ani o ulubionego, czarnego pudła Nico, ani o błahe, domowe sprawy którymi zazwyczaj tak żywo się interesował: nowe półki na książki, specjalny stojak do egzotycznej laski, którą także otrzymał na swe osiemdziesięciolecie.

Słucha wprawdzie — choć w małych dawkach — ulubionych płyt, zwłaszcza smyczkowego kwartetu Beethovena opus 132, a-moll, przyjmuje — siedząc w fotelu — francuskiego swego wydawcę, opowiadając jak wiele radości sprawił mu nadesłany „Hommage de la France à Thomas Mann" i wydaje się, że istotnie w zdrowiu jego następuje powolna wprawdzie, lecz rosnąca poprawa.

Dziesiątego sierpnia jeszcze wiadomość o przyznaniu orderu „Pour le mérite". Tegoż dnia — cierpliwy dotąd pacjent — użala się w odręcznym liście do swej włoskiej tłumaczki, Lavinii Mazucchetti:

„... Czułem się szczególnie dobrze — i oto właśnie teraz musiało mi się to przytrafić! Lecz to skutki obchodzenia stu pięćdziesiątej rocznicy śmierci Schillera i własnego osiemdziesięciolecia... Zresztą stan mój stale się polepsza, tak iż przybliża się nadzieja na powrót do normalnej egzystencji...”

Pod wieczór dnia następnego — nagła, gwałtowna zapaść. Transfuzje, zastrzyki, krzątanie zaferowanych lekarzy. Chory jest jednak przez cały czas przytomny i cierpliwie poddaje się wszelkim zabiegom. Tylko gdy ulubiona Eryka zagląda do niego na chwilę, mówi, nie otwierając oczu, z widocznym trudem: „Nie mogę teraz przyjmować wizyt, bardzo jestem słaby”.

Przytomny, choć nadal bardzo osłabiony jest także przez cały dzień dwunastego sierpnia. Wieczorem prosi nawet żeby nałożyć mu okulary, nie ma jednak siły by dalej czytać tak bardzo go zajmującą książkę Einsteina o Mozarcie. Dzieci: Golo i Eryka, po długim wyczekiwaniu na szpitalnym korytarzu, wracają do domu. Przy chorym zostaje jedynie żona. Nie porusza się, dziesięć minut po ósmej zwrócił jedynie głowę nieco w bok, zmieniając wyraz twarzy na ten, który domownicy nazywali „muzycznym”, bo przybierał go zawsze podczas słuchania ulubionych utworów.

— Czy nie oddycha teraz trochę lepiej? — zapytała Katia Mann wchodzącego po chwili, dyżurnego lekarza.

— Trochę — potwierdził, schyliwszy się nad łóżkiem. Życie Tomasza Manna zagasło tak łagodnie, że nawet siedząca obok nie zdołała spostrzec w jakiej chwili nastąpił kres.

Sekcja zwłok ustaliła, że przyczyną zgonu było silne zwapnienie wielkiej arterii w nodze: powstało w niej pęknięcie, którym krew przesączała się do systemu wegetatywnego. Stwierdzono ponadto, że zwapnienie naczyń poczyniło w ogóle znaczne postępy w organizmie sędziwego pisarza: dziwnym trafem niemal nietknięte nim pozostały tylko arterie mózgu.

„Urodziłem się w niedzielę, szóstego czerwca 1875 roku, o dwunastej w południe. Układ planet był korzystny, o czym częstokroć zapewniali mnie później adepci astrologii, przepowiadając mi na podstawie mego horoskopu długie, szczęśliwe życie, jak również lekki zgon” pisał w jednym ze swych szkiców autobiograficznych Tomasz Mann jeszcze w 1936 roku.

Trudno o ściślejsze spełnienie się tej gwiazdnej przepowiedni: dopiero przed paru laty dotarła do wiadomości publicznej informacja, że przyczyną ciężkiej choroby, połączonej z operacyjnym usunięciem części płuca 24 kwietnia 1946 roku w chicagowskim „Billings Hospital”, przerywającej pisanie „Doktora Faustusa” — owej wielkiej „księgi boleści” — jak ją nazywał autor, był nie guz dobrotliwy, ale rak. Nie powiedziano o tym pacjentowi, który zresztą ufnie poddał się zabiegowi i ku zdumieniu lekarzy z rekordową niemal szybkością powracał później do zdrowia. Ale najbliżsi, oczywiście, wiedzieli i obarczeni tą wiedzą towarzyszyli jego wytężonej, zajadłej pracy przez prawie dziesięć następnych lat.

Szesnastego sierpnia 1955 roku wśród grona żałobników na niewielkim, kilchbergskim cmentarzu, głos zabierali kolejno różni mówcy. Hermann Hesse, także od dziesiątków lat „Szwajcar z wyboru”, jeden z najdawniejszych i najbliższych przyjaciół zmarłego, powiedział krótko:

„W głębokim smutku żegnam Tomasza Manna, mistrza prozy niemieckiej, częstokroć zapoznanego mimo wszelkich zaszczytów i sukcesów. Serdeczność, wierność, poczucie odpowiedzialności i zdolność kochania ukryte za jego ironią i wirtuozerią, przez dziesiątki lat absolutnie nie rozumiane przez szeroką publiczność niemiecką, zachowają dzieło jego i pamięć na długo — poza granice splątanych naszych czasów”.

Maria KURECKA

Zdania

O potrzebie zakreślenia granic

Nieszczęsne było i kłamliwe morze.

Powód do zdziwienia

Władca jakich żywiołów dał nam pieśni na chwałę narodzin?

Według Heraklita

Wiecznie żywy ogień, miara wszystkiego, tak jak miarą bogactwa jest pieniądz.

Krajobraz

Nieprzebrane lasy miodem dzikich pszczół ciekące.

Język

Kosmos toaczy ból bredził we mnie diabelskim językiem.

Suplikacja

Od galaktycznego milczenia uchroni nas.

Na wszelki wypadek

Kiedy będę przeklinać Los, to nie ja, to Ziemia we mnie.

Ze składu zasad pytagorejskich

Odjechawszy rodzinnej ziemi nie odwracaj się,
Erynie za tobą.

Hipoteza

Jeżeli, powiedziała, pisałeś po polsku
żeby siebie ukarać za grzechy, to będziesz zbawiony.

Portret

Zamknął się w wieży, czytał starożytnych autorów,
na tarasie karmił ptaki.
Bo tylko tak mógł zapomnieć o poznaniu samego siebie.

Pocieszenie

Uspokój się. I twoje grzechy i twoje dobre uczynki
okryje niepamięć.

Z kalifornijskiej poetki Orlandy Brugnola

Chwała tobie który jesteś królem cierni.

Do ut des

Czuł wdzięczność, więc nie mógłby w Boga nie wierzyć.

Republika doskonała

Od samego rana, ledwo słońce tam trafi przez cieniste klony,
Chodzą rozpamiętując święte słowo: Jest.

Kusiciel w ogrodzie

Nieruchomo patrząca gałąź, i zimna i żywa.

Ł a d

Pozbawiony. A dlaczego nie miałbyś być pozbawiony?
Lepsi od ciebie byli pozbawieni.

Wada albo zaleta

Byłeś kolanopokłonny! — Byłem kolanopokłonny.

Co nam towarzyszy

Kładka z poręczą nad górskim potokiem
pamiętana do najdrobniejszej wypukłości kory.

Zachód

Na słomiano-żółtych pagórkach, nad zimnym niebieskim
morzem, czarne krzaki kolczastego dębu.

Napis do umieszczenia na nieznanym grobie L. F.

Co było w tobie zwątpieniem, przegrało, co było w tobie wiarą,
spełniło się.

Nagrobek

Ty, który myślisz o nas: żyli tylko złudzeniem,
Wiedz, że nigdy nie zginie nasz ród, Ludzi Księgi.

Pamięć i pamięć

Nie wiedzieć. Nie pamiętać. Z tą jedną nadzieją:
Że jest za rzeką Lethe pamięć, uleczona.

Bogobojny

Więc jednak wysłuchał Bóg prośby mojej
i pozwolił abym grzeszył na jego chwałę.

O cel w życiu

Ach okryć ten mój wstyd karmazynową delią!

Lekarstwo

Gdyby nie wstręt do zapachu jego skóry
mógłbym pomyśleć że jestem dobry człowiek.

Tęsknota

Nie żeby zaraz być jednym z bogów czy herosów.
Zmienić się w drzewo, rosnąć wieki, nie krzywdzić nikogo.

Góry

Mokre trawy do kolan, maliniak na porębach wyższy od człowieka,
chmura u stoku, w chmurze czarny las.
I pasterze w średniowiecznych skórzniach nam na spotkanie
schodzili.

Ruch odwrotny

Już ruiny ich siedzib młody las porasta.
Wracają wilki i niedźwiedź śpi bezpiecznie w gąszczu malin.

Poranek

Obudziliśmy się ze snu nie wiem ilu tysięcy lat.
Znow orzeł leciał w słońcu ale znaczył nie to samo.

Objity połów
(Łukasz, V, 4-10)

Ryby trzepią się w wyciągniętych na brzeg sieciach
Szymona, Jakuba i Jana.
Wysoko jaskółki. Skrzydła motyli. Katedry.

Dzieje Kościoła

Dwa tysiące lat próbowałem zrozumieć jak to było.

Czesław MIŁOSZ

Co Robić?

O nas samych

Samokrytyka inteligencji jest jednym ze stałych tematów piśmiennictwa rosyjskiego, poczynając co najmniej od Dostojewskiego. Sławne zbiory „Problemy idealizmu” (1903), „Wiechy” (1909), „Z głębokości” (1918) i wreszcie „Spod ruin” (1974) są takimi właśnie dokumentami inteligenckiej samowiedzy krytycznej. Od samego początku krytyka ta była podminowana i rozdarta konfliktem dwóch postaw, których dzisiejszą wersję symbolizują nazwiska Sacharowa i Sołżenicyna. Z jednej strony byli ci, którzy chcieli Rosję oświecać zachodnimi wynalazkami, „europelizować”, zaszczipać jej wartości demokracji parlamentarnej, racjonalizmu, tolerancji, sprawności technicznej. Z drugiej strony ci, którzy w programach „europelizacji” nie tylko wietrzyli zgubę źródeł ożywiających kulturę rosyjską i podtrzymujących samoistnienie narodu, ale, co więcej, twierdzili, że próby „europelizacji” na rosyjskiej glebie obrócą się w swoje przeciwieństwo, a upowszechniając kultury utylitarystyczne i niszcząc religijną tradycję staną się pożywką despotyzmu gorszego, niż wszystkie znane. Mogłoby się zdawać, że bieg wydarzeń przyznał rację tradycjonalistom, że ideologia nowego ustroju, który miał wszakże — jak pisał Lenin — barbarzyńskimi środkami cywilizować barbarzyńską Rosję, wyrosła z tradycji zachodniego racjonalizmu i utylitarystyki i wynikami swymi udowodniła bankructwo tych wartości. Jednakże „okcydentaliści” mają po swojej stronie istotne argumenty: despotyzm komunistyczny zakorzenił się w Rosji nie z tej racji, iż komunizm był naturalną kontynuacją racjonalizmu i liberalizmu, ale przeciwnie, dlatego, że nie potrafił — m.in. wskutek rusyfikacji — wartości racjonalizmu i liberalizmu sobie

przyswoić, że się nie „zeuropeizował” właśnie; a i sam marksizm nie był bynajmniej po prostu dzieckiem oświeceniowej tradycji, ale w równym albo większym stopniu spadkobiercą zgoła przeciwnej kultury romantycznej, bliższej duchowi Rosji. I tak od półtora stulecia nierozwiązany zostaje rosyjski dylemat: czy do Europy po naukę chodzić, hasła demokratycznych się uczyć, Woltera czytać, Boga się zaprzeczyć, pieniądza czcić, w handlu się kształcić, czy raczej na rdzennej tradycji narodowej się wesprzeć, ludowej mądrości zaufać, na odrodzeniu duchowym, nie na samoczynnej sile pieniądza polegać, Ewangelie czytać, do więzi naturalnej, rodzinnej i plemiennej, się odwoływać, ziemię po chłopsku kochać, Bogu się kłaniać? Dylemat, powiadam, nierozwiązany i nierozwiązalny, bo po obu stronach coś jest dobrego i coś złego, ale tak się na ogół w świecie dzieje, że ideologie działają w dziwnych amalgamatach, które trudno na części rozszczepiać i jak w pudle z czekoladkami przebierać. Zachodnia Europa, w prerażonych oczach Rosji tradycyjnej to były (i są) razem: demokracja i korupcja, wykształcenie i cynizm, sprawność ekonomiczna i kult pieniądza, wolność i pornografia; a w oczach Rosji zeuropeizowanej Rosja tradycyjna to były razem: Bóg i samowola carska, cnoty ludowe i analfabetyzm, szeroka dusza i chamstwo, bohaterowie Dostojewskiego i bohaterowie Gogoła, rybak i żona rybaka. Ach, poodlepiać by to wszystko i na nowo inaczej złożyć, aby mieć dobrą połowę z każdego zbioru! Lecz diabeł nie pozwala, każe całościami wybierać, „sprzedaż wiązana”. Tak to zawsze są jakieś dobre argumenty po obu stronach.

A my, to znaczy, powiadam, polska inteligencja? Nam, wmiawiamy sobie, takich zmartwień łaskawa historia oszczędziła, bo oto właśnie millenium strzeliło, od kiedyśmy mądrze Europę i łacinę wybrali (pożał się Boże z tą łaciną, kto się jej jeszcze w Polsce uczy? Oby księża! Ale tych też rychło do polszczyzny zagonią, żeby łaciny zapomnieli, bo na tym zapomnieniu pono postęp ludzkości się wspiera). Niezupełnie chyba tak było, po prawdzie, albo różnie w różnych czasach. Mieliśmy Renesans swój, skromny może, ale piękny, polsko-kosmopolityczny. Mieliśmy potem, na przykład, Arian polskich, Europejczyków, racjonalistów, erudyty, ale z patriotyzmem u nich nietęgo było — a po drugiej stronie Podbipiętów walecznych, litewskich ćwoków pocziwina a ciemnych. Tak się polskość jakoś z ciemnotą spoiła i wiek minął z okładem, nim co się poprawiać zaczęło, a wtedy późno było. Prawda, jeliśmy się w końcu z sarmackiej obory dźwigać, zdobyliśmy się na Oświecenie godziwe, a w wyniku na konstytucję 3 maja i Komisję Edukacji — dwa takie dzieła, co nam doprawdy i bez samochwalstwa narodowego spizem dźwiczą (toteż bardzo nie lubili i do dziś nie lubią protektorzy nasi

wschodni, żeby je przypominać; ale przypominać będziemy). Może nam, z jakichś powikłanych wyroków Boskich, niewola się przysłużyła i pomogła po części narodowe principium zjednoczyć lepiej z duchem europejskim? Kulturę romantyczną mieliśmy z najlepszego kruszcu — nie sarmacko-kołtuńską, ale polsko-unwersalną, dzielną w słowie i bez obawy karmiącą się wszystkim, co pożywnego na Zachodzie znajdowała. Wszystko to prawda, ale pokłady kołtuństwa polskiego trwały stężone i trwałe, a patronował im Kościół, który skądinąd przyczynił się waleńniej, niż cokolwiek do utrzymania narodowej świadomości (Kościół w Polsce, myślę, bo papież na ogół nam się nie udawali, gdyśmy w niewoli byli). Więc i tu dwuznaczność była i niejasność, o której dziś nikt mówić nie lubi, ani wrogowie Kościoła ani jego obrońcy: bo był potęgą i w ocaleniu narodu i w utrwalaniu jego niedojrzałości, a to drugie nie przez to, że wiarę głosił (bo od czegoż Kościół?), ale że tak ją przyprawiał strachem przed wszystkim, co pachniało demokracją, tolerancją, krytycyzmem, sceptycyzmem, socjalizmem, nauką wreszcie i humorem. W rezultacie jałowiało duchowo nasze chrześcijaństwo, odpychało od siebie inteligencję, a to, co w kulturze godnego uwagi się działo, działo się przeważnie poza nim, albo na jego podejrzanych obrzeżach. Jest to na chwałę chrześcijaństwa, że wbrew temu, co można było racjonalnie przewidywać, nie obumarło, ale jakoś się z bezwładu duchowego otrząsnęło i naderwało ten łańcuch, co je skuwał z Polonią sarmacką. Różne w tym chytre działały przyczyny, a w ostatnich czasach jedną z nich była i władza komunistyczna, jej presje, szykany i prześladowania. A tymczasem oto Opatrzność, nie bez zmysłu humoru, kazała komunizmowi, który umysłowo sam się wysterylizował doszczętnie i nieodwracalnie, w desperacji do kołtuna polskiego się zalecać, w bębenek narodowego samochwalstwa hałaśliwie walić, na Żyda szczuć, choćby i Żyda nie było, chama najmować, żeby inteligenta opluwał, a wszystko w próżnej nadziei, że soki kołtuństwa martwe drzewko idei cudem wskrzeszą. Powstała z tego wszystkiego konfuzja, którą z mozołem ciągle rozplątywać trzeba.

O czym wszystkim wspominam, choć to nie nowina, żeby powiedzieć, że ta łacina i ten Zachód nie całkiem nam oszczędziły dylematów, nie tych samych zapewne, ale podobnych do rosyjskich. A zresztą nie ma wcale słowiańszczyzna monopolu na te kłopoty, bo w każdej gorliwości nacjonalistycznej tkwi jądro ciemniactwa — i to zarówno w nacjonalizmie imperialnym, jak w takim, co jest głównie obronny. A konfuzja nasza jest większa przez to, że nigdy nie jest nam jasne, czy jesteśmy Wschodem Zachodu czy raczej Zachodem Wschodu. A jeszcze bardziej przez to, że gdy tak dźwigamy na karku wszystko, co dźwigamy —

geografię swoją i Sienkiewicza i powstania i rok 1918 i 1920 i 1939 i 1944 i duszę pozytywistyczno-endecką i duszę romantyczno-pepesowsko-legionową, nieustannie nas inny dylemat trapi, który da się krótko wyśłowić: z motyką na słońce, czy z motyką do ogródka? Polakowi długo tłumaczyć nie trzeba, w czym rzecz, bo od konfederacji Barskiej i Targowicy, jeśli nie wcześniej, z mlekiem matki tymi sprawami się żywił. Jeden mu powiada: „pałaszem nie machajcie, gdyście samotrzeć przeciw ciżbie, przyczajcie się raczej, na włościach swoich się okopcie, substancję swoją budujcie, a przyszłość w ręku Boga”. A na to drugi powiada: „Na cuda liczyć grzech, Pan Bóg pomaga temu, co sobie pomaga, do przeczekania wzywać to na niewolę się godzić, walki poniechać; komu cel główny stale i co dzień nie przyswieca, temu on nigdy z nieba nie spadnie”. Może więc inaczej mamy nasz dylemat wyśłowić, nie o motykę pytać, ale raczej: „czy przed siebie patrzeć, czy tylko pod nogi, aby się nie potknąć?”. A w takim brzmieniu już nasza sprawa inaczej wygląda. Bo nie chodzi wcale o machanie pałaszem nieistniejącym, ale o to, czy mamy zapomnieć o naszych aspiracjach narodowych głównych i oczywistych, choć niewykonalnych w tej chwili, to znaczy o przywróceniu niezawisłości państwowej i instytucji demokratycznych naszego kraju. Zbyteczne dodawać, że nikt nie wzywa do zapomnienia, najwyżej do odłożenia tych aspiracji właśnie z tej racji, że nie ma żadnych narzędzi, aby je rychło zaspokoić. Lecz odłożyć te aspiracje w imię hasła realizmu, czy to nie tyle, co utracić zdolność do ich ożywienia i do korzystania z wszystkich okazji, kiedy można zwiększyć ich szanse?

Zdaje mi się, że tutaj dotykam sprawy, o którą głównie mi chodzi, chociaż z pewnym trudem i niesprawnie dobieram słowa. Chodzi mi mianowicie o uniknięcie dwóch przeciwstawnych sobie punktów widzenia na naszą sytuację, obu spotykanych w emigracyjnej piśmienności, a jednego także w Polsce. Mógłbym je określić nazwami polemicznymi, jakimi kiedyś, na początku stulecia, obrzucały się wzajem dwie frakcje socjalistów francuskich: posybiliści i imposybiliści. Ale o nazwy nie będę się spierał. Otóż z jednej strony są ci, co powiadają: skoro nie możemy, ani w tej chwili ani w żadnej dającej się określić sukcesji zdarzeń, naszych żądań głównych zaspokoić, to myślimy o tym, co jest wykonalne na razie i to, co się da poprawiajmy w granicach nam narzuconych, albowiem skupiać energię na tym, co teraz niemożliwe, to prześlepić to, co możliwe. Po drugiej stronie mamy stanowisko, które się tak da wyłożyć: sprawą fundamentalną narodu jest niepodległość, a niepodległość jest niepodzielna, albo mamy ją albo nie mamy; ponieważ nie mamy, tedy trochę lepiej nam czy trochę gorzej, rzecz główna pozostaje bez zmiany

i cokolwiek w granicach istniejącego układu rzeczy zmienić można, nie ma znaczenia.

O tym drugim punkcie widzenia powiem tyle, że dla ludzi w Polsce żyjących jest on nie tylko jałowy, ale wręcz niezrozumiały. Są, być może, emigranci, których ciągłość naturalna życia przerwała się w 1939 roku i nigdy nie została przywrócona i którzy wyobrażają sobie, że przez ostatnie 30 lat Polacy żyli i żyją w takim samym poczuciu tymczasowości i nieciągłości, jak za okupacji niemieckiej. Lecz jest to nieprawda zupełna. W czasie okupacji żyliśmy — inaczej, niż, na przykład, Francuzi — w poczuciu, że jest to katastrofalna i monstrualna przerwa, całkowite zerwanie ciągłości życia, czas nieprawdziwy mimo jego okrucieństwa, niedoli i walki. Otóż taki stan psychiczny nie panuje w Polsce od dawna i przywrócić go ani można ani warto. Ktokolwiek by sądził, że potrafi wzbudzić w Polsce wojenną świadomość tego rodzaju („jesteśmy pod okupacją, przetrwajmy walcząc i czekając na wyzwolenie, do tej chwili wszystko nieważne”), nie tylko łudzi się srodze, ale winien jest zasadniczego braku solidarności z narodem, który by chciał oświecać. Polacy w Polsce wiedzą, że nie mają niezawisłości państwowej, a mimo to nie mają wrażenia, że żyją w nienaturalnej przerwie między dwoma realnymi światami — jednym pamiętanym, drugim wyczekiwany — i że nie są u siebie; pracują, robią kariery, snują plany na przyszłość, kochają się i kłócą, uczą się, piszą książki i nieraz buntują się przeciw władzy — ale, jeszcze raz powtórzę, nie doświadczają swego życia jako stanu chwilowego zawieszenia. Wiedzą o tym, że system polityczny, w którym żyją, został im narzucony przemocą, że polskie słowo publiczne w sprawach społecznie najważniejszych jest kłamstwem lub pół-prawdą i nie cierpią, gdy ich się zmusza do wysłuchiwanie frazesów państwo-sowieckiej ideologii (która zresztą wegetuje dziś tylko w żałosnych szczątkach). Mimo to ma dla nich ogromne znaczenie, czy gospodarką rządzą ludzie głupszy albo mądrzejsi, czy produkuje się sprawniej albo nieudolniej, czy zależność od sowieckiego stupajki jest mniejsza albo większa, czy się stoi albo nie stoi w kolejkach po mięso (rzadko się nie stoi, to prawda), czy można mniej albo więcej drukować w pismach i pokazywać w teatrze, czy jest mniej albo więcej zachodnich książek i filmów, czy łatwiej albo trudniej wyjechać za granicę, czy policyjne bezprawie jest bardziej albo mniej dotkliwe, czy kościół jest mniej albo bardziej szyskanowany. Otóż Polacy cieszą się, jeśli w tych wszystkich lub choćby niektórych punktach rzeczy mają się lepiej, nie zaś gorzej, podczas gdy dla stanowiska, z którego nic nie jest ważne poza kryterium: niepodległość i brak niepodległości — wszystkie te sprawy są bez znaczenia i pomyślnie zmiany niechę-

nie są przyjmowane do wiadomości, a PRL uchodzi za złagodzony wariant GG albo kresów wschodnich z lat 1939-41.

Ale ten punkt widzenia nie jest bardzo ważny, gdyż istnieje właściwie poza polskimi realnościami i przeczy doświadczeniu powszechnemu; gdyby Polska nie przywiązywała wagi do częściowych zmian i napraw, gdyby przeżyła owe 30 lat w stanie tępego wyczekiwania (a nigdy przecież nie było w tym czasie poważnej szansy na odzyskanie rzeczywistej niepodległości), żyłaby dziś na pogorzeliśku duchowym, tak zaś na szczęście nie jest.

Ważniejsze jest owo „posybilistyczne” stanowisko, bo jest w Polsce zakorzenione i apeluje nie bez powodzenia do zdrowego rozsądku; sprowadza się, jakem powiedział, do zalecenia, by co się da usprawniać i naprawiać i o tym tylko, co wykonalne, na razie myśleć. W tej zaś sprawie powinniśmy pójść na naukę do Lenina, który systematycznie i zjadle zwalczał tak pojęty „realizm” polityczny i dzięki temu wygrał. Niejednokrotnie tłumaczył, że kto odkłada „na razie” żądania „maksymalne” (to znaczy, w jego przypadku, rewolucję), nigdy ich nie spełni, bo nikt nie jest w stanie przewidzieć przyszłych wypadków, koniunktur, zbiegów okoliczności, katastrof, na które jednak trzeba mieć gotowe roszczenia i zasady działania, a wobec tego wszystkie zadania, które są w obecnej koniunkturze możliwe i wykonalne, mają być podejmowane jako składniki programu, który w tej koniunkturze wykonalny właśnie nie jest, ale stale być musi na oku. Jak głupio jest lekceważyć różnice między dwojgiem złego (więc, w przypadku Lenina, między caratem a republiką demokratyczną, a w naszym przypadku, między sowiecką republiką a pół-niezawisłością obecną, albo między skrajnym despotyzmem, a despotyzmem złagodzone) tak głupio jest i niebezpiecznie osłabiać pamięć o zasadniczej cezurze, jaka dzieli wszystkie stopnie czy odcienie złej sytuacji od aspiracji głównych, więc „maksymalnych” (czyli zapomnieć, w przypadku Lenina, o cezurze między władzą komunistyczną a wszystkim innym; a w naszym przypadku — między suwerennością i wszystkimi stopniami nie-suwerenności, między obecnością demokratycznych instytucji a ich brakiem).

Jeśli w jednym i drugim wypadku przesadzam albo w ni-czyje myśli dokładnie nie trafiam, to niech i tak będzie, bo nie chcę nikogo oskarżać, a tylko udobitnić to, co mi się ważne zdaje. Nie widzę też, by były potrzebne polemiki z takimi, co myślą o powrocie do układów politycznych przedwojennych, bo jeśli by tacy istnieli, to wystawialiby sobie świadectwo umysłowej niepoczytalności i nie warto by doprawdy energii tracić na ich zwalczanie.

Chodzi mi natomiast o spostrzeżenie bardzo proste. Systemy

zwane socjalistycznymi są nowym zjawiskiem w historii, czego nie przekreślą wszystkie analogie historyczne i wszystkie — trafne zresztą — rozważania o wadze narodowego dziedzictwa rosyjskiego w owych ustrojach. Żadne parable historyczne nie pozwalają nam przewidzieć przyszłych losów i zmian tych systemów ani stopnia, w jakim są one zdolne do wewnętrznych przekształceń. Jednym z powodów, dla których takie parable są nieużyteczne jest ten oto fakt wiadomy i wielokrotnie opisywany, iż systemy te mają wbudowaną ideologię, bez której obejść się nie mogą, a która zmarła naturalną śmiercią (może jeszcze w Jugosławii coś z niej ocalało; a o Azji nie mówię, bo nie wiem). Po latach pięćdziesięciu z okładem („przeleciało jak z knuta strzelił”, jak się w Warszawie mówiło na 50-lecie rewolucji październikowej) systemy te, wskutek uwiądu ideowego, weszły w stan chronicznego kryzysu, którego przyszłe i długofalowe wyniki nikomu nie mogą być wiadome, choć spekulacje na ten temat często się snuje. Mimo przejściowych rozluźnień i złagodzeń kłamstwo tych systemów jest bardziej obnażone, bo nie ma już prawdziwych pobożnych, którzy samą pobożnością swoją kłamstwu jakieś uczestnictwo w prawdzie nadają. Kłamstwo jest zarazem słabsze i bardziej nieodzowne. Kiedy Sołżenicyn proponuje ludziom sowieckim program minimum: nie kłamać i nie pomagać w kłamstwie — zdaje się nie zauważać że jest to właściwie program maksimum: gdyby nagle większość ludzi przestała kłamać i pomagać w kłamstwie, ustrój w oka mgnieniu zapadłby się pod ziemię.

Skoro zaś nikt nie potrafi na przesłankach racjonalnych (tj. wyłączam wróżbitów) przewidzieć przyszłych wydarzeń, bo za wiele różnych okoliczności tu działa, których względnej siły nie podobna wykalkulować, tedy „realizm” pojęty jako zawołanie, by tylko o tym, co wykonalne myśleć, nie ma sensu: nikt bowiem nie wie, co będzie wykonalne jutro.

A wszystko to przecież dylematy nasze, to jest inteligencji właśnie, bo ona zawsze na nie i za nie odpowiada. Żeby się zaś w tej konfuzji nie stracić, w sen nie ośliznąć, potrzebna nam energia demonów, a tej nie zawsze staje. (Tu nawias wtrąca: tak się przypadkiem składa, że właśnie czytałem starą książkę Jespersena o rozwoju języka angielskiego; wielki lingwista porównuje w niej angielski z hawajskim i zauważa, że w tym ostatnim żadne słowo nie kończy się spółgłoską, a dwie spółgłoski nigdy po sobie nie następują — najlepszy dowód, że mamy do czynienia z ludem dziecinny i zniechęcającym, niezdolnym do wysiłku; co innego, powiada, angielski, gdzie dwie a często i trzy po sobie następujące spółgłoski są wymawiane, jak w zwykłych słowach „helped” czy „tests”: oto język narodu

mężnego, energicznego, zdolnego do walki z przeciwnościami! Jeśli to prawda, to jakież wulkaniczne energie powinny drzemać w nas, Polakach, którzy okiem nie mrugnawszy potrafimy wymówić zdania w rodzaju: „zgniółszy wiedźm krnąbrność mknijmy wzwyż”, „w zmierzch ścichił zgiełk pszczoł” i podobne!).

Jest w naszej społeczności inteligentniejsza, rozumiała, ale sprzeczna z doświadczeniem skłonność do depresyjnego ponizania własnych możliwości. A przecież, czyśmy się dobrze czy źle spisywali (z czym różnie, jak wiemy, bywało), w żadnej chwili naszych zmagani, upadków i wzniesień nie byliśmy nieważnym dodatkiem do innych sił, ale — wybaczyć — nosicielami słowa, bez którego ludzie i narody skazane są na paraliż. Głupio powtarzać takie mądrości z kalendarza, a jednak nie są one za oczywistości uznane. Należy w tej sprawie uczyć się historii u satrapów, ale przemysłnych satrapów, nie tępych. Tępy satrapa powiada sobie bowiem: „a cóż mi tam paru mędrków może zrobić, palcem w bucie kiwających! A ja mam policję, cenzury, pały, gazety, telewizję, maszynę władzy, wsadzić mogę, zamknąć gębę mogę, nic mi nie zrobią!”. Przemysłny satrapa wszelako wie dobrze, że tak rzecz nie wygląda, że inteligencja wcześniej czy później, na pozór bez broni żadnej, jadowitą i nieuchwytną trucizną Słowa tak fundamenty jego gmachu przegryzie, że samo próchno zostaje, choć niby przedtem mało co się działo. Toteż przemysłny satrapa wie, że na inteligencję jest jedna tylko rada: ani zastraszać, ani przez kapralów w karby brać, ani przekupywać ani ugłaskiwać, ale tylko wyróżnić, wyróżnić z całym pokoleniem. Póki jest inteligencja prawdziwa w narodzie, choćby zagłuszona i zastraszona, spokoju nie ma i pewności nie ma, bo to plemię, nawet gdy z wierzchu posłuszne, słowem jednak, jak termity drzewo, wszystko niszczy, a tylko na sposobność czeka i gdzie się jaka szczelina otworzy, już się rzucają i rady dać nie można. Więc wyróżnić tak szczętem. A i to, jak się okazuje, nie jest wcale łatwe. Hitler i Stalin, obaj wiedzieli, że trzeba inteligencję polską zwyczajnie wytrzebić, jeśli się chce naród zbydlęcić i zabrali się do dzieła raźnie, wzajem sobie pomagając: a jednak, mimo spustoszeń i zniszczeń, jakie sprawili, nie udało się zadanie, kultura polska i polska inteligencja przetrwały. A gdy u siebie w domu Stalin jął rzezać inteligencję z tym rozmachem i konsekwencją, jakie tylko nowy, najpostępowszy ustrój dać może (to, co Hitler zrobił w stosunku do niemieckiej inteligencji i niemieckiej kultury, było, w tym zestawieniu, ćwiczeniem nieśmiałego debiutanta), wydawać się mogło, że dzieła dokonał: że wyniszczył z korzeniem kulturę rosyjską, przerwał jej ciągłość historyczną, na śmierć zdeptał. Lecz patrzcie, ledwo parę lat minęło od kiedy go anioł apopleksji powalił, a oto nowe kiełki jęły ze spalonej

ziemi wyrastać, zmija prawdy głowę podniosła, zjawiała się jakby z niczego inteligencja rosyjska, literatura, teatr, film, filologia, wiedza humanistyczna. Pod koniec lat 50-tych i w 60-tych zaczęło się skromne, ale prawdziwe kwitnienie kulturalne w Rosji, a tu i ówdzie nawet w jej przyległościach imperialnych. Przyszło, oczywiście, mściwe przeciwdziałanie, od paru lat zwłaszcza nasilone: widzimy, jak but żandarmski coraz mocniej gniecie, więzienia i obozy koncentracyjne dla niepokornych, zsyłki, domy dla wariatów, pogroźki, szykany, banicje. A mimo to walka z bezsilną inteligencją, co to niby, śmiech powiedzieć, ołówkiem na czołgi się zamierza, ta walka jest już przegrana. Nie tylko dlatego, że Postępowy Ustrój wigor stracił, masowych rzezi się wstydzi, konsekwencji nie ma, ale i dlatego, że już z niczego i nijak okrucu wiary wysupłać nie potrafi, że dusi, ale z duszonego gardła pieśni ku swojej chwale nie umie wycisnąć (nie dziwota zresztą, bo póki Stalin był, był nieśmiertelny, więc kręciło się mrowie pieśniarzy i piali mu głośno, wzajem się przekrzykując, ale dziś? Wie przecież każdy muzykus, że oto pieśni dla wodza sporządzi, a następnego dnia obudzi się i w gazecie przeczyta, iż właśnie „się okazało”, że „pewne poważne błędy” itd., słowem że wodza nie ma i nigdy nie było, a muzykus zostanie niczym z gołą pupą na przyjęciu u gubernatora; a co osoby wodza dotyczy, dotyczy i wielu innych rzeczy, więc i najtępsi przezorności się nauczyli i gdy pieją, to cicho jakoś, półgębkiem i na boki zerkając).

A kiedy mówię o potrzebie wyróżnienia inteligencji jako właściwym ratunku dla Postępowych Ustrojów, to mam na myśli nie po prostu ludzi tak czy owak wykształconych — bo i Postępowy Ustrój potrzebuje wykształconych — ale tych, co w jakichkolwiek zawodach i jakiejkolwiek społecznej proweniencji starają się przechować ciągłość narodowej kultury, jej więzi ze światem i którym zależy na jakości tego, co robią, jako celu dla siebie. Tacy byli podejrzani nie tylko, gdy byli z zawodu robotnikami Słowa, ale także inżynierami lub lekarzami: mieli bowiem lojalność względem samej swojej sztuki, swojej wiedzy i zawodu, a więc jeszcze inne lojalności, aniżeli względem Postępowego Ustroju i jego wodzów. A wartości duchowe związane z własnym rzemiosłem nie są przywilejem żadnej szczególnej części inteligencji. Podejrzany był statystyk, który lubił, by statystyka była dobrze robiona, bo taki nie garnął się do fałszowania danych statystycznych; podejrzany lekarz, jeśli pamiętał przysięgę Hipokratesa i jakoś na serio ją brał, bo wtedy trudno go było użyć, na przykład, do wydawania fałszywych orzeczeń dla zamykania ludzi w psychiatrycznych więzieniach; podejrzany inżynier, który pamiętał, że dzieła inżynieryjne dla ludzi przez ludzi są robione, bo takiego nie cieszyło ani dzieło oparte na pracy niewolniczej,

ani dzieło do niczego niepotrzebne, ani dzieło dla celów zbrodniczych; tym bardziej podejrzany prawnik, który prawo na serio traktował. Wszyscy tacy nie mogą mieć lojalności niepodzielnej względem Postępowego Ustroju, ale mają inne lojalności, często z tamtą niezgodne i podejrzani są nawet, gdy bez oporu pracują. Zadaniem Postępowego Ustroju jest wyprodukowanie tak zwanej „nowej inteligencji”, to znaczy ludzi jakąś jedną rzecz umiejących, a poza tym ciemnych. Niedobrzy są wszyscy, którzy chcą prócz ścisłego zawodu coś o świecie wiedzieć, inżynierowie znający historię, lekarze interesujący się filozofią, matematycy uprawiający poezję. Stąd naturalne dążenie Postępowych Ustrojów, aby zlikwidować Uniwersytety w tradycyjnym znaczeniu i zredukować je do szkół czysto zawodowych, gdzie można dokładnie rozdzielić wiadomość i umiejętności potrzebne dla określonych zawodów i produkować niby-inteligentów z kalekim umysłem. Chodzi o to bowiem, że zajmowanie się sprawami ogólnymi ma być przywilejem tych tylko, co posiadli najwyższe posady i nikogo więcej. (Stąd w Związku Sowieckim można przymusowo w psychiatrycznych zakładach zamykać tych, co by w ustroju coś zmienić chcieli: cierpią wszakże na obłąkańcze idee reformatorskie). Perfekcji w tych sprawach nigdy się nie osiągnęło i nigdy, miejmy nadzieję, się nie osiągnie, a Postępowy Ustrój, na szczęście, traci swoją pewność siebie; w Polsce zaś nigdy jej nie miał dosyć, a teraz mniej, niż kiedykolwiek. Niemniej żywiołowa jego skłonność zawsze w tym kierunku zmierza.

Oto w jakim znaczeniu inteligencja jest naturalnym wrogiem Postępu. I tego to nasienia ani w Polsce ani nawet w Rosji nie udało się zniszczyć.

Tak więc myślę sobie, że Słowo nasze nadal, jak wieszcz uczył, za „czarodziejską zdrojów Mojżeszowych łaskę” służyć nam może i służy. I czy jest sceptyczne i zgryźliwe, czy raczej wiarą i nadzieją natchnione, czy analityczne, i uczone, jakoś się z różnych stron do sprawy naszej przyczynia, jeśli tylko kłamstwem Postępowego Ustroju nie daje się zarazić. A już i robotnik Słowa i słuchacz jego dobrze wiedzą, kiedy Słowo skażone jest kłamstwem i nawet kiedy z wymuszonego przemilczenia prawda przeziiera a kiedy jest zatajona; bo wymuszone przemilczenie, któremu prawie wszyscy tak czy owak są poddani, może być różne, a półprawda może pomagać otwieraniu całej prawdy albo utwierdzać kłamstwo i granica ta, choć trudno ją w ogólnej formule ująć, wszystkim nam jest wiadoma.

Tak więc, by do sprawy motyki i pałasza powrócić, nie jesteśmy my tacy bezsilni, póki nam Słowo potrzebne w głowie tkwi nieustannie, a jak świat światem ludzie bez motyki i bez pałasza Słowem na słońce się porywali i — uważajmy — przeważnie

z jakąś skutecznością. Bo w takim położeniu w jakim jesteśmy tylko szalony mógłby po pałasza wzywać. Nie obeschła jeszcze krew robotników polskich pomordowanych w grudniu 1970 roku, a których liczby nawet do tej pory nie znamy. A z takich nieszczęść leczyć się trudno, bo tak się jakoś dzieje, że rany w walce z wrogiem zewnętrznym odniesione albo zadane szybciej się zablizniają, a krew bratobójczo przelana przez pokolenia nie schnie. I wolno nam przyjąć, że nie ma dziś różnicy między sprawą robotniczą i inteligentką, a podobnie nie ma różnicy między sprawą narodowej i obywatelskiej swobody. Nie powiadam, że zawsze i wszędzie tak się dzieje, bo to najoczywistsza nieprawda (wszakże są kraje bardziej od nas lub całkiem suwerenne, a bardziej od naszego tyrańskie — pierwszym przykładem sam najpostępowszy z Postępowych Ustrojów), ale tu i teraz zbiegają się te roszczenia w jedno. Ilekolwiek w dziejach naszych piętnować możemy niesprawiedliwości społecznej, nietolerancji, krzywdy, głupoty i nikczemności, nigdy nie zdobyliśmy się na to, by wewnętrznymi siłami zbudować despotyczne zasady rządzenia; te nam z zewnątrz były narzucane; i jakąś chlubę moglibyśmy z tego czerpać, ale ten temat zostawmy, bo ślepe samouwielbienie i samo-wybielanie i tak dosyć łatwo nam przychodzi.

Więcej napisałem, niżeli zamierzałem i ani nie jestem pewien, czy umiałem rzecz, o którą mi chodzi, dobrze nazwać, ani, czy mądrości pradziadów nie klepię. Tym drugim się nie martwię, bo cóż zrobić, kiedy takie są lekcje w naszym elementarzu, które z pokolenia na pokolenie musimy dukać. Na czym przerywam.

Leszek KOŁAKOWSKI

Poprawki, uzupełnienia, propozycje

Uwagi te określe na marginesie artykułów opublikowanych w *Kulturze* dość dawno, w połowie 1973 i na początku 1974 roku. To sprawa, że przystąpiłem do ich pisania z pewnym wahaniem. Jednakże przecież to „okoliczności ode mnie niezależne sprawiają”, że *Kultura* dociera do mnie od przypadku do przypadku, niekiedy z ogromnym opóźnieniem. A tematy, o któ-

rych chcę pisać, nie zdezaktualizowały się wcale i nie prędko im to zagraża.

Na początku chciałbym stwierdzić, że *Kulturę* i wszelkie próby współpracy z nią ze strony autorów krajowych uważam za ogromnie ważne. To może budzić wątpliwości, ponieważ *Kultura* dociera do czytelnika krajowego w tak małym zasięgu i tak przypadkowo. (Oczywiście, pomijam wiernych czytelników *Kultury* wśród ubeków). Nie mam pojęcia, ile ludzi w kraju czyta *Kulturę*. Dwa tysiące? Siedmiuset? Pięciuset? W każdym razie nie ulega wątpliwości, że w porównaniu z tą garstką *Przekrój* i *WTK* są potęgami masowego przekazu. Czy więc pisze się do *Kultury* po to: żeby dać świadectwo potomności, żeby wiedziała, że w naszym pokoleniu nie wszyscy byli takimi moralnymi śmierzdelami jak Kąkol, czy Górnicki, czy Urban, czy Machejek. Czy dla tej garstki, żeby przeciwdziałać poczuciu osamotnienia, które tak rozbija ludzi o nieprzykupionym i niezwarowanym sumieniu? Te cele wcale nie wydawałyby mi się takie śmieszne. Przecież naród, kultura, systemy etyczne, to są rzeczy żyjące ciągłością i głosy samotników niekiedy okazują się ważne ze względu na ich oddźwięk w czasie. Jednakże nie sądzę, żeby wymiana myśli w *Kulturze* miała sens tylko z takiej perspektywy. Ważna jest nie tylko liczba odbiorców. Moim zdaniem można pod tym względem mieć zaufanie do instynktu klasowego komunistów. W historii nowożytnej chyba nie ma drugiego przykładu oligarchii, która by miała takie niezawodne wyczucie tego, co może być dla niej zagrożeniem. Zaciekłość z jaką tropią *Kulturę* w kraju świadczy o tym, że jej publicystyka może mieć znaczenie nie tylko dla potomności, ale i dla kształtowania postaw obecnie. Zapewne tylko wśród inteligencji. Ale postawy inteligencji — inżynierów, nauczycieli, pracowników naukowych etc. — właśnie są jedną z rzeczy doniosłych dla tego, co się w Kraju dzieje czy może czy powinno.

Moja wypowiedź ma dotyczyć artykułów XYZ, „Nocne ro daków rozmowy” (*Kultura*, Nr 6, 1973) i Pelikana, „Somnia vigilantium” (*Kultura* Nr 1-2, 1974). Artykuł XYZ jest fascynujący, ale z pewnymi jego tezami nie mogę się zgodzić. (Na razie nie wspomnę o jego zupełnie niestrawnym zakończeniu). Jednym z braków tego artykułu jest pominięcie faktu, że w Polsce obecnie istnieje spora warstwa ludzi, w których interesie jest utrzymanie istniejącego stanu. Innym brakiem jest ujęcie roli Gomułki. Dążenie XYZ do tego, żeby obiektywnie ocenić rolę Gomułki w powojennej historii Polski oczywiście jest słuszne. Jednakże moim zdaniem dążenie to nie zostało zrealizowane. Wydaje mi się, że jednym z powodów tego jest nieznanomość czy niedocenianie znaczenia przemówienia Gomułki w Sali Kongre-

sowej, na zebraniu sekretarzy powiatowych z całego Kraju, niemal natychmiast po jego ponownej intronizacji. Ktokolwiek uważnie przeczytał to przemówienie powinienby napisać, że „Gomułka niemal natychmiast po powrocie do władzy zorientował się że nie ma na kogo liczyć w swej grze z Rosją. Pożyczka zaoferowana Polsce przez Dullesa była jednoznaczna z odmową wtrącania się do tej gry”. Tak można pisać, jeżeli się zakłada, że Gomułka kiedykolwiek zamierzał taką „grę” prowadzić. Ale Gomułka wcale nie zamierzał tego czynić, i to nie tylko ze względów taktycznych. Przecież musiałaby to być gra prowadzona bez poparcia aparatu partyjnego — jego ludzi, jego warstwy, jego klasy. To prawda, że w owym czasie Gomułka nie reprezentował typowych postaw tego aparatu, że widział trochę dalej. Stosunek ekipy Bieruta do Kremla cechował strach w chemicznie czystej postaci i zupełne posłuszeństwo. Gomułka potrafił być nieufny i oporny, co z pewnością przyniosło Polsce pewne korzyści. Jednak były to przecież różnice postaw pomiędzy ludźmi z komunistycznego aparatu. Nie można ich przeceniać. Gomułka uważał oporność wobec Moskwy (w ograniczonym zakresie) za swój monopol. Reszta społeczeństwa miała grzecznie naginać swoje rozumy do linii partii, starać się wykonywać plany miesięczne, a aparat partyjny miał te plany egzekwować.

To prawda, że Amerykanie nie mieli zamiaru wtrącać się do „gry” suwerenności Polski i obalenia reżymu komunistycznego. Ale Gomułka wcale też o to „grać” nie myślał. Podczas zawierania umów handlowych z USA musiała panować atmosfera pełnego porozumienia w tej sprawie.

Wogóle, stosunki polsko-sowieckie to oczywiście sprawa kluczowa dla artykułu XYZ. Zanim zgłoszę uwagi krytyczne, chciałbym się podzielić pewnym poglądem własnym. Następujące rzeczy są godne zastanowienia:

- 1) Sowiety nigdy nie usiłowały pogwałcić swoistej neutralności Finlandii.
- 2) Nie pozwoliły sobie na interwencję zbrojną kiedy ich wyrzucono z Jugosławii i Albanii.
- 3) Zrobiły wszystko, co było w ich mocy, żeby doprowadzić do klęski partyzantki komunistycznej w Grecji, choć jej szanse początkowo nie były wcale beznadziejne.
4. O ile wiem, w Czechosłowacji nigdy ich wojska nie posuwały się na zachód od Pilzna.

Kiedy się porówna te fakty ze znaną zachłannością Sowietów, z tym, jak próbowały zagrabic kawał Persji, jak usiłowały wyrzucić Amerykanów z Korei Południowej, jak Rumunia ze swoją

odrobiną niezależności w polityce zagranicznej stale jest pod groźbą interwencji, no i oczywiście z tym, jak się rządzą na swoim folwarku, to jest w pozostałych KDLach, to na pozór trudno to wszystko ułożyć w jakąś rozsądną całość. Wytłumaczenie chyba polega na tym, że rozgrywce pomiędzy Rosją a Ameryką istnieją, w odniesieniu do Europy Wschodniej i Środkowo-Wschodniej pewne ściśle ustalone reguły gry, skrupulatnie przestrzegane przez obie strony. Ich charakter można wydedukować z przytoczonych faktów.

O ile to co napisałem powyżej jest słuszne, to nie mają większego znaczenia politycznego rozważania nad tym, co powinien był zrobić Rząd w Londynie w 1943 albo Delegatura w Kraju. Pod względem moralnym nie jest obojętne nawet to jak się postępuje w sytuacji beznadziejnej. Ale politycznie nie ma odpowiedzi na pytanie co ma zrobić rząd zdradzony przez najbliższych sojuszników i nie mający możliwości żadnego manewru politycznego. Przecież Sowiety wcale nie chciały z nim pertraktować. Cokolwiek by zrobili, nie miałyby faktycznego znaczenia dla losów Kraju. Przecież Benesz nie uchodził za reakcjonistę, i był zdecydowany na ustępstwa, ale nie uratowało to Czechosłowacji przed puczem komunistycznym w 1948 r. Węgrzy zdołali przeprowadzić wolne wybory powojenne i komuniści przegrali te wybory, ale nie uchroniło to Węgrów przed losem KDLu. Krytyka taktyczna rządu londyńskiego jest bezprzedmiotowa.

W „Nocnych rodaków rozmowach” szczególnej krytyce poddana została umowa pomiędzy Sikorskim a Majskim. Oczywiście, że treść tej umowy była dla Polski fatalna. Ale żeby sobie wyrobić sąd o postępowaniu Sikorskiego trzeba wziąć pod uwagę dwie sprawy. Jedna, to postawa rządów angielskiego i amerykańskiego. Druga to, że Sowiety miały w tej grze taki atut jak półtora czy dwa miliony obywateli polskich w łagrach i na zsyłce.

Teraz z kolei uwaga o ocenie polskich komunistów w „Nocnych rozmowach”. W artykule czytamy, że „przyjęcie sowieckiego modelu... nie było wynikiem nacisku Moskwy, lecz wyborem dokonany przez partię w chwili, gdy obejmowała władzę”. Jeśli tę tezę wziąć dosłownie, to nie można się z nią zgodzić. Dowodzi tego chociażby sprawa pierwszego i drugiego, tzn. ostatecznego, wariantu planu sześcioletniego. Miała ona podstawowe znaczenie dla rozwoju gospodarki Kraju po wojnie. Jak wiadomo, wariant drugi opracowano pod naciskiem Moskwy.

To, że dosłownie wzięta teza XYZ jest nie do przyjęcia, nie jest żadnym usprawiedliwieniem dla komunistów polskich. Oczywiście, że dokonali wyboru. Obrali sytuację grupy obejmującej

we własnym kraju władzę wbrew woli całego narodu i mogącej ją utrzymać wyłącznie za cenę bezwarunkowego posłuszeństwa wobec zagranicznego mocodawcy. Obrali wiarę w „misję dziejową” Sowietów. Wobec tego, co wybór ten oznaczał, wszelkie późniejsze tłumaczenia typu „tego to myśmy nie chcieli”, „do tego, to nas przymuszono”, są śmiechu warte. Obecnie chyba dostatecznie dobrze wiadomo, że wszystkie partie komunistyczne były zbolszewizowane, że innego komunizmu niż zaprzysiężenie sumienia Moskwie nie było i że na rolę oszukanych i przymuszanych niewiniątek nie ma w całej tej sztuce miejsca.

Rolę Bieruta i jego ludzi można oceniać z dwu punktów widzenia. „Absolutnego” i „względego”. Z „absolutnego” punktu widzenia była to po prostu rola haniebna. „Względny” punkt widzenia to by było porównanie bilansu rządów Bieruta i jego odpowiedników w innych KDLach. To zadanie muszę pozostawić ludziom dokładniej ode mnie znających historię powojenną tych krajów.



W artykule XYZ mowa o szczególnej roli, a nawet o „misji” Polski. Europa ukształtowana jest z narodów i każdy z nich jest jakoś „szczególny” i ma szczególny wkład do jej historii i kultury. W każdym niestety są autorzy ulegający złudzeniu, że ich naród jest najszczególniejszy i że historia obraca się dokoła jego losów. Szkoda, że zdaniem XYZ „jedynym celem” (podkreślenie moje — J.Z.) „doktryny państw demokracji ludowej, owej misternej konstrukcji” było „przekształcenie Polski w przyczółek sowiecki w Europie”. Znaczyłyby to, że Rosjanie zagarnęli Węgry, Rumunię, Bułgarię, Czechosłowację, część Niemiec, Albanii nawet, wyłącznie po to, żeby zsovietyzować Polskę. Rosjanie zagarnęli wszystkie te kraje *włącznie* z Polską, ponieważ nie popuścili niczego, co mogli wyrwać sojusznikom zachodnim. Przyświecały im dwa cele: „Owieczny” — rosyjski, to jest opanowanie Bałkanów, przedarcie się na morze Śródziemne, i „nowy”, bolszewicki — przedarcie się ku Niemcom. Ani jednego ani drugiego celu w pełni nie osiągnęli i z osiągnięcia żadnego nie zrezygnowali. Dlatego tak niemądrze jest wierzyć w ich intencje pokojowe obecne. Co do „szczególności”, przyznaję, że wśród zdobywczy sowieckich Polska wyróżnia się zarazem tym, że jest bardzo ważna i tym, że jest szczególnie trudna do „strawienia”. Leży pomiędzy Rosją a Niemcami. Ma najwięcej ludności i największy potencjał militarny z krajów podbitych w wyniku ostatniej wojny. No i ma najdłuższą tradycję oporu wobec panowania Rosjan.

A teraz co do misji Polski w stosunku do innych krajów Europy Wschodniej i Środkowo-Wschodniej.

W dotychczasowych dziejach imperium sowieckiego nieomal wszystkie konflikty wewnętrzne miały charakter narodowy. Jak dotychczas, politykom sowieckim doskonale udawało się stosować zasadę „dziel i rządź”. Tłące się, nie wybuchające nacjonalizmy są im jak najbardziej na rękę. Toteż nic nie jest równie ważne dla narodów tego imperium jak nauczanie się solidarności wobec przemocy sowieckiej. Jednym z najbrzydlivszych wyczynów Moczara było jego przemówienie z 1968 w którym judził głupią polską niechęć do Czechów. A milczenie w sprawie inwazji na Czechosłowację to jeden z najsmutniejszych (moim zdaniem nie tak znów licznych) błędów Kościoła w Polsce.

Wobec tego, zarówno ze względów moralnych jak politycznych, niepokojem przejęło mnie zakończenie „Nocnych rozmów rodaków”, gdzie stwierdza się co następuje:

„Ostatnie dziesięciolecia wykazały, że... w krajach... które znalazły się po wojnie w składzie bloku sowieckiego, niezwykle silne jest dążenie do samodzielności i suwerenności. Powstanie zjednoczonej Europy (Zachodniej jak rozumiem) nie tylko nie przyczyni się do oderwania się tych krajów od europejskiej wspólnoty, lecz wręcz przeciwnie doprowadzi do spotęgowania poczucia krzywdy, zależności i bezradności. Wcześniej czy później stanie Związek Sowiecki w obliczu skutków narastającego w ten sposób napięcia i jest rzeczą nader wątpliwą czy jakikolwiek układ policyjny między Ameryką i Rosją potrafi zapewnić na czas nieograniczony uległość tych krajów. Pewniejszym gwarantem bezpieczeństwa Związku Sowieckiego byłaby Polska suwerenna, dbająca w dobrze zrozumianym interesie własnym o jak najlepsze stosunki ze swym wschodnim sąsiadem”.

Autor widocznie uważa, że pewne rzeczy ujdą tylko wtedy jeżeli się je wypowie w dostatecznie mgławicowy sposób. O ile mogę coś z tej mgławicy wyłowić, to tylko pomysł, aby kiedyś, gdyby doszło do buntu KDLów, Polska — za cenę ofiarowania suwerenności jej jednej — powinna zachować się w sposób przyczyniający się do zapewnienia „bezpieczeństwa Związku Sowieckiego” czyli do zachowania przez niego władzy nad innymi narodami. Czy to przyzwoite, osądzić może każdy sam dla siebie, wspomnę więc tylko o tym, jakie to niemądre. Na suwerenność Polski mogłaby się zgodzić tylko taka Rosja, która by już nie mogła być imperium i która by już — na szczęście dla Rosjan — nie mogła być sowiecka. Nie byłoby komu ofiarować usług w zapewnianiu „bezpieczeństwa”. Wyzwolenie spod panowania sowieckiego nie może dojść do skutku w ten sposób, żeby było przywilejem jednego kraju.

Najdziwniejsze jest dla mnie to, że cała ta konstrukcja jest

sprzeczna z poprzedzającą treścią artykułu XYZ. Zupełnie jak gdyby ten fragment był napisany w takim pośpiechu, że autor niezupełnie rozumiał, co pisze.



Artykuł Pelikana, „Somnia vigilantium” jest mi o wiele bliższy niż „Nocne rodaków rozmowy”. Zgadzam się z większością jego tez. Jest tylko jeden punkt, co do którego chciałbym przedstawić odmienny pogląd. (Tak się składa, że Pelikan i XYZ — o ile rozumiem — co do tego punktu się zgadzają).

Mowa o „pracy organicznej”. W obu artykułach jest ona przedstawiona jako coś równoznacznego z oportunistem, dorobkiewiczostwem, moralnym upodleniem. To jasne, że jeśli tego rodzaju postawy będzie się nazywało „pracą organiczną”, to nazwa ta nie będzie oznaczała nic innego jak tylko wszystkie te niegodne rzeczy. Nie rozumiem jednak, dlaczego mamy odbiegać tak dalece od tradycyjnego w naszym życiu narodowym znaczenia tego terminu i „darować” go ludziom, dla których mówienie o pracy organicznej może być tylko parawanem. Jeśli idzie o „pracę organiczną”, w zasadzie zgadzam się z tym co pisała Prusińska (*Kultura*, w 1972 roku).

Propozycje publicystów powinny brać pod uwagę życie w Kraju. Do czego powinny więc nawoływać? Do „nocnych rozmów”? Z pewnością tak. Są one niezbędne. Skoro środki masowego przekazu są u nas narzędziem masowej demoralizacji i ośłupiania społeczeństwa, to zwykła ludzka rozmowa, szczerza i ufna, staje się ważnym sposobem przekazywania tych prawd i tych wartości, które tam nie znajdują wyrazu. Co poza tym jednak? Co dla zwykłych przyzwoitych ludzi w Kraju na co dzień? Czy tylko nakaz wewnętrznego oporu przeciwko demoralizacji i zakłamaniu? Myślę, że trzeba właśnie mówić o tym, co powinniśmy robić — a czego pod żadnym pozorem robić nie możemy, skoro mamy być w Polsce przyzwoitymi ludźmi na co dzień. Mamy być przyzwoitymi ludźmi, w naszej codziennej zawodowej roli inżynierów, lekarzy, nauczycieli, uczniów, pracowników naukowych i idzie o to, na czym to polega.

Moim zdaniem „praca organiczna” powinna być traktowana jako synonim przyzwoitości w praktyce na co dzień. Uczciwego wykonywania zawodu i uczciwości w sytuacjach codziennych. Strzeżenie własnego i publicznego morale to właśnie jest jedna z najistotniejszych potrzeb organicznych narodu. Praca organiczna obejmuje również to, żeby nie kłamać, nie „popierać”, nie głosować, nie maszerować, nie płacić na kolejne „Wietnamy”. Nie

bawić się w małych Henryków IV dla których „Paryż wart jest mszy”.

Uważam, że praca organiczna obejmuje wezwanie do tego, żeby myśleć samodzielnie, żeby nie dawać sobie wmówić, że Sołżenicyn jest wrogiem Polaków, że Amerykanie chcą nas zalać pornografią, że milicja ma prawo zatrzymywać na ulicy młodych ludzi i strzyc im głowy, że dobrze jest, że w Polsce nie ma strajków, które by „dezorganizowały życie”. Żeby nie tylko umieć sobie samemu zdawać sprawę z istoty komunistycznych nagonek, raz na biskupów, raz na Żydów, raz na kogo jeszcze komuniści je urządzają, ale żeby w chwilach naprawdę ważnych nie ograniczyć się do biernego bojkotowania ich, ale umieć wstać i powiedzieć, że taka a taka nagonka nie ma podstawy.

Cały program pracy organicznej zapewne jest programem dla inteligentów. Praca organiczna zawsze była programem dla inteligentów. Jestem inteligentem i oczywiście jest to dla mnie ważne jak się ma w moim kraju zachowywać inteligent. Poza tym, jak już stwierdziłem, uważam, że o ważności grupy społecznej nie decyduje jej liczebność, i że jest to niezmiernie ważne dla kraju jak się zachowują jego inteligenci.

Moim zdaniem, praca organiczna nie powinna być traktowana jako jakieś zasadnicze, światopoglądowe opowiedzenie się przeciwko konspiracji. Nie jestem przeciwko konspiracji „w ogóle”. Nie jestem przeciwko nielegalności „w ogóle”. Jest to sprawa skuteczności działania w danym czasie. Obecnie w Polsce konspiracja jest bez sensu. Może jednak nadejść czas, kiedy będzie nieodzowna. Nie uważam, że opowiedzenie się za hasłem pracy organicznej wyłącza działanie nielegalne czy traktowane jako takie przez rząd. Na przykład, więc nie zgadzam się, że jest coś sprzecznego pomiędzy pracą organiczną a współpracą z pismami emigracyjnymi.

Znam ludzi, którzy współpracę z pismami emigracyjnymi (mam oczywiście przede wszystkim na myśli *Kulturę*) uważają za „niedopuszczalną” z rozmaitych „zasadniczych” powodów. Nie ma co się łudzić. Istotnym powodem ich stanowiska jest strach. Ludzie, którzy unikają współpracy z prasą emigracyjną ponieważ nie jest ona redagowana w duchu ich „poglądów”, nieraz przez lata współpracowali czy współpracują z pismami reżymowymi. Ich artykuły, w których się starają nie uchybić przyzwoitości niczym prócz przemilczeń, sąsiadują z kłamstwami i chamstwami dyktowanymi przez kolejne „plenium”. Słowem, strach w szatach bezkompromisowości.

Co do życia w Kraju, nie uważam, że na dzisiaj zawsze należy

się powstrzymywać od „drażnienia psa”. Że zawsze np. należy starać się powstrzymywać ludzi od strajkowania, ze względu na konsekwencje. Czasami rzeczywiście rzeczą właściwą jest zapobiegać strajkowi (naturalnie nie mówię tu o tłumieniu strajku wraz z partyjnymi i ubekami). Czasami może być potrzeba poparcia strajku, a nawet jego organizowania. Praca organiczna nie może być synonimem strachu.

Życie w Polsce według wymogów przyzwoitości wydaje mi się trudne, ale czasami przyzwoitość polega na rozumieniu różnicy pomiędzy trudnością a niemożliwością tego, co nakazują jej wymogi. Spełnianie wymogów przyzwoitości wydaje mi się możliwe.

Jan ZWADA

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 234 — MARIA HIRSZOWICZ

KOMUNISTYCZNY LEWIATAN

Wnikliwa analiza biurokracji komunistycznej opracowana przez
znanego socjologa

Str. 132.

Cena F. 15 (dol. 4,25).



TOM 254 — MAREK TARNIEWSKI

EWOLUCJA CZY REWOLUCJA

Wnikliwa analiza istniejącego w Polsce ustroju przeprowadzona przez
autora krajowego. Poszczególne części tej pracy noszą tytuły:
WSTĘP. — POCHODZENIE SYSTEMU. — WŁASNOŚĆ, PAŃSTWO I PARTIA. — ORGANIZACJA SPOŁECZEŃSTWA, ELITA WŁADZY. — RZĄDZĄCY I RZĄDZENI. — ŚWIADOMOŚĆ SPOŁECZNA. — DZIEDZINY I KIERUNKI PRZEMIAN. — CZYNNIKI PRZEMIAN. — ZAKOŃCZENIE.

Str. 288.

Cena F. 40 (dol. 10,50).

Archiwum polityczne

Materiały do refleksji i zadumy

W chwili gdy piszę te słowa (druga dekada kwietnia) — komuniści znajdują się 45 kilometrów od Sajgonu. Jak to się stało? Gdy kurz opadnie — jak mówią Anglicy — wydaje mi się, że historycy osądzą, że głównym winowajcą klęski była ludność cywilna. Gdy powstaje panika w jednej wiosce — powstaje dwukrotnie większa panika w sąsiednich wioskach. Gdy powstaje panika w jednym miasteczku — powstaje dwukrotnie większa panika w sąsiednich miasteczkach. Tak rodzi się lawina uchodźców, która w ostatnim okresie objęła dwa miliony ludzi. Te miliony ludzi objętych paniką ucieczki w miastach, we wsiach na wybrzeżu a przede wszystkim na drogach i autostradach — uniemożliwiały przegrupowanie i koncentracje wojsk — co w rezultacie doprowadziło do demoralizacji armii, która opuszczała ważne strategicznie miasta bez wystrzału. Amerykanie oceniają, że armie Południowego Wietnamu porzuciły w beładnej ucieczce sprzęt wojenny wartości ponad 800 milionów dolarów.

Kilka lat temu czytałem artykuł rzeczoznawcy wojskowego, który twierdził, że gdyby pancerne jednostki sowieckie przekroczyły Ren — powstałaby panika na taką skalę, że jakiegokolwiek operacje wojskowe byłyby niewykonalne. Wszystkie drogi i autostrady byłyby tak zatłoczone uchodźcami, że z punktu widzenia wojskowego przestałyby istnieć.

Wietnam potwierdził powyższą teorię. Pojawił się nowy element z którym wojskowi stratedzy muszą się liczyć. Tym elementem jest paniczny, emocjonalny lęk przed inwazją komunistyczną. Armia broniąca danego kraju — musi mieć ludność za sobą, ludność zdyscyplinowaną, gotową nieść pomoc swojej armii. Jeżeli jednak ludność przekształca się w milionowe oszalałe tłumy okupujące lotniska, stacje kolejowe, porty i autostrady — zorganizowana obrona staje się po prostu niemożliwa.

Lęk przed komunizmem nie jest równoznaczny ze zdecydowa-

na wola oporu. Na skutek powszechnej korupcji i przekupstwa — młodzi wietnamczycy masowo unikali służby wojskowej — poprzez łapówki, poprzez fałszowanie dokumentów osobistych itd.

Lecz i w wojsku nie wszyscy walczą. W każdej kompanii południowowietnamskiej są „żołnierze kwiaty” i „żołnierze duchy”. „Żołnierze kwiaty” pracują na fermach a ich żołd idzie do kieszeni dowódcy. „Żołnierze duchy” figurują w stanach kompanii a ich żołd inkasuje dowódca. W rzeczywistości „żołnierze duchy” to są polegli, dezercerzy, zaginieni, zbiegli itd.

Trzeba jednak podkreślić z naciskiem, że żołnierze południowowietnamscy, jeżeli są dobrze zaopatrzeni i dobrze dowodzeni, potrafią walczyć z wielkim męstwem i uporem. Potencjalnie to są doskonali żołnierze, którzy jednak zbyt często bywali oszukiwani i źle dowodzeni przez skorumpowanych dowódców.

Układ paryski z 17. 1. 1973 roku — za który dr Kissinger i Le Duc Tho otrzymali łącznie pokojową nagrodę Nobla — nie miał nic wspólnego ani z honorem, ani ze zwycięstwem ani z pokojem. Zabezpieczał tylko zwolnienie jeńców wojennych i stanowił gwarancje dla komunistów, że wojska amerykańskie zostaną wyewakuowane z Wietnamu. Ci, którzy utrzymywali, że południowi Wietnamczycy dadzą sobie sami radę bez pomocy amerykańskiej — a przede wszystkim bez poparcia lotnictwa i marynarki US — albo kłamali, albo oszukiwali samych siebie.

Prezydent Thieu otrzymał zapewnienie od prezydenta Nixona, że w razie gdy północni Wietnamczycy wznowią ofensywę, amerykańskie bombowce udzielą wsparcia armii południowowietnamskiej. Nixon odszedł a Kongres zajął w tej sprawie negatywne stanowisko.

Od początku było jasne, że Amerykanom nie chodzi ani o honor, ani o zwycięstwo tylko o wydobycie się z kłopotliwej sytuacji i o bezpieczne wyewakuowanie wojsk US z Wietnamu.

Z chwilą gdy komuniści opanują cały Wietnam i Kambodżę — na mapie globu pojawi się trzecie z kolei największe komunistyczne mocarstwo świata. Czy tego rodzaju „narodziny” leżą w interesie Ameryki? Na pewno — nie. Amerykanie mieli tylko dwie drogi aby przeszkodzić owym „narodzinom”. Mogli dążyć do zwycięstwa wojskowego — co musiałoby oznaczać nie tylko bombardowanie Hanoi — lecz przeniesienie głównego teatru działań wojennych na ziemię Północnego Wietnamu. Mniemanie, że armie północnego Wietnamu można zniweczyć pod Sajgonem jest nonsensem.

Alternatywne rozwiązanie musiałoby oznaczać przekształcenie Południowego Wietnamu w twierdzę, której garnizon musiałby się składać tak z jednostek armii wietnamskiej jak i z poważnych sił amerykańskich, stale przebywających w Wietnamie.

Hanoi nie dąży do utworzenia żadnego „rządu koalicyjnego” południowowietnamskiego, tylko zmierza do zjednoczenia całego Wietnamu pod swoim sztandarem. Wydaje się, że prez. Thieu — jak wspominałem — otrzymał od prez. Nixona zapewnienie, że Ameryka pośpieszy z wojskową pomocą w razie gdyby Hanoi

pogwałciła układy paryskie i podjęła działania ofensywne (wywiad z prez. Thieu korespondenta *Nouvelle Observateur* — Marzec 1973).

W prasie zachodnioeuropejskiej roi się od artykułów, które wykazują, że Południowy Wietnam został zdradzony, porzucony itd. Trzeba jednak obiektywnie stwierdzić, że „wietnamizacja” okazała się fiaskiem. Przez „wietnamizację” Amerykanie rozumieli amerykańską armię Południowego Wietnamu. Nie brano jednak pod uwagę, że korupcji, przekupstwa, łapownictwa — zakorzenionych w tradycji wietnamskiej od stuleci — nie da się wykorzenić w przeciągu roku czy dwóch. Wykorzenie tych wad wymagałoby gruntownych reform społecznych. Skłaniam się do opinii, że przeprowadzenie reform, o których mówimy, przekraczało możliwości rządu amerykańskiego. Przyjęto więc zasadę, że każdy Wietnamczyk jest dobrym demokratą jeżeli jest przekonany anty-komunistą. W ten sposób wszyscy wysiłowacze, czarno-rynkowcy, skorumpowani wojskowi — ponieważ byli antykomunistami — mieli zapewnioną egzystencję i protekcję.

13 kwietnia br. Chiny przestrzegły Waszyngton stwierdzając, że pomoc w sprzęcie czy żywności i ewakuacja uchodźców nie uchronią Południowego Wietnamu przed komunizmem, którego zwycięstwo w całym Wietnamie jest zapewnione.

Gdyby prez. Ford — wbrew ustawom ustalonym przez Kongres (*War Powers Act 1973*) i wbrew opinii społecznej w Stanach Zjednoczonych — wysłał do Południowego Wietnamu ekspedycyjny korpus amerykański musiałby dziś liczyć się z reakcją Pekinu, która być może nie ograniczyłaby się do zerwania *détente* amerykańsko-chińskiej.

Nie brakło komentatorów którzy twierdzili, że wydarzenia w Wietnamie i Kambodży wskazują, że istnieją głębokie różnice pomiędzy interesami Chin a Sowietów.

Lecz nawet gdyby tak było, nie należy lekceważyć faktu, że odwrót Amerykanów na tak gigantyczną skalę w południowo-wschodniej Azji musiał wyrzucić wstrząsające wrażenie w całej Azji, nie wyłączając Chin. Ów odwrót musiał wzmocnić frakcję pro-sowiecką w Chinach, która może argumentować, że jak dotąd, nikt nie zmusił Sowietów do tak olbrzymiego strategicznego odwrotu. Tylko Ameryka cofa się na całej linii, nie Sowiety. Pro-sowieccy Chińczycy mogą argumentować również, że *War Powers Act* uniemożliwia prezydentowi US podjęcie aktywnej pomocy zagrożonym państwom w Azji.

Chinami rządzą starcy, którzy, zgodnie z prawami biologii, znikną ze sceny w obrębie najbliższych dziesięciu czy piętnastu lat. Nikt nie może zaręczyć czy nowe pokolenie przywódców chińskich nie zechce szukać porozumienia z Sowietami — tym bardziej, że na terenach Azji nie Ameryka lecz Sowiety wydają się najpotężniejszym super-mocarstwem.

Porozumienie pomiędzy Pekinem a Moskwą stworzyłoby nową sytuację globalną. Tzw. „wolny świat” zmalałby w niepokojący

sposób. Byłoby interesujące wiedzieć czy istnieją w Waszyngtonie jakieś plany w związku z powyżej opisaną sytuacją, której nie można wykluczyć. Z całą pewnością odwrót Amerykanów w Indochinach uczyni porozumienie chińsko-sowieckie bardziej prawdopodobne.

Nie uważam „teorii domino” za absolutnie sprawdzoną i nie sądzę by po upadku Kambodży i Sajgonu inne państwa tego rejonu (z wyjątkiem Laosu) miały podzielić los Kambodży i Wietnamu. Wydaje mi się, że prezydent Południowej Korei, Park, cytowany przez korespondenta *The Time* ujął problem właściwie: „Tam gdzie nie ma dostatecznych i niezależnych środków obrony — wszelkie układy dotyczące zbiorowego bezpieczeństwa tracą wszelki sens”.

Uwaga prez. Parka dotyczy nie tylko układu wzajemnego bezpieczeństwa w Azji lecz również w Europie. Amerykanie gotowi będą pospieszyć z pomocą tylko tym sojusznikom, którzy gotowi są bronić się i mają czym się bronić. To jest podstawowy wniosek, który państwa NATO powinny wyciągnąć z lekcji indochińskiej.

Kłęska Wietnamu i Kambodży przypadła na jeden z najtrudniejszych okresów w nowoczesnych dziejach Stanów Zjednoczonych. Watergate to było Waterloo w walce prezydentury z Kongresem. Pierwszy raz w dziejach „silny” prezydent, wybrany na swe stanowisko przetrzymującą większością, został zmuszony przez Kongres do ustąpienia. Prezydent Ford jest synem tej kłęski, która nie ma precedensu w historii Stanów Zjednoczonych. Krytycy dr. Kissingera winni pamiętać, że sekretarz stanu utracił bazę operacyjną jaką był wszechpotężny Biały Dom.

Nie ulega wątpliwości, że w czasie rokowań z Hanoi dr Kissinger popełnił wiele błędów. Zgodził się między innymi na pobyt wojsk północnawietnamskich w południowym Wietnamie. Z chwilą jednak gdy komuniści podjęli wiosenną ofensywę w Kambodży i w Wietnamie — Kissinger nie mógł już niczego naprawić, ponieważ nie stał za nim „silny” prezydent.

Wydaje mi się że zawiódł również wywiad (*intelligence*) na najwyższym szczeblu. Wywiad wysokiego szczebla powinien był przeprowadzić głębokie i intensywne badania społeczne, socjologiczne i gospodarcze i w oparciu o te badania winien był udzielić odpowiedzi na pytania: dlaczego wietnamizacja okazała się całkowitym fiaskiem? I dlaczego morale wojsk Północnego Wietnamu jest niepomiarne większe od morale wojsk Południowego Wietnamu? Badania tego typu podjęte na szeroką skalę winny były również wyjaśnić dziwny fenomen wietnamski. Z jednej strony komunizm budzi grozę i stwarza problem milionowym mas uchodźców — z drugiej zaś strony, komunizm dla milionów Wietnamczyków jest atrakcyjny i stwarza więzy nieporównanej lojalności. Sprawa atrakcyjności komunizmu stanowi jeden z podstawowych problemów współczesnej doby.

Musi budzić zdziwienie, że kraje bezpośrednio zainteresowane sytuacją w Indochinach jak Australia, Nowa Zelandia i Japonia

— uznały nowy rząd w Kambodży w 12 godzin po upadku Phnom Penh. Wydaje się, że rządy tych krajów uznały, że od Waszyngtonu nie należy już niczego oczekiwać, ale że trzeba jak najprędzej nawiązać stosunki z nowymi władcami Kambodży. Ta sama procedura zostanie zastosowana zapewne w 12 godzin po upadku Sajgonu.

Wprawdzie dr Kissinger w dniu 17 kwietnia br. oświadczył publicznie, że „nigdy nie zapomnimy Chinom i Sowiecom, że dostarczały broni i amunicji armiom, które pokonały armię Kambodży i Południowego Wietnamu” ale *Realpolitik* każe Nowej Zelandii i Australii uznać, że Ameryka nie ma nic więcej do powiedzenia w tym rejonie globu a ewakuacja Amerykanów z Indochin jest faktem nieodwracalnie dokonany.

Jak słusznie zauważył Churchill po Dunkierce — ewakuacjami jeszcze nikt wojny nie wygrał. Amerykanie ponieśli olbrzymią klęskę militarną i polityczną i tego wydarzenia nie da się ani ukryć ani pomniejszyć.

W Ameryce, która weszła w okres „rozdrapywania ran” — z wielu stron padły głosy, że 50 tysięcy żołnierzy US, którzy polegli w Wietnamie oddało swe życie na próżno. Czytałem, że nawet prez. Ford wyraził opinię, która mogłaby być interpretowana po tej linii.

Należy przeciwstawić się tym opiniom z całą mocą. Żołnierze amerykańscy którzy polegli w Wietnamie — nawet jeżeli przyjąć, że bronili skorumpowanego reżymu — przeciwstawiali się zbrojnie komunistycznej tyranii — najbardziej ponurej tyranii jaką znają dzieje. Nikt, kto walczy z tyranią i nikt, kto poległ w tej walce — nie oddaje życia na próżno.

Polegli Amerykanie w swych żołnierskich grobach doczekali się klęski nie zwycięstwa. Lecz to nie jest ostatnia strona ani w dwuchsetletnich dziejach Stanów Zjednoczonych, ani w dwutysięcznych dziejach Indochin.

Kambodża jest — od czasów Kuby — pierwszym krajem zdobyty przez komunistów. Tak w wypadku Kambodży — jak i we wszystkich analogicznych wypadkach — Europy Wschodniej nie wyłączając — komunizm został narzucony siłą i utrzymany jest siłą.

Byłoby błędem nie doceniać klęski w Indochinach. Lecz nie mniejszym błędem byłoby przeceniać znaczenie Indochin. Znaczenie Indochin jako „miękiego podbrzusza Azji” było niewątpliwie przecenione w następstwie upadku armii Czang Kai-szeka i zwycięstwa Mao Tse-tunga na obszarach Chin kontynentalnych. Lecz od tego czasu wiele się zmieniło. Istotą tych zmian jest fakt, że Pekin uważa dziś Sowiety a nie Stany Zjednoczone za swojego głównego potencjalnego przeciwnika.

W moim przekonaniu niebezpieczeństwo atrakcyjności komunizmu jest znacznie groźniejszym fenomenem w Europie, niż w Południowo-Wschodniej Azji. Nie można, niestety wykluczyć, że sytuacja portugalska nie powtórzy się w Grecji, w Hiszpanii i we Włoszech. Ameryka okazała się tak bezsilna wobec kon-

spiracji komunistycznej w Kambodży i w Wietnamie, że owo bezprzykładne załamanie się wpływów amerykańskich musiało wyrzucić wielkie wrażenie w „krajach na krawędzi”. Demokraci i antykomuniści portugalscy, hiszpańscy, greccy i włoscy — musieli już zrozumieć, że Amerykę trudno uważać za największą antykomunistyczną potęgę świata. Ameryka jest największą niekomunistyczną potęgą świata lecz antykomunizm oznacza coś innego.

Lecz może tym przemianom w Ameryce towarzyszą przemiany w Sowietach? Być może antykomunizm nie jest już dziś ani na czasie, ani nie jest potrzebny?

Prof. Zbigniew Brzeziński, znakomity zawodowy sowietolog, w swojej pracy pt. „America and the Triple Crisis” pisze co następuje: „Również rola i atrakcyjność Związku Sowieckiego ulega dramatycznym zmianom. Zamiast być symbolem rewolucji Sowiety stają się dziś coraz bardziej symbolem stałości i społecznego konserwatyzmu w burzliwym świecie”. Aby nie posądzono mnie o tendencyjność przekładu przytaczam odnośny fragment w oryginale: „*Also the role of the Soviet Union is changing dramatically. Instead of being a symbol of revolution it is increasingly today the symbol of stability and social conservatism in a very turbulent world*”.

Z powyżej zacytowanej opinii prof. Brzezińskiego wynikałoby, że nie Kissinger tylko Breżniew jest Metternichem XX wieku.

... „Symbol społecznego konserwatyzmu w burzliwym świecie”. Jest dosłownie nie do pojęcia jak uczony znawca komunizmu może występować z tego rodzaju opiniami i to na drugi dzień po największej klęsce Stanów Zjednoczonych w Indochinach, gdzie w rezultacie sowieckiej propagandy i w konsekwencji sowieckich dostaw nowoczesnego sprzętu wojkowego — komuniści obrócili w niwecz wieloletnie wysiłki Amerykanów, którzy nie szczędzili pieniędzy, pomocy materiałowej i własnej krwi, by nie dopuścić do czerwonego potopu. Jeżeli polityka Sowietów w Indochinach jest „społecznym konserwatyzmem” i „symbolem stałości” — byłoby mi bardzo trudno nie tylko zgodzić się z Brzezińskim, lecz choćby zrozumieć przesłanki, które pozwoliły mu dojść do tak oczywiście sprzecznych z rzeczywistością wniosków.

Jeżeli takie opinie wygłaszają „uczni w piśmie”, akademicy politolodzy — to czegoż należy oczekiwać od senatorów US, którzy nie są uczonymi sowietologami.

Sowiety — jak wiadomo — finansują i wspomagają komunistów portugalskich. Wydaje się prawdopodobne, że za tę pomoc Sowiety otrzymają bazy na Maderze i bazy na wyspach Azorskich. Jeżeli polityka amerykańska nie ulegnie radykalnej zmianie — „portugalizacji” mogą ulec Grecja, Hiszpania a może Włochy. Wówczas Sowiety, jako bastion „społecznego konserwatyzmu” i symbol *stability*”, będą triumfowały nie tylko w Indochinach lecz i w Europie.

Różnica pomiędzy Ameryką a Sowietami nie polega na tym,

że Ameryka jest w odwrocie a Sowiety zwyciężają na wszystkich odcinkach globalnego frontu. Gdyby tak było, różnice dotyczyłyby tylko pozycji strategicznych, które każdej chwili mogą ulec zmianie. Niestety różnice sięgają znacznie głębiej. Sowiety doskonale wiedzą czego chcą i konsekwentnie do tego dążą. Amerykanie przestali być „policjantem globu” — lecz zrezygnowawszy z tej pozycji nie znaleźli dla siebie nowej roli.

To nie Rosja Sowiecka — drogi profesorze Brzeziński — tylko Ameryka winna się stać symbolem *stability*. Ufam, że kiedyś tak będzie.



U ubiegłym roku wyłudował na Zachodzie pisarz sowiecki Wiktor Fainberg, który spędził ubiegłe 5 lat w sowieckich szpitalach psychiatrycznych. W połowie kwietnia br. przybyła na Zachód jego żona dr Marina Wojkanskaja, która jest lekarzem psychiatrą. Marina Wojskanskaja poznała swojego męża w szpitalu psychiatrycznym, w którym pracowała, i ułatwiła mu wydobycie się na wolność. W rozmowie z korespondentem *The Guardian* Wojkanskaja oświadczyła, że w szpitalach psychiatrycznych w Sowietach znajdują się nie setki lecz tysiące dysydentów którym zastrzykuje się gigantyczne dawki insuliny, haloperidolu, stelarinę i inne środki, które bezpośrednio oddziałują szkodliwie na tkankę mózgową.

Dr Wojkanskaja oświadczyła, że wielu sowieckich psychiatrów zdaje sobie sprawę, że dysydenci są psychicznie normalnymi ludźmi lecz tylko nieliczni z psychiatrów są w stanie oprzeć się naciskowi KGB. Tak dzieje się w kraju, który prof. Brzeziński określił jako symbol społecznego konserwatyzmu.

Istnieje pewien typ reżymu z którym żaden uczciwy człowiek nie może kolaborować. Można było współpracować i układać się z Austrią, można było prowadzić politykę ugodową z caratem. Lecz człowiek, który współpracuje z Sowietami bierze świadomie na swoje barki moralną odpowiedzialność za wszystkie Gułagi, za wszystkie szpitale psychiatryczne, za ogół zbrodni przeciw ludzkości popełniany każdego dnia przez władze sowieckie.

Polityka ugody z Sowietami, z polskiego punktu widzenia, nie jest ani możliwa ani moralna. Nie jesteśmy odosobnieni w naszej sytuacji. Dysydenci rosyjscy — tak w Sowietach jak i ci którzy przebywają na Zachodzie — są w identycznej sytuacji jak Polacy. Ich nadzieje, jak i nasze nadzieje, związane są ze zmianami jakie muszą nastąpić w Związku Sowieckim. Wiadomo, że istnieje spora garść Polaków na emigracji, którzy głoszą od lat 30, że w Sowietach nie nastąpią nigdy żadne zmiany. Każdy ma prawo głosić to, co uważa za prawdziwe i słuszne. Nie zamierzam w niniejszym artykule udowadniać tezy, że w Sowietach nastąpią kiedyś podstawowe zmiany. Za naszego życia nastąpiły raczej dość znaczne zmiany w imperiach brytyjskim, francuskim, holenderskim, belgijskim i portugalskim. Trudno byłoby

mnie przekonać, że powyższa reguła nie dotyczy Sowietów, ponieważ w Moskwie odkryto eliksir imperialnej nieśmiertelności.

Dysydenci rosyjscy są naszymi naturalnymi sprzymierzeńcami — podobnie jak naszymi naturalnymi sprzymierzeńcami są narody więzione przez Sowiety, jak Ukraińcy, Litwini czy Białorusini.

W mojej opinii nie wystarczy, by polscy emigracyjni pisarze spotykali się od czasu do czasu z Rosjanami z grupy *Kontynentu*. Zarówno wśród polskiej emigracji jak i pośród rosyjskiej emigracji są ludzie, którzy nie życzą sobie rozmów i zbliżenia polsko-rosyjskiego.

Trudno się temu dziwić. Wśród polskiej emigracji mógłbym znaleźć sporą garść szczerych antykomunistów, z którymi jednak nie pragnąłbym nawiązywać bliższego kontaktu.

Chodzi nam o Rosjan, którzy są nie tylko antysowieccy (co jest coś więcej niż antykomunistyczny), chodzi nam o Rosjan gotowych uzgodnić z nami pewne zasady i ogólne cele. Byłoby rzeczą ważną i pożądaną doprowadzić do podpisania deklaracji polsko-rosyjskiej, choćby nawet ta deklaracja nie wiązała całej polskiej, czy całej rosyjskiej emigracji.

Wielokrotnie Polacy z Kraju zapytywali mnie (zawsze z drwiącym uśmieszkiem) jak układają się nasze stosunki z emigracją rosyjską? Polacy krajowi na ogół nie wierzą, by Rosjanie na Zachodzie — nawet ci co odżegnują się od komunizmu i sowiezmu — interesowali się polską problematyką, czy byli chętni do przyjaznych sąsiedzkich dyskusji rosyjsko-polskich.

Co nas w istocie oddziela od przyjaciół-Rosjan na Zachodzie?

Sądząc z reakcji rosyjskiej prasy emigracyjnej na mój artykuł pt. „Rosyjski kompleks polski i obszar ULB” — oddziela nas od Rosjan nasza polityka w stosunku do Ukraińców, Białorusinów i Litwinów. My, jako Polacy, nie domagamy się dla nas niczego — nie domagamy się zwrotu Wilna i Lwowa w głębokim przekonaniu, że Lwów należeć będzie do przyszłej niepodległej Ukrainy, a Wilno do przyszłej niepodległej Litwy. Innymi słowy, popieramy prawo do samostanowienia Ukraińców, Litwinów i Białorusinów. Nie możemy postępować inaczej. Nie możemy bowiem domagać się prawa do samostanowienia dla Polski — odmawiając równocześnie tego prawa Ukrainie czy Litwie. Ci Polacy i Rosjanie (na Zachodzie) którzy argumentują, że Ukraina jest problemem wewnętrznorozyjskim — zapominają, że dziś nie ma problemów wewnątrzno-rosyjskich — są tylko problemy wewnątrzno-sowieckie. Ukraina jest dziś w tym samym stopniu problemem wewnątrzno-sowieckim jak Polska czy Czechosłowacja.

Jak podkreśliłem w jednym z poprzednich moich artykułów niczego nie przesadzamy w tych sprawach. Być może Ukraińcy samostanowiąc o swoim losie — zechcą zatrzymać powiązania z Rosją. Lecz powiązania te muszą być rezultatem swobodnie wyrażonej woli narodu ukraińskiego.

Pragnąłbym by nasi przyjaciele Rosjanie na Zachodzie zrozumieli, że w tej sprawie nie możemy postępować inaczej. Będąc

narodem ujarzmionym przez Sowiety musimy solidaryzować się z innymi narodami ujarzmionymi przez Sowiety.

Są na emigracji Polacy, którzy głoszą, że powinniśmy odciąć się całkowicie od dążeń narodowych do samostanowienia Ukraińców i Litwinów i za tę cenę wytargować od Sowietów pewne przywileje dla Polski Ludowej. To byłaby polityka nie tylko haniebna lecz również antyproduktywna. Przyjmując ochotniczo posadę sowieckiego żandarma, automatycznie wzmocnilibyśmy strukturę sowieckiego więzienia narodów — pogarszając sytuację nie tylko Ukrainy czy Litwy, lecz przede wszystkim Polski.

Emigranci rosyjscy zarówno dawnej jak i świeżej daty są antysowieccy. Lecz co rozumieją przez antysowiezizm? Odnosi się wrażenie, że niektórzy z nich uważają za możliwe i za pożądane zatrzymanie i utrzymanie imperium sowieckiego przy równoczesnej demokracji i liberalizacji ustroju. To nie jest możliwe, ponieważ sowiezizm oznacza dyktaturę totalistyczno-policyjną na wewnątrz i agresywny imperializm na zewnątrz.

Nie ma i nie może być liberalnego sowiezizmu — tak jak nie może być demokratycznego imperializmu. Ponieważ w praktyce sowiezizm oznacza totalizm na wewnątrz i imperializm na zewnątrz — każdy emigrant rosyjski, który odrzuca sowiezizm musi odrzucać totalizm i imperializm. W tej sprawie nie ma połowicznych rozwiązań.

Emigracyjna prasa rosyjska wysuwała opinię, że nam, Polakom, łatwo jest wyrażać tego rodzaju poglądy — ponieważ za wszystko zapłacić będą musieli Rosjanie a nie Polacy. To byłby zarzut słuszny gdyby można było imperium sowieckie identyfikować z imperium rosyjskim. Lecz, jak wiemy, tak nie jest. W Polsce czy w Czechosłowacji nie stacjonują armie rosyjskie, tylko armia sowiecka. Nie wydaje mi się, by Rosjanie mieli możliwość pozbycia się sowiezizmu przy równoczesnym zatrzymaniu imperium sowieckiego. Z chwilą kiedy upadnie sowiezizm upadnie równocześnie i sowieckie imperium.

Ci Rosjanie, którzy z patriotyczną dumą patrzą na zdobycze imperium sowieckiego są *de facto* prokomunistyczni i prosowieccy bez względu na to co piszą i co mówią.

Wielu Polaków postępuje podobnie. Chcieliby zatrzymać ziemię Zachodnie i odzyskać ziemię Wschodnie, wcielone do Związku sowieckiego. *Kultura* od początku przyjęła stanowisko, że rzetelny antysowiezizm oznaczać musi nie tylko wolność dla Polski, lecz również uznanie prawa do samostanowienia dla Ukraińców i Litwinów. Dlatego od początku głosiliśmy, że Wilno należy zwrócić niezależnej Litwie, a Lwów niezależnej Ukrainie.

Z całą pewnością Polacy bardziej kochają Lwów niż Rosjanie Pragę czy Budapeszt. Lwów nigdy nie był pod zaborem rosyjskim i dzięki temu poczucie ciągłości i przynależności Lwowa do Polski w gruncie rzeczy nigdy nie było przerwane. Nie może więc ulegać wątpliwości, że dla Polaków zrezygnować ze Lwowa jest większą ofiarą niż dla Rosjan zrezygnować z Pragi czy z Budapesztu.

W tym względzie nie można porównywać Polski z Sowietami — ponieważ Polska dziś jest krajem praktycznie bez mniejszości narodowych — natomiast w Związku Sowieckim narody nie-rosyjskie stanowią ponad 50 % ogółu jego mieszkańców.

Na to byśmy się dobrze rozumieli, musimy zdefiniować ściśle pewne podstawowe pojęcia. Każdy wie co należy rozumieć przez antykomunizm. Antykomunista jest przeciwnikiem ustroju komunistycznego w Związku Sowieckim, na Węgrzech czy w Wietnamie. Natomiast antysowietyzm dotyczy tylko Związku Sowieckiego — choć mówimy potocznie o postępach sowyetyzmu w Polsce czy w Czechosłowacji Husáka. Sowietyzm w ścisłym tego słowa znaczeniu musi odnosić się tylko do Związku Sowieckiego — ponieważ komunizm w innych krajach — jak np. Chiny — wykazuje znaczne różnice.

Antysowietyzm musi obejmować anty-imperializm, ponieważ zaborczy imperializm stanowi jedną z podstawowych cech ustroju sowieckiego. Jeżeli ktoś powiada, że dąży do zmian ustrojowych w Związku Sowieckim — lecz pragnie równocześnie by przyszła zdemokratyzowana Rosja zatrzymała swe obecne granice i sfery wpływów — powiada w gruncie rzeczy, że identyfikuje się z imperialnymi celami Sowietów — wolałby natomiast, by owe cele były osiągnięte innymi metodami. Tego typu antykomunizm nie jest antysowietyzmem i w odniesieniu do Sowietów nie wystarcza.

Należy jeszcze dodać, że ci wolni Rosjanie, którzy odżegnują się od komunizmu, lecz z miłości do Rosji chcieliby ją widzieć w przyszłości w tych samych granicach które wykreślają obszar Związku Sowieckiego — zapominają o tym, że obecne granice Sowietów utrzymać można wyłącznie terrorem, który jest do osiągnięcia tylko w totalistycznym ustroju. Totalizm i imperializm to są dwie strony tego samego medalu. Jest dosłownie absurdem przypuszczać, że zdemokratyzowana, nie totalitarna Rosja mogłaby skutecznie przeciwstawić się dążeniom do samostanowienia Ukraińców, Polaków czy Litwinów.

Porzucenie totalizmu i terroru jest w gruncie rzeczy równoznaczne z porzuceniem imperializmu, który nie jest niczym innym tylko terrorem na zewnątrz.

Pomiędzy wolnymi Rosjanami, którzy akceptują logikę powyższego wywodu a wolnymi Polakami nie ma i nie powinno być żadnych różnic.

Pewni emigracyjni polscy publicyści uważają, że Rosjanie na Zachodzie winni bić się w piersi i spowiadać się ze wszystkich zbrodni popełnionych przez władze sowieckie. Publicyści, których mam na myśli, argumentują, że zbrodnie — jak Katyń — popełniali funkcjonariusze NKWD czy KGB narodowości rosyjskiej, czyli po prostu Rosjanie.

Pomijając fakt, że funkcjonariuszami sowieckiego aparatu terroru byli i są nie tylko Rosjanie — powinniśmy również

żądać od współcześnie żyjących Niemców, by bili się publicznie w piersi za wszystkie zbrodnie popełnione przez hitlerowski aparat terroru.

Odpowiedzialność państwa i odpowiedzialność narodu nie zawsze pokrywają się wzajemnie. Tylko naród w pełni stanowiący o swoim losie i korzystający w pełni z praw obywatelskich i demokratycznych odpowiada za swoje państwo i za jego organy władzy. Natomiast naród totalitarnie rządzony — nie mający prawdziwego parlamentu ani niezawisłego sądownictwa nie odpowiada za politykę swojego państwa, ani wewnętrzną ani zagraniczną.

Naród polski nie odpowiada za udział armii PRL w haniebnej inwazji Czechosłowacji — podobnie naród polski nie odpowiada za bezprawia i zbrodnie Bezpieki popełniane niemal każdego dnia.

Naród rosyjski pozbawiony wolności, możliwości ujawnienia się opinii społecznej, pozbawiony niezawisłej władzy sądowej — nie może odpowiadać za zbrodnie władz sowieckich.

Polska w dzisiejszym świecie jest osamotniona. Mam na myśli Polskę potencjalnie wolną i niepodległą a nie twór państwowy zwany Polską Ludową.

Na Zachód nie możemy liczyć. Na emigracji winniśmy szukać zbliżenia z wolnymi Rosjanami nie na to, by wypominać sobie nawzajem krzywdy i nie na to, by licytować się kto bardziej zawinił, lecz w tym celu by znaleźć platformę wspólnego porozumienia. Ani Rosjanom ani Polakom, ani Węgrom czy Czechosłowakom nikt nie pomoże. Musimy wspólnymi siłami dążyć do przemian w ramach bloku sowieckiego i nigdy nie zwątpić w słuszność naszej wspólnej sprawy.



W dniu, w którym kończę ten artykuł zatknięto flagę komunistyczną na pałacu prezydenckim w Sajgonie. Mieszkańcy Sajgonu witali wkraczające kolumny czołgów północnowietnamskich burzą oklasków.

Południowy Wietnam stanowi klasyczny przykład państwa, które w całości uzależnione było od obcej pomocy. Antykomunizm istniał, dopóki były pieniądze, sprzęt, zaopatrzenie — wszystko płynące rzeką z Ameryki. Południowi Wietnamczycy walczyli zjadł dopóki korzystali nie tylko z nieograniczonych dostaw broni i amunicji lecz również z aktywnego poparcia lotnictwa i marynarki wojennej US.

Z chwilą gdy pomoc amerykańska została cofnięta — cała koncepcja niezależnego, niekomunistycznego Wietnamu runęła jak domek z kart.

Wniosek jaki należy wysunąć z tragedii wietnamskiej — można ująć w jednym zdaniu. Nawet Ameryka nie może obronić żadnego narodu przed komunizmem. Przed komunizmem każdy

naród musi bronić się sam. I tylko narodowi, który chce się bronić i potrafi się bronić warto jest pomóc.

W Ameryce przystąpiono już do wszechstronnej i szczegółowej analizy tragedii wietnamskiej. Zarówno prez. Ford jak i dr Kissinger zapowiedzieli reorientację i rekonstrukcję globalnej polityki amerykańskiej.

Byłoby rzeczą niezmiernie wagi, abyśmy na emigracji mogli powołać do życia towarzystwo rosyjsko-polskie, które w sprawach zasadniczych i podstawowych przemawiałoby jednym głosem.

Emigranci rosyjscy wspomną Herzena, który utracił znaczną część poparcia wśród społeczeństwa rosyjskiego z chwilą gdy stanął po stronie powstańców polskich. Lecz jaka jest alternatywa?

Wiemy że ceną przyjaźni z Sowietami jest wyrzeczenie się przez Polaków solidarności z Ukraińcami, Litwinami i Białorusinami. Czy cena za przyjaźń z wolnymi antysowieckimi Rosjanami jest identyczna?

To są pytania, na które wolni Rosjanie muszą odpowiedzieć dziś — nie zastaniając się frazesami: „nikt nie wie co przyniesie przyszłość”, itd., itp.

Porozumienie polsko-rosyjskie winni zapoczątkować wolni Rosjanie i wolni Polacy. Brak tego typu porozumienia wyrazi się wzmożeniem nacjonalizmu w obu narodach i wzmożeniem wzajemnej nienawiści. Wzajemna nienawiść nie wyzwoli z więzów sowietyzmu ani Rosjan ani Polaków. Przeciwnie, wzajemna nienawiść umocni tylko władanie sowietyzmu tak w Rosji jak i w Polsce.

Juliusz MIEROSZEWSKI

Widziane z Brukseli

Bum-bum i bla-bla

„Czyż można sobie wyobrazić, aby ta gigantyczna potęga wstrzymała swój marsz?... Zachodnia granica rosyjskiego imperium nie odpowiada granicom naturalnym... Trzeba będzie pogodzić się z poglądem, iż powinna ona biec od Gdańska lub Szczecina do Triestu...”.

Sformułowanie nie pochodzi z 1945 roku, nie figuruje w protokołach Jałty i nie dotyczy ambicji ZSSR. Zdanie to pochodzi z artykułu wydrukowanego w *New York Times*'ie 12 kwietnia ...1853 roku i podpisanego nazwiskiem Karol Marks.

„Uważajcie, powiadam wam, żelazna kurtyna opadła na kon-

tynent od Szczecina do Triestu... Połączmy nasze siły aby odebrać wszelką pokusę awanturnikom...”.

To nie jest dalszy ciąg artykułu Karola Marksa z 1853 roku. Kiedy szło w świat to potwierdzenie jego prognozy politycznej i geograficznej, ojciec komunizmu już dawno patrzył na nas z góry. Tezę Marksa potwierdził zaś i wysnuł z niej wnioski, choć nigdy Marksa nie czytał, Winston Churchill. A działo się to 110 lat później, 5 marca 1946 roku w amerykańskim mieście Fulton, które tego dnia weszło do historii.

Niecały rok mijał właśnie od ostatnich strzałów w najbardziej morderczej wojnie świata. Trwała ona 6 lat, brały w niej udział 72 państwa, zamieszkałe przez prawie 2 miliardy ludzi, kosztowała 1.500 miliardów dolarów (twardych), wygnała w pole bitwy 110 milionów regularnych żołnierzy, nie licząc partyzantów i ruchu oporu, poległo zaś lub zostało wymordowanych kulą, gazem, czy głodem, nie licząc „gułagów”, ok. 60 milionów ludzi, w tym 20 milionów obywateli ZSSR i 6 milionów obywateli polskich.

Festiwal miłości bliźniego

Rok więc zaledwie mijał od gorącej a już szła zimna wojna. Iran, Turcja, Grecja oraz doktryna Trumana, pucz praski i Plan Marshalla, ekskomunika Tito i Pakt Atlantycki, egzekucje Raika, Kostowa a potem Słansky'ego, lodowa noc w Europie Wschodniej, blokada Berlina, utworzenie NRD z policją uzbrojoną w czołgi. 31 stycznia 1950 Truman wieści narodziny bomby „H”. Nadchodzi wojna koreańska, na arenę dziejów wkraczają „ochotnicy” chińscy oraz żuk „kolorado”.

Zimna wojna się grzeje. Zamiast słów jest ostre strzelanie, żelazna kurtyna staje w płomieniach. Jedna strona drugiej stronie obiecuje „śmierć z wycieńczenia, zanim nie nastąpi całkowite zniszczenie”. Pytanie główne wówczas brzmi: czy zastosowanie broni nuklearnych jest już nieuchronne, czy też można jeszcze poczekać ze zrzuceniem „ok. 30 do 50 bomb atomowych na bazy lotnicze i inne punkty newralgiczne...”.

Dziś oczywiście nikt już tak nie mówi. 30 rocznica zakończenia 2-ej wojny światowej wywołała prawdziwy festiwal miłości bliźniego. Jedynym marsowym akcentem rocznicy były defilady wojskowe na Wschodzie, przede wszystkim w NRD, która się tak zachowuje jakby odegrała główną rolę w koalicji anty-hitlerowskiej, a nie tylko w inwazji na Pragę w 68 roku, oraz przyznanie Breżniewowi prawa noszenia na epoletach gwiazdy marszałkowskiej.

Ponieważ byłoby niedelikatnością przypomnienie w tej atmosferze tezy Marksa i Churchilla o linii „Szczecin-Triest”, skierujemy uwagę ku innym wydarzeniom owych lat. Oto bowiem, 25 lat temu, kiedy gen. MacArthur zastanawiał się nad celowością spuszczenia wzdłuż granicy na rzece Yalu, dzielącej Chiny od Korei już nie kurtyny żelaznej, ale kobaltowej, pochodzącej z opadu

radioaktywnego po wybuchu bomby atomowej, nikt prawie nie zwrócił uwagi na pewną lakoniczną depeszę z Paryża o pewnej dziwnej propozycji pewnego francuskiego ministra.

120 wierszy, które wstrząsnęły Europą

P. Jean Monnet urodził się w mieście o nazwie Cognac, w roku 1888, co dobrze świadczy o jego pochodzeniu, żywotności i o tym, że miał czas poznać świat i ludzi. Już w czasie pierwszej światówki Monnet był wysokim urzędnikiem i fachowcem od ponadnarodowego administrowania zasobami narodowymi. Potem pan Monnet był zastępcą sekretarza generalnego Ligi Narodów, po czym w charakterze doradcy ratował ekonomie Austrii, Chin, Rumunii i Polski. Jak widać z tego spisu i jak wiadomo z historii akcja ratunkowa p. Monnet nie przyniosła ratowanym większych sukcesów, dała natomiast p. Monnet okazję do stwierdzenia, że klasyczne środki nie ratują ekonomii, natomiast ułatwiają przygotowania oraz śmierć na wojnie. W czasie drugiej wojny światowej, wiecznie młody p. Monnet jest głównym negocjatorem spraw *lend-lease'u*, po wojnie, jako autor planu modernizacji Francji, jest pierwszym komisarzem odpowiedzialnym za jego wykonanie.

W kwietniu 1950 roku, p. Monnet, jak zwykle o tej porze roku, spędzał kilka dni w Alpach. W dzień spacerował i rozmyślał, a wieczorami te myśli spisywał. Z perspektywy czasu myśli te brzmią mało rewelacyjnie:

„Trzeba zmienić bieg dziejów. Aby tego dokonać trzeba zmienić duszę człowieka. Aby wstrząsnąć obecnym zastojem słowa już nie wystarczą. Trzeba natychmiastowego działania i to w zasadniczych dziedzinach...”

Brzmi ta myśl jakby żywcem wyjęta ze wstępniaka *Prawdy*, ale zapłodniła kilku poważnych ludzi. Pomiędzy 16 kwietnia a 6 maja 1950 roku rodzi się formuła Europy.

9 maja 1950 dziennikarze zostają nagle ściągnięci do Quai d'Orsay, czyli francuskiego MSZ. Był to wtorek i nikt nie wierzył, że może chodzić o coś poważnego, Rada Ministrów zbierała się bowiem w środy, a i to rzadko bywało ważne... 100 dziennikarzy zebrało się jednak w sali zegarowej aby wysłuchać „ważnego komunikatu rządowego...”.

Chwila wydawała się tak mało ważna, że dziś już nikt nie pamięta godziny. Dla *Le Monde* była 17-ta, dla *Figaro* — 18-ta, a dla *Soir* — 16-ta. Mniejsza. Kiedy na salę, w towarzystwie jak zwykle skromnego Monneta, wkroczył Robert Schuman, minister spraw zagranicznych Francji, wysoki, jajowata, tusa głowa, nieco pochylona ku przodowi, i kiedy z alzacckim akcentem, rozpoczął od znanej nam już formuły: „Panowie, słowa już nie wystarczą...” nikt się nie przejął, a niektórzy ziewnęli. Ale natychmiast przestali ziewać.

Cały „ważny komunikat” miał 120 wierszy. Podstawowy jego paragraf głosił:

„Połączenie produkcji węgla i stali Niemiec i Francji zapewni od razu ustalenie wspólnych podstaw rozwoju gospodarczego, stanowić będzie pierwszy etap federacji europejskiej, zmieni los krajów, oddających się głównie produkcji broni, której ofiarą same padały. Przez powołanie wysokiej instancji, której decyzje wiązać będą Niemcy, Francję oraz inne kraje, które do nich dołączą, propozycja nasza stanowić będzie pierwszy krok ku federacji europejskiej, niezbędnej dla zapewnienia pokoju...”

O tej samej porze, dziennikarze wezwani są do Adenauera. „Propozycja francuska jest wielkoduszna...”. Włochy i trzy kraje Beneluxu doszłusowują szybko. Inne się boją, bronią, zastanawiają. Najbardziej kręci nosem Anglia. Bevin, jak podejrzliwa kochanka, powiedział do ambasadora Francji w Londynie: „Anglia jeszcze poczeka, ale już jestem przekonany, że coś się między naszymi krajami zmieniło”. Monnet zaś powiedział wieszczko do ambasadora Crippsa w Paryżu: „Z całego serca pragnę, abyście się zaangażowali od początku. Ale gdyby tak się nie stało, jestem przekonany, że jako realści, dostosujecie się do faktów, kiedy przekonacie się, że nam się udało...”.

Pierwszym przewodniczącym Wspólnoty Węgla i Stali zostaje naturalnie Monnet. Już wtedy zwano go „ojcem Europy”. Przez kilka lat próbował więc po ojcowsku. Kiedy jednak federowanie Europy staje w miejscu, kiedy rozmaite tępe presje torpedują idee wspólnej obrony i wspólnej polityki zagranicznej, sprowadzają sens wspólnoty wyłącznie do sfery ściśle gospodarczej i odrzucają wszelkie tendencje ponad-państwowe, Monnet rzuca precz dyrekcję węglo-stalową i ogłasza, że odąd poświęci się idei prawdziwej jedności Europy... Jego przyjaciele pukają się w czoło, ale Monnet powiada: „W każdym wielkim ludzkim przedsięwzięciu, musi, aby się udało, być coś z marzenia. Marzenie bowiem, jeśli trwałe, przekształca się w rzeczywistość”. To już nie wstępniak, a wprost cytat z klasyka o „idei, co ogarnia masy”. I Monnet powołuje Komitet Działania na rzecz Stanów Zjednoczonych Europy. Jest rok 1955...

Chory czuje się świetnie

20 lat później Stanów Zjednoczonych Europy nie ma, są Stany Zjednoczone oraz Europa, ale dziewięciopanstwowa EWG załatwia 40 % handlu światowego, ma produkt równy USA, zapewniła, i ciągle — mimo kryzysu — zapewnia wysoką stopę życiową swym obywatelom, a co najważniejsze, wszystkiego tego dokonała bez gułagów i podbojów, a nawet dekolonizując się, a przede wszystkim żyjąc w ustroju demokratycznym, to znaczący luksus na jaki 5/6 naszego świata nie może, albo nie chce, sobie pozwolić.

De Gaulle, który bardzo nie lubił cudzych dobrych pomysłów,

nazwał wspólnotę „miesz-maszem węgla i stali”, zawarł pakt z Adenauerem i przedstawiał się jako właściwy twórca pojednania niemiecko-francuskiego. Bogiem a prawdą jednak, de Gaulle pozostawił w tej dziedzinie przede wszystkim tradycję spotkań na szczycie, częściej dających okazję do skatalogowania napięć niż do ich usunięcia, natomiast prawdziwym przełomem była Wspólnota Węgla i Stali, ten miesz-masz wymyślony przez pewnego marzyciela nazwiskiem Monnet... To dzięki niemu głównie, Niemcy i Francuzi, którzy przez dziesiątki wieków mordowali się o kawałek gruntu, dziś kłócą się o ceny pietruszki. Lepiej, według pewnej myśli naonczas zanotowanej, uprawiać bla-bla niż bum-bum...

Oczywiście, ja wiem, że EWG jest daleko od ideału, żeby się nie wyrazić do czego jest blisko. EWG nie potrafiła dać załączku choćby wyjścia ludzkości z kryzysu, tak aby zmienić cywilizację, bez zamordowania demokracji. Nie potrafiła wziąć okopów sklepikarskiego podejścia państw i państweczek do wspólnego gospodarowania, nie mówiąc już o wspólnym politykowaniu. Żaden wysoki cel nie potrafił jej zjednoczyć, każdy szejik, kacyk czy dement w rodzaju Amina sudańskiego może sobie na wszystko pozwolić. Tylko raz Europa zadziałała wspólnie, kiedy trzeba było w listopadzie 1973 roku skapitulować przed właścicielami nafty i uzależnić przyszłość Izraela od centralnego ogrzewania. EWG nie potrafiła znaleźć lepszego napędu niż pogoń za zyskiem, nie znalazła formuły gospodarczej nie rodzącej nieuniknione napięcia społecznych. Jednym słowem Europa ciągle jeszcze nie znalazła nowej drogi między sklerotycznym sowieckim kolektywizmem a żywiołowym zachodnim merkantylizmem...

Gdzie szukać XXI wieku?

Wystarczy, czy mam ciągnąć dalej? Nic łatwiejszego wszak, na żaden temat nie wypisano więcej bredni niż na temat bankructwa Wspólnego Rynku. W istocie zaś nawet najwięksi sceptycy nie kwestionują dziś formuły Monneta sprzed 25 lat. P. Marjolin, b. wiceprzewodniczący EWG prowadził prace grupy poważnych ekspertów, którzy przez dłuższy czas badali chore ciało EWG. Ich wnioski sprowadzają się głównie do spraw monetarnych i technicznych. Ale nawet p. Marjolin, choć Francuz, nie mógł przemilczeć krytyki „atrofii woli politycznej dziewięciu rządów” (przede wszystkim jego własnego, ale o tym nie wspomina...). Jedność, powiada p. Marjolin, „stanowi jedyną szansę Europy, jeżeli chce ona odegrać jakąś rolę w koncercie świata, jeżeli chce uniknąć losu korka unoszonego przez grzbiet fali morskiej...”.

Tak jak w dowcipie o tym, że optymiści na Zachodzie uczą się rosyjskiego, a realisci — chińskiego, mówienie o roli jaką Europa Zachodnia ma do odegrania na świecie nie jest opty-

mizmem. Śmieszne to, ale prawdziwe, a przede wszystkim logiczne.

Stany Zjednoczone przez długi czas nie podniosą się z szoku po-wietnamskiego i po-watergate. Mają obecnie obsesję swych problemów wewnętrznych. Są dosyć bogate aby pozwolić sobie na taką Katarsis, ale spopielenie społeczne już doprowadziło Kongres do sprzeciwiania się propozycji finansowania pomocy dla uchodźców wietnamskich, ofiar wszakże ich własnej dyplomacji, niektórych polityków do wypowiedzi nie tylko izolacjonistycznych, ale wprost rasistowskich.

ZSSR, poza ogłupiającą gadaniną nie ma nic naprawdę sensownego świata do zaproponowania. Stanowi najgorszy w historii, na tle swych osiągnięć technicznych, przykład społeczeństwa definitywnie zablokowanego, niezdolnego do przerwania zakłętego koła dogmatycznego panzer-komunizmu, tłumiącego wszelką iskrę w obawie przed coraz bardziej nieuniknionym pożarem.

Chiny dały światu „czerwoną książeczkę” z myślami Mao, chyba po to aby udowodnić, iż ciągle na nowo rewolucjonizowany system, pozostanie na zawsze tylko chiński.

Gdzie więc szukać drogi w XXI wieku? W Europie Zachodniej, dryfującej nie wiadomo w jakim kierunku?...

Tak, albowiem, parafrazując powiedzenie Churchilla o systemie parlamentarnym, system EWG jest fatalny, ale nikt jeszcze nie potrafił wymyśleć lepszego. Schumann jeszcze powiedział, że „nie chodzi o wspólnotę węgla i stali, a o wspólnotę losu”, a wszystkim którzy kładą tę myśl między bajki i cuda, należy odpowiedzieć słowami innego polityka, że „kto dziś nie wierzy w cuda, ten nie jest realistą”.

Z Freuda i z socjalizmu

P. Giscard d'Estaing, prezydent Francji z tą formułą się zgadza, albowiem nie wie, że autorem jej jest b. premier Izraela Ben Gurion. Choć Izrael dziś nie modny, p. Giscard d'Estaing dał dowód, że wierzy w cuda, kiedy w sali gdzie unosi się duch Schumanna zgromadził, 25 lat później, przedstawicieli Europy, a przede wszystkim prezydenta NRF, Schella, aby jednym gestem zmaterializować ideę europejską. Ponieważ, powiada Giscard spod zegara, godzina Europy ciągle jeszcze nie bije, trzeba, powiada, utrwalić ją przez zaskoczenie, ustanawiając specjalne jej święto. Wykreślamy, powiada (do Schella przede wszystkim), z kalendarza dzień 8 maja, rocznicę końca bratobójczej wojny, a ustanawiamy, powiada, Dzień wspólnej bratniej Europy. Zapomnijmy o przeszłości, nie warto ciągle wspominać, idziemy ku świetlanej przyszłości.

Jest coś z Freuda w tej metodzie ukrywania kryzysu za świętym parawanem. Jest w tym też sporo z socjalizmu, który ustanawiał Dzień Nauczyciela, Dojarki, Prasy i Konstytucji, na-

tychmiast jak tylko kryzys, nędza, ogłupianie i hipokryzja w konkretnej dziedzinie osiągały dno...

Pierwszy skoczył z felicytacjami Schell. Nic dziwnego, tak się bowiem złożyło, że 8 maja 1975 roku Francja obchodziła oficjalnie rocznicę zwycięstwa po raz 30-ty i ostatni, a NRF po raz pierwszy i ostatni.

No i zaszumiło. Pierwszą reakcją było ogromne zaskoczenie. Giscard bowiem nie spytał w tej narodowej sprawie o zdanie narodu, a zawiadomił jedynie szefów rządów dziewiątki. Potem przyszło oburzenie. Dla komunistów jest to decyzja „monstrualna”, policzek wymierzony narodowi (czy całemu, czy cały naród francuski walczył z hitleryzmem?). *Humanité* oskarżyła Giscarda, że chce w ten sposób rzucić zasłonę zapomnienia na burżuażę francuską kolaborującą z Vichy. Może. Ale *Humanité* wspomina, że dla niektórych osób, gazet, partii i całych narodów nawet, wojna z Hitlerem zaczęła się już w 1939 roku, że kiedy w słońcu paktu Hitler-Stalin niektórzy proponowali władzom okupacyjnym w Paryżu wydawanie... *Humanité*, w Polsce już zginęły tysiące ludzi, także i komunistów. Pół Polski zapłaciło za ten pakt, piętnowany, tak się dziwnie złożyło, przez burżuażę francuską, a broniony przez niektórych przedstawicieli proletariatu francuskiego.

Potem przyszła zrozumiała gorycz, przede wszystkim byłych kombatantów, deportowanych, rodzin ofiar hitleryzmu. Poparcia dla Giscarda raczej nie było, a jeżeli, to było ono dyskretne, ciche, zawstydzone, z wyjątkiem naturalnie terenu NRF.

Ale, powoli! Wykrzykniki, pręgierze i łyż niczego nie wyjaśniają. W chwili pisania tych słów, na gorąco, nazajutrz po decyzji, choć nie było jeszcze czasu na przemyślenie nowości decyzji Giscarda, już ruszyła ogromna kampania pod hasłem „nie szargać świętości”. My przynajmniej pomyślemy...

Otóż, przynajmy, że niezależnie od tego co sądzimy o decyzji prezydenta Francji, to była ona choć ryzykowna, niewątpliwie odważna i dalekosiężna. Wykreślenie jednym ruchem pióra czegoś tak zakorzenionego jak kult rocznicy, i to jakiej rocznicy, stanowi, niezależnie od tego co każdy z nas sądzi o polityce Giscarda (a ja myślę o niej źle), akt znamionujący męża stanu. Zastanówmy się nad powodami, które skłoniły Giscarda do podjęcia decyzji nie zwiększającej na pewno jego popularności w narodzie. Otóż, wydaje mi się, że decydując się na zatarcie daty kapitulacji III Rzeszy, Giscard, wrażliwy jak rzadko kto na symbole, chciał:

1) Wywołać wojnę najgorszą, wojnę symboli właśnie, aby szokiem zamknąć najgorszy okres w historii Europy, złamać tradycyjny podział na zwycięzców i zwyciężonych, dziś na Zachodzie, rzeczywiście bez sensu, 2) usunąć blokady psychologiczne, tak się bowiem składa, że każde nasze zwycięstwo oznacza czyjaś klęskę, głównie naszych sąsiadów, 3) usunąć upiory przeszłości, a nazywając wojny niemiecko-francuskie wojnami bratobójczymi, podkreślić nieodwracalność procesu jednoczenia się Europy.

Wszystkie drogi prowadzą do absurdu

Nie są to może wyjaśnienia wystarczające, ale warto się nad nimi zastanowić. Nie wszystko świadczy przeciw Giscardowi. My kochamy rocznice jak rzadko kto, ale zważmy.

Po pierwsze — data. Wschód obchodzi 9 maja, Zachód zaś 8 maja, a Holandia nawet 5 maja. Już więc jest coś niewyraźnego. Ale, po drugie, okazuje się, że są narody, które w ogóle tej rocznicy nie obchodzą. Anglicy np. zrobili chyba dla zwycięstwa nad hitleryzmem więcej niż Rumuni czy Węgrzy, nie mówiąc już o Niemcach z NRD, ale nie tylko nie urządzają z tej okazji wojskowych bachanaliów, ale w ogóle nikt z tej okazji nie wychodzi na ulice z fanfarami i sztandarami. Rząd holenderski już odrzucił propozycję Giscarda, uważając, że oba święta się nie wykluczają, a nawet uzupełniają. Rząd belgijski, nie czekając na Giscarda, postanowił, i to w zgodzie (!) z organizacjami kombatantkimi, nie obchodzić więcej dnia zwycięstwa nad Niemcami. To prawda, że zrobił to po cichu i nie wywołał prasowej furii, ale czyż by chodziło jedynie o decybele?

Po trzecie, nikt nikomu nie może zabronić obchodzenia i świętowania każdej daty kiedy i jak tego pragnie. Każdy z tych, co przeżyli hitleryzm ma swoje z nim porachunki i pamięta daty indywidualnie bardziej znajenne i głębokie niż kolektywny i pompierski 8 czy 9 maja. Nie wiem jak wy, ale ja zawsze miałem odrazę do dętej, oficjalnej, odrażającej pompy, do cynicznej hipokryzji i ordynarnego wyzysku dramatów ludzkich jaki towarzyszył oficjalnym obchodom. Kiedy stalinowcy składali wieńce pod pomnikiem, który miał uwiecznić pamięć powstańców Warszawy, kiedy moczarowcy zaciągali warty pod pomnikiem Getta, kiedy właśnie NRD urządza defilady wojskowe w dzień, który otworzył epokę pokoju w Europie, to kupcy wkraczają do świątyni, a uczciwi ludzie ją opuszczają.

I wreszcie, po czwarte, Ameryka ma jeden taki dzień „Memorial Day”, co nie przeszkadza jej wciąż godnie pamięć swych synów, gdziekolwiek i kiedykolwiek polegli w bojach w jakie ich ojczyzna wysłała. Oczywiście, jest to pomysł niebezpieczny, zakłada bowiem logikę, czyli likwidację wszystkich rocznic wszystkich bratobójczych wojen. Czymże innym jest bowiem dzień 11 listopada, wieńczący koniec pierwszej światówki? Dlaczego Francja miałaby święcić dzień zwycięstwa Joanny d'Arc nad angielskimi braćmi, a Anglicy dzień Waterloo, gdzie było odwrotne. Należy wykreślić wszystkie kampanie Napoleona, bo bił wielu braci Giscarda naraz, może (ale nie na pewno) z wyjątkiem kampanii egipskiej. Trzeba zburzyć most Jena na Sekwanie, pomniki generałów... Dochodzimy tak do absurdu, ale do czego innego prowadzi ta druga droga, czyli świętowanie wszystkich dat? Przecież nie starczyłoby dni w kalendarzu.

Dwie Europy czy jedna?

I tu dochodzimy do sedna sprawy. O święto jakiej Europy Giscardowi d'Estaing właściwie chodzi? Jeżeli mamy świętować EWG, to pomysł jest do kitu, albowiem nie ma w polityce nic gorszego niż przedwczesny poród. Giscard bowiem proponuje wymazanie rocznicy głęboko zakorzenionej w sercach i świadomości ludzkiej, a wprowadzenie na jej miejsce do kalendarza rocznicy odczytania 120 wierszowego papierka, który, choć dla historyków szalenie ważny, do dziś, przez 25 lat, w świadomości i sercach ludzkich się nie zakotwiczył. Jest kult rocznicy zwycięstw i klęsk, nie ma kultu narodzin Europy. Jeżeli Giscard chce mieć europejskie, pokojowe święto, to droga nie prowadzi przez zapapierzone korytarze gmachów przy pl. Schumannna w Brukseli, a przez powrót konkretny do schumannowskiej „wspólnoty nie węgla i stali a wspólnoty losu”. Dziś nie tylko nikt nie uważa, że warto dla idei europejskiej umierać, ale nie ma nawet takiego, który uważa, że warto dla tej idei żyć. Dopóki tak nie będzie, propozycja Giscarda pozostanie pustym słowem, nawet jeżeli 8 maja nie będzie pompy i fanfar pod Łukiem Triumfalnym, a odnajdą się one 9 maja na Quai d'Orsay.

I, po drugie, o jakiej Europie Giscard mówi właściwie? Tej dziewięciopaństwowej czy tej od Atlantyku do Uralu? I tak źle i tak nie dobrze.

Albo bowiem, chodzi tylko o Zachód, a wtedy Giscard właściwie jedynie pogłębia prawdziwy rozłam Europy i, w imię niepewnej przyszłości, oddaje monopol na bohaterską przeszłość i na zwycięstwo nad czasami pogardy w ręce ZSSR, co jest operacją absolutnie bezsensowną.

Albo, chce pojednania w skali kontynentu, ale wtedy musi zmienić nie kalendarz a politykę. Dziś bowiem, Wschód musi odrzucić propozycję prezydenta Francji. Moskwa zresztą już mówi o prowokacji, dyplomaci PRL z goryczą wyrażają się o decyzji prezydenta Francji pytając prywatnie z jakim czołem stanie on, 18 czerwca, u bram obozu Oświęcimiu.

A dlaczego jest to propozycja absolutnie nie do przyjęcia? Po pierwsze dlatego, że tam gdzie zginęły miliony ludzi, całe narody, gdzie w oczy zaglądał brak nie białego chleba, a totalne, fizyczne zniszczenie społeczeństwa, tam żaden niepopularny (a taka jest na Wschodzie reguła) rząd nie zaproponuje likwidacji tej daty, dopóki żyje choć jedna osoba pamiętająca owe czasy. Po wtóre, chodzi nie tylko o sentymenty. Podbijanie bębena patriotycznego, a nawet szowinistycznego jest niezbędną na Wschodzie operacją ideologiczną, która pozwala mobilizować masy, kiedy ze względów satelitarnych trzeba prawdziwy i demokratyczny patriotyzm brutalnie tłumić. I wreszcie, ostry nacisk na wielką hurra-rocznicę pozwala skutecznie pomijać inne rocznice dla milionów ludzi może ważniejsze, ale dla władzy niewy-

godne. Pakt Hitler-Stalin i IV rozbiór Polski, Berlin 1953, Budapeszt 1956, Praga 1968, Gdańsk 1970...

Od Sajgonu do Pragi...

To bardzo ładnie jak ktoś proponuje narodom Europy zastąpienie dnia wojny, dniem pokoju, kiedy ofiarowuje nam radosną nadzieję zamiast smutnego wspomnienia. Trzeba jeszcze tylko porozumieć się co do znaczenia słów, uzgodnić słownik. Nie będzie to jednak możliwe dopóki te same reguły gry nie będą przestrzegane po obu stronach Łaby, dopóki to, co jest zbrodnią w Paryżu, będzie cnotą w Moskwie, a to, co jest cnotą w Londynie, będzie ścigane w Warszawie.

Reżym Thieu był odrażający i głupi, ale nie będzie Europy jeżeli Paryż będzie się cieszył, że w Sajgonie zapanował ustrój, który go mierzi w Pradze. Żadne zmiany w kalendarzu nie stworzą Europy, tak długo dopóki jedna jej część będzie nazywać „rewolucją chłopską” wygnanie trzech milionów ludzi, w tym starców, kobiet, niemowląt, kalek i chorych z Pnom Penh stolicy Kambodży i będzie je traktować inaczej niż wygnanie Warszawianków przez Hitlera w 1944 roku. Nie dogadamy się w Europie tak długo dopóki byle azjatycki Savanarola będzie witany z pieśnią na ustach tylko dlatego, że powołuje się na Karola Marksa. Torquemada też zapalał stosy, wierząc że ratuje ludzkość, a Pétaïn też puryfikował, to znaczy czyścił Sodomy i Gomory w imię odrodzenia narodowego.

Żaden kalendarz nie stworzy i nie pojedna Europy, jeżeli 30 lat po wojnie małe dziecko, jak się to stało 11 maja 1975, w chwili stawiania kropki pod tym artykułem, małe dziecko, powtarzam, musi utonąć w Szprewie, albowiem policja wschodnio-niemiecka nie pozwoliła policji zachodnio-niemieckiej przekroczyć linii wodnej, dzielącej to niemieckie miasto i uratować tę tak strasznie tragiczną ofiarę prawdziwego bratobójstwa.

Europy nie będzie tak długo, dopóki polityk francuski będzie mógł bezkarnie odsuwać teczkę z napisem „Dubczek”, mówiąc, iż nie rozumie o co tyle hałasu, bo przecież „Dubczek nie jest ani w więzieniu ani nie został powieszony”, dopóki francuski minister spraw zagranicznych witać będzie na lotnisku 600 uratowanych z Kambodży, tylko dlatego, że mieli w kieszeni paszporty z napisem „République Française”, a odmówi komentarzy na temat wystrzelania wszystkich oficerów — i ich żon! — aż do porucznika włącznie, bo „brak nam na ten temat informacji...”.

Mówiąc w skrócie, nie będzie żadnej Europy tak długo, dopóki obok pomnika ofiar *wszystkich* hitleryzmów nie stanie pomnik ofiar *wszystkich* stalinizmów.

To nie ja wymyśliłem. O takim pomniku mówił XXI Zjazd Komunistycznej Partii ZSSR. W 1961 roku.

BRUKSELCZYK

Pisane 13 maja 1975

Kraj

Neostalinizm bez terroru

Sytuacja w kraju da się streścić w kilku krótkich, ale prze-
rażających stwierdzeniach.

Cztery lata temu Gierek przyrzekł społeczeństwu poprawę
sytuacji materialnej, mieszkaniowej i zwiększenie swobód oby-
watelskich. Tymczasem, po trzech latach względnej poprawy, od
półtora roku widzimy rosnące trudności w zaopatrzeniu ludności
przede wszystkim w artykuły spożywcze; budownictwo mieszka-
niowe nie nadąża za przyrostem naturalnym; wzrostowi płac
towarzyszy drastyczna inflacja, zaś ograniczenia swobód obywa-
telskich doprowadziły do stanu, który określa się zwyczajnie: neosta-
linizm bez terroru.

Głośny na Zachodzie burzliwy rozwój inwestycji w Polsce jest
do pewnego stopnia faktem, ale program inwestycyjny nie wy-
chodził w szerszej mierze naprzeciw potrzebom społeczeństwa,
realizował natomiast narzucone krajowi potrzeby RWPG i ZSSR,
co zresztą musiało nieuchronnie doprowadzić do zachwiania
równowagi rynkowej, inflacji i może przynieść niebezpieczne
wstrząsy.

Choć wokół Edwarda Gierka uprawia się w kraju swoisty
kult jednostki nie ulega wątpliwości, że plany I-go Sekretarza
PZPR zostały przez „Wielkiego Brata” i jego mocodawców w
Warszawie totalnie przekreślone. Napięty do ostatnich granic
program inwestycyjny perforsował premier Jaroszewicz wbrew
Gierkowi, który tym samym musiał wycofać się z realizacji obiet-
nic udzielonych społeczeństwu. Gierek pokonał swoich rywali
w Warszawie — Moczara, a potem Szlachcica — przy pomocy
Rosjan, ale za cenę rezygnacji ze swego własnego programu na
rzecz wytycznych Moskwy.

Ograniczenia suwerenności w Polsce poszły tak daleko, że spo-
wodowały żywiłowy choć niemy protest dużej części aparatu
partyjnego. Zmusza to Gierka i kierownictwo partyjne do wymia-
ny kadr, co jest szczególnie pilne wobec zbliżającego się zjazdu
partii. Wobec tego w Warszawie i Moskwie zdecydowano prze-

prowadzenie swoistej polskiej rewolucji kulturalnej w celu zgru-
gotania aparatu. W tym celu znosi się tradycyjne polskie powiaty
i wprowadza liczne małe województwa. Spowoduje to niebotycz-
ny bałagan w państwie, a poszczególni ministrowie publicznie
skarżą się, że w ogóle nie wiedzą jak będzie wyglądała organi-
zacja podległych im pionów. Dotyczy to choćby przykładowo są-
downictwa, oświaty i szkolnictwa, zdrowia, kultury i administra-
cji państwowej. Mówi się nawet o podziale Ministerstwa Spraw
Wewnętrznych na dwa równe resorty.

Nauka i kultura narodowa w kraju stanęły wobec bezpośred-
niego zagrożenia. Ministrem Nauki i Szkolnictwa Wyższego został
generał, działający z jedyną myślą przewodnią — podporządko-
wania nauki potrzebom przemysłu, gospodarki i wojska. Polskie
politechniki stają się technikami zawodowymi; badania podsta-
wowe są dopuszczane głównie w miarę możliwości wykorzysty-
wania ich w produkcji. Nauki humanistyczne znajdują się w sta-
nie katastrofalnym, nie tylko ze względu na drugorzędne zainte-
resowanie nimi resortu nauki, ale przede wszystkim z powodu
narzuconego przez „Wielkiego Brata” uniformizmu doktrynalnego.
Historia najnowsza po kilku latach rozkwitu przestała istnieć.
Urządza się natomiast „Sesje Naukowe” na temat stosunków
polsko-sowieckich, koegzystencji, systemu bezpieczeństwa w Euro-
pie i wszystkich tych spraw, w których pod szyldem nauki można
robić propagandę.

Następuje wreszcie poważna zmiana w samej partii.

Wyругowano z niej kiedyś rewizjonistów i zwolenników demo-
kratycznego socjalizmu „o ludzkim obliczu”. Obecnie ruguje się
narodowych komunistów, którzy zresztą pozostawiają po sobie
najgorszą opinię zamordystów i antysemitów. Któż więc zostaje
w aparacie? Oczywiście, jak zawsze, najgorsi, najbardziej posłu-
szni i najmniej myślący. Nad komunistami ciąży fatum nega-
tywnego kryterium uprzywilejowanego ludzi najmniej wartości-
wych. W praktyce będą to ci sami chłopscy synowie, którzy
zapełniają dziś kancelarie partyjne i rządowe w Polsce, ale po-
nownie wyselekcjonowano z nich całkowicie posłusznych i poz-
bawionych własnych przekonań. Narodowi komuniści odchodzą
z funkcji partyjnych, albo też sprzeniewierzają się swemu wła-
snemu nastawieniu, demonstrując uległą gorliwość wobec Moskwy.

Czytelnik, zapoznawszy się z faktami przedstawionymi w tych
kilku informacjach, może zadać sobie uprawnione pytanie: jeżeli
to wszystko jest prawdą to czy dni ekipy Edwarda Gierka nie
są policzone, a kraj nie stoi przed nowym poważnym wstrząsem?
Otóż podane tu fakty są znane każdemu zorientowanemu czło-
wiekowi w kraju. Nie da się też zaprzeczyć, że widmo wstrząsów,
a nawet katastrofy wyraźnie stoi przed Polską. Istnieje jednak
cały szereg przyczyn, dla których nie nastąpiła ona jeszcze i jak
się ma nadzieję nie nastąpi z dnia na dzień.

W porównaniu ze stagnacją na odcinku płac i cen w okresie
gomułkowskim, w ciągu ostatnich czterech lat partia przepro-
wadza zasadnicze zmiany płac i cen. Zmiany te znacznie popra-

wiły sytuację tych odłamów klasy robotniczej, których wystąpienie masowych partia boi się najbardziej. Następnie stały ruch płac i cen dezorientuje dużą część pracujących, którzy *nominalnie* zaczęli zarabiać dużo więcej. Dopiero stały wzrost cen i trudności zaopatrzeniowe na rynku przekonują ich z wolna, że w ich położeniu nie nastąpiła żadna zasadnicza poprawa. Gierek z niezwykłą konsekwencją kontynuuje politykę zaciągania kredytów zagranicznych. I choć nadszedł już moment spłacania procentów i części kredytów, to jednak partia liczy na uzyskanie nowych źródeł finansowych na Zachodzie. Wystarczy przypomnieć, że z tak małego kraju jak Austria zdołano wyciągnąć wiele milionów dolarów, całkowicie zresztą źle wykorzystanych z powodu braku kompetencji i arbitralnego uporu premiera Jaroszewicza. W tej chwili zaś cała polityka wobec Niemiec zmierza do jednego celu, mającego dla Gierka znaczenie wprost zasadnicze, a mianowicie do uzyskania wreszcie pożyczki i odszkodowań od rządu Republiki Federalnej w wysokości 2-3 miliardów marek.

Administracja PRL jest także nadzwyczaj pomysłowa w nakładaniu na ludność nowych ciężarów finansowych, opłat, jawnych lub ukrytych podwyżek cen. Podwyższa się wcześniej ustaloną wysokość jednorazowego podatku „od wzbogacenia”. Zaś ceny artykułów, poszukiwanych przez ludność, rosną w tempie bijącym wszelkie zachodnie rekordy inflacyjne. Ponieważ jednak ciągle dokonuje się podwyżek płac różnych grup zawodowych, więc społeczeństwo jest jeszcze do pewnego stopnia zdezorientowane, choć jednocześnie do ostatecznych granic rozdrażnione brakami zaopatrzenia na rynku.

Na sytuację w kraju oddziałuje jeszcze kilka innych czynników psychologicznych. Środowiska inteligenckie są dosłownie porażone słabością Zachodu, wydarzeniami w Wietnamie i Kambodży i graniczącą wprost z głupotą ustępliwością w sprawach europejskiej Konferencji Bezpieczeństwa. Co prawda po tym wszystkim co zaszło w ostatnich dwóch latach, Konferencja ta będzie raczej farszą niż poważnym wydarzeniem, ale rządy komunistyczne wykorzystują ją dla ujarzmienia własnych społeczeństw. Jednocześnie wzmagają wszechstronną kontrolę społeczeństwa, stosują wzmoczoną inwigilację i dokonują prób dezintegrowania wszystkich aktywnych środowisk społecznych. Będący kiedyś synonimem opozycji Związek Literatów Polskich, został całkowicie spacyfikowany przez masowe wprowadzenie nowych członków, całkowicie posłusznych wobec partii. W tej sytuacji mogła ona sobie pozwolić na „wpuszczenie” do zarządu głównego kilku ludzi niezależnych, którzy poza sprawami zawodowymi ludzi piszących, nie mają żadnej możliwości wykorzystywania organizacji literatów dla poważniejszego zapobiegania zagrożeniu kultury narodowej. To samo da się powiedzieć o większości innych związków twórczych.

Jeśli weźmie się listę osób, które podpisały apel w sprawie Polaków w Związku Sowieckim, i tych, które tej listy nie zdążyły podpisać, z powodu odebrania przez policję tekstu zbierającemu

podpisy Adamowi Michnikowi, to jest zupełnie jasne, że cała elita intelektualna kraju, pisarze i artyści, ludzie nauki, przedstawiciele generacji starej, średniej i najmłodszej znaleźli się w opozycji. Forsując bowiem system bezpieczeństwa zbiorowego w Europie, komuniści postanowili rozbić we własnych krajach wszelkie żywe siły społeczne. Prowadząc rokowania z Watykanem, wzmogli wysiłki zmierzające do rozbijania duchowieństwa. Zagrożone jest istnienie w życiu publicznym katolickiej grupy „Znak”. Podobno nawet „Pax” i Piasecki okazał się dla partii niebezpiecznym.

Powstała natomiast paradoksalna sytuacja, że w opozycji wobec ekipy Gierka są właściwie wszyscy: liberałowie i rewizjoniści, Kościół, „Znak” i „Pax”, narodowi komuniści, nie mówiąc już o żyjących jeszcze ludziach z Armii Krajowej i niekomunistycznego podziemia wojennego. Za obecną ekipą rządzącą, za neostalinizmem, bez bezpośredniego terroru, nie ma ewentualnych sił społecznych, pozostali jej tylko ludzie bez zasad i honoru, których niestety w Polsce nadal nie brakuje. Społeczna baza władzy jest nadzwyczaj skromna. Front Narodowy *de facto* nie działa, stronnictwa polityczne są fikcją, Sejm upadł tak nisko, jak nigdy jeszcze w historii PRL-u od czasów stalinowskich. Rozszerza się natomiast zakres stosowanego przymusu, wznawia fasadowe zebrań, zjazdy i akademie, wprowadza w tym roku przymus i kontrolę udziału w pochodach 1-szomajowych. Trzydziestolecie zwycięstwa nad III Rzeszą świętowano zgodnie z dyspozycjami Moskwy tak masowo, długo, nudnie i uciążliwie dla każdego uczestnika owych uroczystości, że nikt nie ma już najmniejszej wątpliwości, iż było to zwycięstwo nie nasze, ale sowieckie.

Rosjanie tak beceremonialnie narzucają własną politykę imperialną krajom Europy Wschodniej, tak całkowicie nie liczą się z psychologią, kulturą, tradycjami społeczeństw tych krajów, że w świadomości Polaków problemem nr 1 jest dziś sprawa własnej, odrębnej osobowości narodowej i oporu przeciwko jej ujarzmianiu. Jedną z najmodniejszych książek w Polsce, być może nie bez wpływu eseju w *Kulturze* na jej temat, jest „Od białego do czerwonego caratu”.

Czynnikami opóźniającymi nieunikniony wybuch buntu społecznego i protestu narodowego jest — jak już mówiliśmy — dezorientacja części społeczeństwa wynikająca z manipulowania płacami i cenami, wielkie rozgoryczenie opinii w stosunku do obojętności Zachodu, a w szczególności USA, wobec spraw Europy Wschodniej, a wreszcie — i nie na ostatku — pewien kryzys w środowisku elity umysłowej kraju, wynikający ze zmniejszonej aktywności osobistości najstarszych wiekiem, mających znane nazwiska i wyrobioną pozycję jeszcze przed wojną, lub zaraz po niej.

Młodsza generacja intelektualna jest dużo słabsza, straciła wiele cennych nazwisk w wyniku wymuszonej emigracji w końcu lat sześćdziesiątych, brak w niej czasem wielkich talentów, a częściej jeszcze po prostu odwagi cywilnej. Wreszcie część śro-

dowiska twórczego jest spętana wiernością wobec „socjalizmu”, której fatalne skutki przedstawił „Krajowiec” niedawno w *Kulturze*.

Jednak chwilowa dezorientacja społeczeństwa w sprawach sytuacji materialnej już mija. Napięcie między partią a intelektualistami rośnie. Wszystko to stwarza w Polsce niebezpieczeństwo wybuchu który, jak to zwykle bywa w takich sprawach, może nastąpić przez przypadek i w najbardziej niespodziewanych okolicznościach. Wybuch taki będzie nadzwyczaj niebezpieczny, bo małe są szanse, by mógł być skoordynowany z jakimś sprzyjającym wydarzeniem międzynarodowym. To, być może, powoduje swego rodzaju instynktowną cierpliwość społeczeństwa. Oczy jego zwrócone są przede wszystkim w stronę Moskwy, bo nie ulega wątpliwości, że istniejąca tam równowaga jest także coraz bardziej chwiejna. Breżniew, mniej lub bardziej chory, potrzebuje za wszelką cenę sukcesu. Wietnam i Kambodża były jego bardzo wątpliwymi sukcesami. Pozostało mu narzucić wszystkim świętowanie zwycięstwa Stalina nad Hitlerem. Wielkie otwarcie międzynarodowe — sławetna polityka współistnienia utonęła w trakcie konfliktu na Bliskim i Dalekim Wschodzie i w rozczerowaniu Zachodu wobec brutalnej polityki Rosjan w stosunku do państw satelickich. Wspólny lot kosmonautów rosyjskich i amerykańskich będzie łączył śpiewem czegoś, co już minęło. Breżniew dobrze wie, że jego kraj cieszy się powszechną nieufnością na świecie, a wewnątrz bloku wschodniego wzbudza uczucia, jakie wyzwał zawsze imperializm i kolonializm. Rosjanie biją wszelkie rekordy nieznanomości polskiej kultury i charakteru narodowego. Albo też znają je, ale ze względu na swoje sprawy wewnętrzne nie widzą innego wyjścia poza rządami neostalinowskimi w Polsce. Stalinizm bez terroru na dłuższą metę nie może się jednak udać. A do otwartego terroru Sowiety nie mogą się uciekać ze względu na coraz bardziej skomplikowany charakter zarządzania w uprzemysłowionym kraju komunistycznym.

Cóż więc pozostaje do wyboru Moskwie i Gierkowi, który podjął się wątpliwej roli wykonawcy jej poleceń w Warszawie? Pozostaje im pragmatyczny kompromis ze społeczeństwem, aby nie sprowokować go do czynnego wystąpienia, do wyjścia na ulicę.

Kompromis taki musi polegać na kilku najważniejszych decyzjach. Należy zrezygnować z przygotowywanej po cichu, etapowej kolektywizacji rolnictwa. Należy zużyć wszystkie możliwe jeszcze kredyty zachodnie na inwestycje, związane bezpośrednio z produkcją rynkową. Należy wydatnie zmniejszyć tempo nowych inwestycji, chyba że mają one szczególne uzasadnienie gospodarcze. Należy w centrum poczynań gospodarczych postawić sprawę zaopatrzenia rynku i budownictwa mieszkaniowego. Należy zaprzestać podjazdowej, ukrytej walki z Kościołem, która wburza znaczny odłam społeczeństwa. Należy zaprzestać dławienia autentycznych środowisk społecznych, gdyż i tak znajdują one sobie nieformalne płaszczyzny działania.

Rad takich Edwardowi Gierkowi można by udzielić jeszcze bardzo wiele. Najważniejsze dla niego byłoby chyba, żeby rozejrzał się dokoła. Pochłonięty walką z rywalami, Gierek znalazł się wśród szumowin, wśród ludzi bez żadnych zasad i do tego ograniczonych umysłowo. Szczelnie otoczyli go: Babiuch, Kania, Łukasiewicz, Kowalczyk, Werblan. Osłabiony walką ze Szlachcicem, Szydłak, oraz Grudziń z legionem aktywistów katowickich typu osławionego Macieja Szczepańskiego z Radia i Telewizji, dopełniają skład najbliższego otoczenia Gierka. Skład jakżeż żałosny! Gierek, jeśli ma jeszcze dobre intencje, jest odcięty całkowicie od społeczeństwa. Tak jak niegdyś Gomułka, nic już nie wie. Należałoby mu poradzić, żeby wcześniej niż jego poprzednik rozejrzał się w sytuacji i nawiązał jakiś minimalny choćby kontakt ze społeczeństwem, z ekonomistami i inteligencją techniczną, ze światem nauki i kultury z autentycznym środowiskiem robotniczym.

Czytelnik tych uwag zadziwi się być może, iż nie doradzam Gierkowi reform i ulepszenia socjalizmu. Wysuwane propozycje mają charakter doraźny, zmierzają jedynie do zapobieżenia poważniejszym wstrząsom społecznym w Polsce, które jeśli nie trafią na sprzyjający moment w stosunkach międzynarodowych lub wewnątrz samej Rosji, mogą doprowadzić do tragicznych konsekwencji dla narodu polskiego.

Generalnych propozycji, zmierzających do naprawy socjalizmu nie wysuwam, bo nie wierzę już w jakiegokolwiek reformy. Rządy imperialne Rosji w Europie Wschodniej nie dadzą się pogodzić z jakąkolwiek „naprawą Rzeczypospolitej”. Hasłami naprawy daliśmy się zwieść już kilkakrotnie i w tej chwili nikt nas na nie nie nabierze.

Jednym, co wydaje się chwilowo możliwe, to żeby Rosja — we własnym dobrze zrozumianym interesie — przestała prowokować polskie poczucie narodowe i żeby Gierek w końcu nieco zaryzykował przeciwstawiając się nakładaniu na nasz kraj wygórowanych zadań ponad nasze siły. W przeciwnym razie Edward Gierek zasłużył sobie na miano najbardziej uległego I sekretarza w dziejach PRL, a konsekwencje całej tej zabawy mogą być nieobliczalne.

Zygmunt OSSOWSKI

Wiadomości

Pod koniec br. ma się odbyć kolejny zjazd PZPR. W związku z tym, jak zazwyczaj, o wiele miesięcy wcześniej wzmożła się potajemna walka frakcyjna. Jej to okoliczności zdają się tłumaczyć widoczną aktywizację poli-

eji, cenzury i propagandy. Również znane braki rynkowe, na czele z kryzysem mięsnym, opinia publiczna w kraju przypisuje posunięciom walczących stron, wskazując np., że w chwili braku mięsa na rynku wstrzymano na kilka tygodni skup żywca (zarządzenie premiera Jaroszewicza), a dysponując podobno w Warszawie pełnymi magazynami drastycznie obniżono przydziały dla sklepów (decyzja Józefa Kępy). Jaroszewicz (człowiek Moskwy) z jednej strony, a Kępa (spadkobierca emeryta Moczara) z drugiej — uchodzą za czołowych przeciwników Gierka, z tym że chyba tylko ten drugi — młody, ambitny i pozbawiony skrupułów — może pretendować do zastąpienia go na naczelnym stanowisku w partii. Gierek ze swej strony, zmierzając do ukrócenia Kępy i innych „feudałów” (jak nazywa się wszechmocnych na swoim terenie sekretarzy wojewódzkich partii), lansuje kolejną reformę administracyjną: likwidację województw, na których miejscu miałyby powstać 50-60 mniejszych jednostek — „okręgów”. Dla dotychczasowych sekretarzy wojewódzkich szykuje się posady w dyplomacji itp., na okręgi zaś awansowaliby najwierniejsi sekretarze powiatowi, których uzależnienie od centrali byłoby większe niż w poprzednim układzie. Nowa reforma Gierka natrafia, oczywiście, na opór tych, którym grozi pomniejszeniem wpływów.

Cenzura od pewnego czasu szaleje bardziej niż za najgorszych czasów gomułkowskich. Całkowicie zmasakrowane wychodzą z cenzury kolejne numery pism katolickich, takich jak *Znak*, *Tygodnik Powszechny*, *Więź* (co powoduje poważne opóźnienia kolportażu), ale kłopoty miewają również wszystkie inne, nie wyłączając superreżymowej *Kultury* warszawskiej i *Miesięcznika Literackiego*. Nie lepiej w wydawnictwach: ostatnio odrzucono np. powieść autobiograficzną Jerzego Krzysztonia o wojennym dzieciństwie w głębi Rosji, dwie książki Marka Nowakowskiego (obie złożone zresztą z tekstów publikowanych już w prasie), książki Mariana Grześczaka i Mariana Płota. Szereg pozycji usunięto z planu Wydawnictwa „Znak”, w tym nawet książki ściśle teologiczne, a także — zbiór wywiadów Zbigniewa Podgórcza z wybitnymi inteligentami sowieckimi, publikowanych na przestrzeni lat w *Tygodniu Powszechnym*.

Nowym kierownikiem wydziału kultury KC PZPR został Lucjan Motyka, niegdyś (w okresie zakazania „Dziadów”) minister kultury i sztuki.

Gustaw Gottesman z dnia na dzień, bez wyjaśnienia, zdjęty został ze stanowiska zastępcy redaktora naczelnego *Literatury* (Putramenta).

Lotowy zjazd ZLP w Poznaniu odbywał się w warunkach ostrej mobilizacji partyjno-policyjnej. Do Poznania zjechała „grupa operacyjna”: minister Kultury Tejchma, sekretarz KC Kraśko, p.o. kierownika wydz. kultury KC Makuch i wielu pomniejszych działaczy, a także ogromna ekipa tajniaków, którzy dosłownie przez cały czas chodzili za każdym „opozycyjnym” delegatem. Literaci partyjni (wraz z sojusznikami z ZSL'u, PAX'u i takimi bezpartyjnymi, jak Auderska, Bartelski, Szenic) mieli przed wyjazdem z Warszawy odprawę w KC, a w samym Poznaniu — trzy nocne posiedzenia, w trakcie których dokładnie poinstruowano ich, na kogo głosować, kogo skreślać etc. i „uchwalono” odpowiednie zobowiązania. Członkowie podejmowali się również osobistego wpływania na niezorientowanych bezpartyjnych — np. Ryszard Matuszewski (kierownik redakcji literatury współczesnej w „Czytelniku”) zadeklarował doprowadzenie do urny dwóch odpowiednio ustawionych „klientów” itp. Na samej sali zjazdowej stosowano niezakomunikowany szantaż, którego wyrazem było np. przemówienie Andrzeja Wasilewskiego (dyrektora PIW'u) z pogrózką, że w razie niewłaściwych z punktu

widzenia partii wyników zjazdu będzie on miał „trudności z wydawaniem książek kolegów”. Inny typ szantażu „obywatelskiego” — to rozpowszechniane w kulturalach aluzje, że w razie wybrania opozycjonistów do zarządu zleci ze stanowiska „dobry” minister Tejchma, przyjdzie zaś na jego miejsce ktoś o wiele groźniejszy. W rezultacie wszystkich tych zabiegów i nacisków partia uzyskała w zasadzie wyniki, o które jej chodziło. Jak bardzo wisiły one na włosku, świadczy minimalna różnica głosów oddanych na „lojalistów” i „opozycję”. Na 120 uczestników zjazdu 60 głosów otrzymała np. Auderska, która weszła do zarządu głównego, a 59 — Kijowski, który już nie wszedł. W nowoobranym 24-osobowym zarządzie jest, oczywiście, również kilka osób nie związanych z partyjnym ośrodkiem dyspozycji, ale znalazły się one w mniejszości i nie weszły do węższego ciała — prezydium. Przewodnictwo komisji kwalifikacyjnej, od której zależy przyjmowanie nowych członków do ZLP, objął Aleksander Rymkiewicz, który dobrał sobie do pomocy Andrzeja Lama i Stanisława Zielińskiego. Taki skład komisji grozi przypływem do związku wszelkiej szumowiny (zahamowanym za kadencji Andrzeja Kijowskiego), a więc dalszym pogorszeniem się jego struktury i jeszcze bardziej jednoznacznymi wynikami następnego zjazdu.

W trakcie dyskusji na zjeździe rozległo się kilka godnych uwagi głosów, broniących wolności słowa i protestujących przeciw deptaniu praw ludzkich i praw twórcy w PRL. Marek Nowakowski odczytał dramatyczny list do delegatów Kazimierza Orłosa, traktujący właśnie o tej materii, i podkreślił, że się z nim całkowicie solidaryzuje. W tym samym nurcie znalazły się również przemówienia Anny Kamińskiej, Jana Józefa Szczepańskiego, Przemysława Bystrzyckiego, Tomasza Burka. Stronę przeciwną najgorliwiej reprezentowali w dyskusji płk Załuski i Kazimierz Koźniewski.

Młody poeta i krytyk poznański, Stanisław Barańczak, w kilka dni po zjeździe ZLP zwrócił legitymację partyjną, dołączając oświadczenie, że sumienie nie pozwala mu dłużej na firmowanie dziejącego się bezprawia i fałszu. Stwierdził, że nadal czuje się związany z socjalizmem, jeżeli przez socjalizm rozumieć — za Marksem — ustrój, w którym człowiek nie będzie deptany, niszczoney i poniżany.

Literat poznański Przemysław Bystrzycki — w okresie minionej wojny uczestnik bohaterских akcji „Cichociemnych” — na zjeździe ZLP protestował m.in. przeciw niewydaniu od kilkunastu lat jego książki poświęconej „Cichociemnym” i apelował do Tejchmy o interwencję. Podobno zadarł on też na inne tematy z miejscową władzą — i w kilka dni po zjeździe spotkała go „zasłużona kara”. Wezwany na „rozmowę” do KW PZPR, po powrocie do domu stwierdził, że do jednego z trzech pokoiów wkwaterowano mu obcą rodzinę, m.in. kobietę w ciąży, co wedle prawa uniemożliwia wkwaterowanie. Interwencje na najwyższym szczeblu w Warszawie nie dały rezultatu, ponieważ prezydent Poznania (i były szef UB w tym mieście), towarzysz Cozaś, oświadczył, że godzącej w Bystrzyckiego decyzji nie cofnie.

W Łodzi powstał nowy zespół filmowy „Profil”, na czele z reżyserem Bohdanem Porębą i kierownikiem literackim Wacławem Bilińskim. Głównym filarem zespołu jest Ryszard Filipiński, który nakręcił ostatnio film „Orzeł i reszka”, poświęcony udowodnieniu tezy, że obowiązkiem patriotycznym Polaków, przesładowanych przez „dawną” bezpiekę (zażydżoną), jest współpraca z „obecną” bezpieką (odżydżoną). W związku z tym i nie tylko z tym zespół „Profil” bywa potocznie nazywany: „Ułani Rakowieccy” (na ul. Rakowieckiej w Warszawie mieści się potężny kompleks gmachów bezpieki).

Ostatnio Filipowski rozesał do prasy list otwarty (który *Życie Literackie* chciało drukować, ale cenzura zdjęła) z atakiem na Andrzeja Wajdę, autora filmowej wersji „Ziemi Obiecanej” Reymonta. Według Filipowskiego, film Wajdy jako nie antysemitki nie odzwierciedla prawdy historycznej i intencji pisarza. List oskarża reżysera, że idzie na pasku „Blumsztajnow i Michników”.

Nowości wydawnicze

TOM 251 — MICHAŁ HELLER

ŚWIAT OBOZÓW KONCENTRACYJNYCH A LITERATURA SOWIECKA

Książka, która ułatwia zrozumienie „Archipelagu GULag”
Aleksandra Sołżenicyna.

Str. 324.

Cena F. 30 (dol. 8,00)



TOM 252 — ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT TRZYDZIESTY PIERWSZY

zawiera m.n. prace: Bogusława Miedzińskiego: *Polityka wschodnia Piłsudskiego*; V. Sliogeris: *Tajne rokowania polsko-litewskie*; E. Żagiel: *Kronika litewska*; płk. Zygmunta Borkowskiego: *Wspomnienia 1939-1943* (c.d.); Stanisława Wachowiaka: *Wspomnienia*; Romana Buczka: *PRL w 1946 roku*; Z. S. Siemaszko: *O Polakach w ZSSR*; Stefana Benedykta: *Kijowskie „poprawki historyczne”*; W. T. Drymmera: *Wspomnienia* (dokończenie) oraz RECENZJE i LISTY DO REDAKCJI.

Str. 240.

Cena F. 25,00 (dol. 6,75)

Sąsiedzi

Wypisy i przypisy o Rosjanach

KIEDY PRZED ROKIEM PISAŁEM, jak rozumiem „List do przywódców” Sołżenicyna, oponowałem między innymi przeciw oskarżaniu pisarza o wielkomocarstwowy nacjonalizm rosyjski i sympatię do autokracji, dostrzegałem też związek pomiędzy desperacką próbą skłonienia dyktatorów na Kremlu do reformatorskich poczynań a prawie jednoczesnym namiętnym apelem do zwykłych mieszkańców ZSSR o „nieuczestniczenie w kłamstwie”. Nie wiem, czy Sołżenicyn zapoznał się z moją interpretacją jego wypowiedzi (raczej wątpię), ale we własnych mowach obrończych rozkłada akcenty podobnie jak ja: a więc przynajmniej intencje autora odczytałem w sposób właściwy. Na konferencji prasowej w Zurichu 16 listopada 1974 roku, odpowiadając komuś z dziennikarzy zachodnich, Sołżenicyn ze zdumieniem i rozgoryczeniem zauważa: „... nie znam drugiego podobnego przypadku, żeby tak mylnie pojęto dokument, który został wydrukowany czarno na białym i można go przeczytać... Wychodząc z zasady samoograniczenia narodów, uważam za niezbędne dla każdego kraju, a w szczególności naszego — skierowanie wszystkich sił w pierwszej kolejności na rozwój wewnętrzny. W tym celu należy przede wszystkim wycofać się ze wszystkich okupowanych terytoriów, przestać zagrażać całemu światu agresją i ekspansją, zamknąć się w sobie dla leczenia swych chorób duchowych i psychicznych. Ale zdumiewające — obecny tu *New York Times* z miejsca daje nagłówek: 'nacjonalista, szowinista'. Ja proponuję wycofać się z okupowanych terytoriów, nikomu nie grozić, nikogo nie podbijać, wszystkich wyzwolić i zająć się swoimi sprawami wewnętrznymi — i jestem szowinistą! A gdybym zaproponował odwrotnie — nacierać, bić, dusić!? Jest w tym jakaś różnica, czy nie ma?”. Cóż dodać do tego bolesnego pro-

testu przeciw etykietce i krzywdzącej, i błędnej? Niestety, również w Warszawie daje się słyszeć: Sołżenicyn — nacjonalista. Kim są w takim razie Breżniew, Greczko i Piłotowicz? W wypowiedziach Sołżenicyna, zwłaszcza tych ogłoszonych w ciągu ostatniego roku (choć niekiedy przygotowanych nawet kilka lat wcześniej), jest dużo sformułowań budzących sprzeciw, niemało też emocji, które trudno podzielać. Chciałbym trochę dalej wspomnieć i o tym. Ale w przeoczeniu kapitałnej różnicy pomiędzy Rosjaninem, proponującym likwidację (dla dobra własnego narodu) sowieckiego imperium, a tamtymi, którzy swe złowrogie imperium słowem i czynem wzmacniają, utrwalają i rozszerzają, w przeoczeniu i zacieraniu tej różnicy podstawowej i najważniejszej dla całego naszego życia, dla naszej przyszłości, jest — mówiąc ostrożnie — spora lekkomyślność. A nierzadko — zła wola.

Z TEJ SAMEJ KONFERENCJI W ZURICHU, odpowiedź Günterowi Grassowi, zgorzszonemu wydawaniem *Kontynentu* przez concern Springera: „Ja również mógłbym zapytać Grassa i innych lewicowych pisarzy zachodnich: a jak oni dopuścili do tego, żeby drukowały ich sługusy i pacholy naszych oprawców? Przecież zachodni pisarze pozwalali, a probowali i byli szczęśliwi, że drukuje się ich w Związku Sowieckim! A kto ich drukował, czy choć jedno wolne wydawnictwo? Nie ma ich u nas. Wszyscy nasi wydawcy — to pacholki katów, a ci pisarze drukowali przez całe dziesięciolecie, przyjeżdżali i utrzymywali stosunki z katami, spotykali się, kolegowali. I my nic im nie mówiliśmy o tym, nie zrobiliśmy im ani razu wyrzutu, nie pisaaliśmy do nich z tego powodu listów otwartych. A teraz pyta Günter Grass... jak możemy drukować w wydawnictwie, należącym do concernu Axela Springera, który jest zupełnie tym samym, co... co kto? Nie studiowałem tego zagadnienia i nic nie wiem o Axelu Springerze. Ale jestem absolutnie pewny, że Springer nie zamordował 30-40 milionów ludzi na Archipelagu GULag, nie zesłał do tajgi dziesięciu czy piętnastu milionów chłopów. Jestem pewny, że kilka milionów ofiar głodu na Powołżu i wiele milionów na Ukrainie zginęło nie z winy Springera. I nie Springer rozstrzeliwał w Katyniu. I nie Springer zdradził Powstanie Warszawskie w roku 1944. I nie on zdławił powstanie w Berlinie w 1953. Ale z tymi, którzy to zrobili, pisarze zachodni chętnie współpracują”. I jeszcze: „Kto chce, żebyśmy drukowali w dobrym miejscu (tak jak to rozumie), niech załatwi nam to, urządzi! Jesteśmy wszyscy uciemiężeni, nie ma dla nas miejsca w ojczyźnie. Drukowalibyśmy w ojczyźnie — nie ma dla nas miejsca!”. Ten fragment przemówienia Sołżenicyna przytaczam nie tylko dlatego, że za niezbitą uważam jego argumentację. Dla

nas, Polaków, ważne jest tu również to, że wielki pisarz — bodaj jako pierwszy spośród Rosjan, którym przysłuchuje się świat — głośno piętnuje sowiecką zbrodnię w Katyniu i zbrodnicze nieudzielenie pomocy Powstaniu Warszawskiemu przez stojące na prawym brzegu Wisły wojsko sowieckie. Uzasadnione zaś żale do zachodnich literatów, ochoczo współpracujących i bratających się z sowieckimi Springerami z Gosizdatu i *Litieraturnej Gaziety*, odgrywają może pewną rolę w niezapisaniu się Sołżenicyna w szeregi „okcydentalistów”, co również tak często bywa mu wytykane.

ALE CZĘSTO TRUDNIEJ NIŻ NA SOŁŻENICYNĄ zgodzić się na jego przyjaciół i rzeczników. Należy do nich Melik Agurski, jeden z autorów tomu zbiorowego „Spod grud”, którego ukazaniu się poświęcona była owa konferencja w Zurichu. Teraz jednak będę cytował wypowiedź Agurskiego nie z książki, lecz z emigracyjnego kwartalnika *Wiestnik ruskogo chriścianskiego dwizenija*, w którym moskiewski cybernetyk ogłosił własną interpretację ciągle tego samego „Listu do przywódców”. Agurski opowiada się za tezami Sołżenicyna, ale czyni to w sposób — choćby w świetle przytoczonych nieco wyżej zdań samego Sołżenicyna — dość osobliwy. „Jeżeli nawet usłuchać apelu Sołżenicyna i umożliwić poszczególnym republikom wystąpienie z ZSSR” — pisze na przykład Agurski, a w tym jego „nawet” nie słyszę, prawdę powiedziawszy, nadmiernego entuzjazmu dla całej koncepcji — „można to uczynić jedynie w warunkach silnej władzy, która zdołałaby w pełni kontrolować proces takiego wystąpienia, nie dopuszczając do anarchii i nieporządków”. Tu następuje apokaliptyczna wizja katastrof i nieszczęść, jakimi grozi spontaniczny — i nie w warunkach surowej dyktatury — rozpad imperium. Przede wszystkim doszłoby do wojen nie tylko nie-Rosjan z Rosjanami, ale i innych narodowości pomiędzy sobą. „Wystarczy przypomnieć” — wskazuje Agurski — „jak wyglądało Zakaukazie w latach 1917-1921, kiedy Gruzja, Armenia i Azerbejdżan znajdowały się w sytuacji nieustannej wojny bratobójczej, którą zahamowało dopiero wkroczenie Armii Czerwonej”. Hm, wątpię, czy zainteresowane narody zgodziłyby się z takim poglądem na krótki okres swojej niepodległości i zbawienną rolę Armii Czerwonej w przywróceniu pokoju na Kaukazie. Ale nie tylko zamieszkani narodowościowymi grozi „nagle wprowadzenie nieograniczonych swobód politycznych”: spowoduje ono również „gwałtowny wybuch przestępczości w kraju”, chaos i anarchię, „niebezpieczne nie tylko dla mieszkańców ZSSR, lecz i dla innych krajów”. Albowiem: „Nie ulega wątpiwości, że żywiołowy rozpad ZSSR i towarzyszące mu zamieszanie wewnętrzne doprowa-

dziłyby kraj do takiego stopnia słabości, że łatwo mógłby się stać obiektem dowolnej agresji, i to ze strony krajów, którym w chwili obecnej nie przychodzi to nawet do głowy". Interesuje może państwa, jakie to kraje? Chiny — rzecz oczywista, ale: „czyby trzymały się na uboczu od kuszącego podziału Rumunia, pokojowa dzisiaj Finlandia, Polska itp.?" Zostałaby zakłócona „światowa równowaga sił", USA z Europą Zachodnią musiałyby interweniować, ogniska konfliktów wystąpiłyby w innych zakątkach globu, a wreszcie" — obawia się Agurski — „czy nagłe wprowadzenie nieograniczonych swobód politycznych w ZSSR bez odpowiedniej kontroli ze strony władzy nie skończyłoby się nową wojną światową?". No i proszę, jak się Agurski ładnie zgadza z postulatami Sołżenicyna, by umożliwić narodom ZSSR wystąpienie z imperium!

BO W GRUNCIE RZECZY i Agurski, i bodaj że Szafarewicz (również uczestnik publikacji zbiorowej „Spod grud", podobno znakomity algebraista), i może nie tylko oni, bez zastrzeżeń i poprawek zgadzają się jedynie z poglądem Sołżenicyna, iż wszelkie zło płynie z „ideologii", tzn. z doktryny marksistowsko-leninowskiej, wystarczy zaś wyrzec się jej definitywnie na rzecz pragmatycznego rozpatrywania rzeczywistych potrzeb narodu, okraszonych głęboką wiarą religijną, aby poradzić sobie z niebezpieczeństwem wojny, kryzysem ekonomicznym, zatruciem atmosfery, niedolą i poniżeniem człowieka. Wtedy, przed rokiem, pisałem na marginesie podobnych sugestii Sołżenicyna, że pojmuję uczulenie ludzi, których pół wieku siłą karmiono „ideologią", akompaniującą w dodatku największym potwornościom, obserwowanym i przeżywanym na własnej skórze — pojmuję, ale nie sądzę, żeby to ona, przynajmniej w naszych czasach, tzn. nie przed i nie w trakcie rewolucji, lecz grubo po okrzepnięciu „rewolucyjnego" państwa, była źródłem wszystkiego. Sądzę, pisałem, że obecnie dla komunistycznych polityków ideologia nie jest motorem żadnych poczynań, lecz przykrywką ich pozaideologicznej istoty, przede wszystkim imperialnego interesu supermocarstwa. Teraz mam okazję zapoznać się z zamieszczoną w 7-8 numerze kwartalnika *Aneks* krytyką listu Sołżenicyna, pióra Andrzeja Sacharowa. „Znaczna część myśli Sołżenicyna" — stwierdza uczony — „wydaje mi się ważna i słuszna, i z wielką radością widzę ich nową i utalentowaną obronę". Są jednak takie, które uważa za niesłuszne, i do nich należy właśnie kwestia „ideologii". Píše więc Sacharow: „Bardzo trafnie, z bólem i sprawiedliwym oburzeniem opisuje Sołżenicyn licznie niedorzeczności, kosztowną bezmyślność zewnętrznego życia kraju i polityki zagranicznej. Ale jego sposób widzenia mechanizmu wewnętrznego jako zro-

dzonego bezpośrednio z przyczyn ideologicznych wydaje mi się dosyć schematyczny. Prędzej już, jeśli mowa o współczesnym społeczeństwie, charakteryzuje się ono ideologicznym indyferentyzmem i pragmatycznym wykorzystaniem ideologii jako wygodnej fasady... Tak jak Stalin popełnił swoje przestępstwa nie z ideologicznych przesłanek, lecz podczas walki o władzę w procesie formowania się społeczeństwa nowego rodzaju, określonego przez Marksa jako koszarowe, tak i dla współczesnego kierownictwa kraju głównym kryterium przy podejmowaniu jakichkolwiek trudnych decyzji jest warunek utrzymania się przy władzy oraz zachowania zasadniczych cech ustroju... To, co Sołżenicyn pisze o ideologicznym rytuale, o szkodliwej stracie czasu i sił milionów ludzi na gadaninę przyzwyczajającą ich do pustostłowa i fałszu, jest bezsporne i robi ogromne wrażenie. Ale sprawa polega na tym, że cała ta obłudna gadanina zastępuje w aktualnych warunkach przysięgę wierności, wiąże ludzi nierozważnym węzłem masowego grzechu, kłamstwa i fałszu. Jest ona jeszcze jednym przykładem zrodzonej przez system celowej niedorzeczności". Sacharow ma, moim zdaniem, rację — ale na to, znów nie bez racji, Sołżenicyn (*Kontynent* nr 2, 1975): „I tej hipokryzji — mało? Toć czerwoną elektrodą przepaliło nasze dusze przez 55 lat: przez całą opluwającą 'samokrytkę' lat 20-tych i 30-tych, publiczne wyrzekanie się rodziców i przyjaciół... entuzjazm narodów z powodu, że zostały okupowane... entuzjazm ludności na wiadomość o aresztowaniach i rozstrzałach... Przed kilku laty nawet redakcja *Nowego Miru* wyraziła w druku zachwyt okupacją Czechosłowacji, czyli naigrawała się z własnej wieloletniej linii — i Ideologia nie ma znaczenia?... Ideologia wykręca nasze dusze jak szmaty od podłóg, deprawuje nas, nasze dzieci, spycha nas poniżej stanu zwierzęcego — i 'nie ma znaczenia'? Czy jest coś bardziej obrzydliwego w Związku Sowieckim? Jeżeli nikt nie wierzy i wszyscy się podporządkowują — dowodzi to nie słabości Ideologii, lecz jej straszliwej niedobrej siły... I dzisiaj władcy, zatruci jadem tej Ideologii, po błaznęku powtarzają ją ze ściągaczką, chociażby sami w to nie wierzyli (niech sobie rozumieją tylko władzę — ale i oni są niewolnikami Ideologii), i szaleńczo usiłują podpalić cały świat i zagarnąć go, chociaż zgubi to i zniszczy ich samych, chociaż spokojniej siedziałyby się na już zgniętym — ale pcha ich do tego Ideologia! Całe wewnętrzne kłamstwo i zewnętrzna ekspansja, i usprawiedliwienie wojen i morderstw... usprawiedliwienie jutrzejszych wojen — wszystko opiera się na tej Ideologii. I na jej prawie mistycznym wpływie — półwiekowa fascynacja Zachodu, jego aplauz dla naszych bestialstw: nigdy wobec gromadki zwykłych opętanych władzą tyranów nie osłepiałby tak całego cywilizowanego świata".

Ta ostatnia obserwacja — dorzucę wszakże — dowodzi, jak skutecznym narzędziem dysponują owi tyrani dla omamienia ludzi znajdujących się na razie poza obrębem praktycznego sprawowania tyranii. Nie dowodzi natomiast, że ideologia jest dla tych panów czymś więcej niżli narzędziem. Poza misją fascynowania i obywatelskiego potencjalnych ofiar żarłocznego państwa ideologia ma za główne zadanie stłamszenie aktualnych poddanych i metropolii, i państw satelitów — a więc to, co na różny sposób opisują i Sacharow, i Sołżenicyn — „przysięgę wierności”, „związanie ludzi nierozzerwalnym węzłem masowego grzechu, kłamstwa i fałszu”, „wykręcenie naszych dusz jak szmat od podłóg”, „deprawację nas i naszych dzieci”. Ale czy koniecznie ta ideologia ich może być bardzo różna (choć pewne elementy się powtarzają). A choćby u nas w Polsce — alboż nie przedsięwzięcie się od szeregu lat (i także nie bez skutku) próby wielkiego manewru ideologicznego: przejścia od mało chwytliwego marksizmu-leninizmu do rzekomej „myśli narodowej”, werbalnego nacjonalizmu, neo-endeckiego frazesu i gestu? I to też, włącznie ze wzruszającymi scenami mundurowo-kadzielanymi w filmie „Hubal”, służy „przysiędze wierności”, deprawacji i sowietyzacji społeczeństwa. W Rosji również przeprowadza się podobny manewr — motywacje nacjonalistyczne i państwowotwórcze podsuwane są przez pewnych publicystów i prelegentów — jednakże czyni się to nieco dyskretniej, aby nie odstraszyć tej zagranicznej klienteli, o której była już mowa. „Ideologia”, taka czy inna, nie przestaje odkrywać roli instrumentalnej.

ELEMENTY NADAJĄCE SIĘ DO WŁĄCZENIA W OBRĘB którejś ze współczesnych ideologii totalitarnych (traktowanych instrumentalnie przez jednych, innych zaś głęboko deprawujących i zżerających im dusze) dostrzec można czasem i w konstrukcjach „dysydentów” rosyjskich, skupionych wokół Sołżenicyna. Może jeszcze nie wówczas, kiedy sam Sołżenicyn obchodzi przy najwyższej — w porównaniu z innymi narodami — miarze cierpienie swoich rodaków, chociaż nie podobna się z tym zgodzić (a co na przykład z kilkoma małymi narodami ZSSR, w komplecie, od niemowlęcia do starca wywiezionymi w wagonach towarowych z Południa na Północ i poddanymi bezlitosnej eksterminacji?), w ogóle zaś licytowanie się wzajemne cierpieniami narodowymi jest żenujące. Ale kiedy Igor Szafarewicz („Wyodrębnienie czy zbliżenie?”, w zbiorze „Spod grud”) ma pretensję do „estońskich nacjonalistów”, że w liście do ONZ skarżyli się na „zagrożenie samej egzystencji narodu estońskiego” i żądali pomocy w całkowitym zerwaniu z ZSSR — i poucza, że „nie jest

szczytem mądrości państwowej odrzucanie wielowiekowych związków jak niepotrzebnego śmiecia” i że „narody naszego kraju związane są wspólną historią” (wspólna historia zdobywców i podbitych?), a zatem ich „historyczną misją” byłoby dalsze dobrowolne współzycie „w obrębie jednego państwa” — musi, niezależnie od sympatii do meżnego moskiewskiego matematyka, rozleć się dzwonek alarmowy, i to donośnie. I nie brzmia również zachęcająco wymawianie przez Maksymowa Ukraińcom (w wywiadzie dla miesięcznika *Suczastnist*, kwiecień 1975), że jakoby „komitet centralny i nasz rząd w większości składa się obecnie z Ukraińców”, podobnie jak twierdzenie Sołżenicyna („Skrucha i samoograniczenie”, w zbiorze „Spod grud”), iż pierwsze lata rewolucji w Rosji sprawiały wrażenie „cudzoziemskiej inwazji”, ponieważ m.in. „aparatus Czeki obfitował w Łotyzy, Polaków, Węgrów, Chińczyków”. Czyżby owi Łotyzy i Polacy reprezentowali wówczas interesy Łotwy i Polski? Chyba nie w większym stopniu, niż dzisiaj Japończycy w szeregach arabskich komandosów — interesy Japonii. A jak to się stało, że po wykonaniu pierwszej brudnej roboty owi cudzoziemcy rok za rokiem systematycznie byli eliminowani z Czeki i innych urzędów, aż doszło do prawie stuprocentowego obsadzenia ich przez „rdzenną” kadrę, do której — jak zwierzał się autor „Archipelagu GUŁag” — i jego kiedyś próbowano werbować?! Ale najważniejsza jest sprawa tu zasadnicza: że obarczanie „obcych” głównym ciężarem winy za własne nieszczęścia — ktokolwiek taką historiozofię uprawia, Niemcy, Rosjanie czy Polacy — jest jednym z niebezpiecznych elementów ideologii, mogącej w odpowiednich warunkach wesprzeć nowy totalitaryzm...

POWSTAŁO WIĘC PEWNE NAPIĘCIE, i nie bez ulgi czytam w sprawozdaniach prasowych z wystąpień publicznych Włodzimierza Maksymowa, że jest on zwolennikiem całkowitego samookreślenia narodów. Z jeszcze większym przejęciem — myśli Sołżenicyna na temat skrucy, oczyszczającej dusze jednostek i ludów. Cytuje: „Jeżeli okaże się, żeśmy do tego stopnia jeszcze nie złamani, iż znajdziemy w sobie siły do przejścia tej palącej smugi ogólnonarodowej skruchy, skruchy wewnętrznej, za to, cośmy tu, wewnątrz kraju, sami z sobą nawyrabiali — to czyż możliwe będzie dla Rosji zatrzymanie się na tym? Nie, będziemy musieli znaleźć w sobie zdecydowanie także i do następnych kroków: uznania grzechów zewnętrznych, wobec innych narodów”. Sołżenicyn wylicza przykładowo winy Rosji wobec Polski — są tu i te, o których wspominał gdzie indziej, i dużo więcej: „Trzy rozbiory Polski. Zdławienie powstań 1830 i 1863 roku. Potem rusyfikacja: całkiem zabroniona została

polska szkoła elementarna, w gimnazjach nawet język polski wykładany był po rosyjsku i nieobowiązkowy, uczniom na stacjach zabroniono rozmawiać po polsku!" Nowsza historia: „... szlachetny cios w plecy ginącej Polsce 17 września 1939 roku; i wyniszczony w naszych łagrach kwiat narodu polskiego; i złośliwe, zimne nasze stanie na brzegu Wisły w sierpniu 1944 roku, obserwowane przez lornetki, jak na drugim brzegu Hitler dusi warszawskie powstanie sił patriotycznych — żeby już się nie podniosły, a my znajdziemy kandydatów do rządu (byłem tam obok i powiadam stanowczo: przy dynamice naszego ówczesnego marszu sforsowanie Wisły nie sprawiłoby nam trudności, a odwróciłoby los Warszawy)". Rozdział, z którego czerpię te jakże poruszające w ustach Rosjanina zdania, Sołżenicyn kończy: „Skrucha stanowi jedynie przygotowanie gruntu, przygotowanie czystej podstawy do działań etycznych w przyszłości — tego, co w życiu jednostki nazywa się p o p r a w ą. I jak w życiu jednostki, poprawiać błędy należy czynami, nie zaś słowami — tak tym bardziej w życiu narodu. Nie tyle w artykułach, książkach i audycjach radiowych, ile w narodowych p o s t ę p k a c h. W stosunku zaś do wszystkich granicznych i zagranicznych narodów, przemocą wciągniętych w naszą orbitę, tylko wtedy uczciwą okaże się nasza skrucha, jeżeli obdarzymy je autentyczną wolnością samodzielnego rozstrzygnięcia swych losów”.

W TEJ BECZCE MIODU — jakże gęstego, pożywnego, wznagającego siły duchowe — znalazła się jednak i łyżka dziegciu. Ledwie wyliczył Sołżenicyn grzechy Rosji wobec Polski, już śpieszy zbilansować (a tak nie lubi podobnego bilansowania i wyważania, tak wyszydza gdzie indziej sławetną metodę „pół na pół: jeden kurak — jeden wół”!) grzechy Polski wobec Rosji, i tych okazuje się wcale nie mniej, zwłaszcza że również nasze długi wobec — dajmy na to — Litwinów, Białorusinów czy Ukraińców, też z rozpędu zostają wpisane na to samo rosyjskie konto. Mniejsza zresztą o historyczne szczegóły — i o historycznie nieścisłości, których nie zabrakło — ciekawa jest motywacja tego rachunku za kogo innego. „Podobnie bowiem — twierdzi Sołżenicyn — jak jedni ludzie łatwiej otwierają się dla skruchy, inni zaś oporniej, a nawet wcale, ani na sparke, tak, wydaje mi się, są i narody bardziej lub mniej skłonne do skruchy”. Rosjanie tedy bardziej, Polacy mniej — i trzeba im to, znaczy, wypomnieć — ale, hm, czy ta rosyjska skrucha Sołżenicyna nie przeistoczyła się tu niepostrzeżenie, z pewnością wbrew szlachetnym intencjom, w p y c h ę, w o d p y c h a n i e w s p ó ł p a r t n e r a „powszechnej skruchy” i wzajemnego wybaczenia, do którego nawołuje nas wielki pisarz? Niestety, pułapka pychy — nie

pierwszy raz można to stwierdzić, i w Polsce też, ma się rozumieć, i jeszcze jak — czyha na proroków i moralistów. Cień jej przesłania niekiedy to dobre i jakże ważne, co głoszą, i przeskadza w zrozumieniu tego i dogłębnej solidarności.

CZY REPREZENTANTEM HISTORYCZNEJ SKRUCHY POLAKÓW nie jest aby Juliusz Mieroszewski jako autor eseju o rosyjskim „kompleksie polskim” i obszarze ULB (*Kultura* nr 9, 1974)? Mieroszewski nie jest prorokiem i moralistą, jest zaledwie publicystą politycznym, nie uprawia patosu, pisze językiem — zwłaszcza w porównaniu z Rosjanami — chłodnym i oschłym. Ale niech mi wolno będzie teraz — mimo że czytelnicy *Kultury* znają ten tekst w całości — zacytować Mieroszewskiego: „... możemy domagać się od Rosjan wyrzeczenia się imperializmu pod warunkiem, że my sami raz i na zawsze wyrzeczemy się naszego tradycyjno-historycznego imperializmu we wszystkich jego formach i przejawach... W Europie Wschodniej — jeżeli na tych ziemiach ma kiedyś ustalić się nie tylko pokój, lecz wolność — nie ma miejsca na żaden imperializm — ani rosyjski, ani polski. Nie możemy gardłować, że Rosjanie winni oddać Ukraincom Kijów i równocześnie głosić, że Lwów musi wrócić do Polski. To jest owa 'podwójna buchalteria', która w przeszłości uniemożliwiła nam przełamanie bariery historycznej nieufności pomiędzy Polską a Rosją. Rosjanie podejrzewali, że jesteśmy anty-imperialistami, lecz tylko w stosunku do Rosjan — tzn. że imperializm rosyjski pragniemy zastąpić imperializmem polskim... Musimy szukać kontaktów i porozumienia z Rosjanami gotowymi przyznać pełne prawo do samostanowienia Ukraincom, Litwinom i Białorusinom i, co również ważne, musimy sami zrezygnować raz i na zawsze z Wilna, Lwowa i z jakiegokolwiek polityki czy planów, które by zmierzały do ustanowienia w sprzyjającej koniunkturze naszej przewagi na Wschodzie kosztem cytowanych powyżej narodów. Tak Polacy, jak i Rosjanie muszą zrozumieć, że tylko nie-imperialistyczna Rosja i nie-imperialistyczna Polska miałyby szansę ułożenia i uporządkowania swych wzajemnych stosunków. Musimy zrozumieć, że każdy imperializm jest zły, zarówno polski, jak rosyjski — zarówno zrealizowany, jak i potencjalny, czekający na koniunkturę. Ukraincom, Litwinom i Białorusinom musi być przyznane w przyszłości pełne prawo do samostanowienia, bo tego wymaga polsko-rosyjska racja stanu...”. Sądzę, że ustami Mieroszewskiego, w artykule ogłoszonym przed publikacją napisanego nieco wcześniej eseju Sołżenicyna, przemawia nie tylko rozum polityczny, ale t a s a m a, co u wielkiego Rosjanina potrzeba moralna, to samo dążenie do p o p r a w y c z y n e m tego, co było złe i wymaga skruchy

w naszej wspólnej, trwającej ciągle historii. Nasze głosy — tak myślących Polaków i Rosjan, wraz z głosami naszych braci Litwinów, Białorusinów i Ukraińców — winny zostać usłyszane nawzajem, oczyszczone z wszystkiego, co zagłusza je i zniekształca, winny zostać odebrane i zrozumiane. Za dobry znak uważam zapowiedziany przedruk artykułu Mieroszewskiego w redagowanym przez Maksymowa *Kontynencie*.

ALÉ NIE ŁUDZĘ SIĘ: odbywamy te dyskusje, bijemy się w piersi, snujemy takie lub inne koncepcje odrodzenia politycznego i moralnego — w bardzo wąskim gronie. W Rosji — wbrew temu, co się sądzi — w jeszcze węższym niż u nas. Przez ostatnie pół roku — od chwili ukazania się „Spod grud” i nadejścia pierwszych egzemplarzy do Polski — pytałem o tę książkę każdego Rosjanina, z którym miałem okazję zetknąć się w Warszawie, i ani jeden nie potwierdził, że chociażby słyszał jej tytuł. Moi rozmówcy — to inteligenci, uczeni, pracownicy instytutów naukowo-badawczych, zdarzają się też humaniści. Niektórzy z nich kilka lat temu zdobywali się na jakieś gesty protestu, podpisywali jakieś listy, mieli za to mniejsze lub większe przykrości. Kiedy przyjeżdżali do Warszawy — śpiewali piosenki Galicza i Wysockiego, opowiadali o nowościach samizdatu, niekiedy dawali do zrozumienia, że są blisko centralnego ośrodka ruchu opozycyjnego, prawie zawsze — że w każdym razie należą do wielkiej, wzbierającej fali, która rozmyje tyranie. Dzisiaj mówią: samizdatu nie ma. To nie znaczy, jak sądzę, że naprawdę nie ma — to znaczy, że dla nich, wczoraj jeszcze bodaj że głównej jego klienteli, samizdat przestał istnieć. Mówią: wie pan, od tak zwanych dysydentów trzymam się z daleka, to ludzie w najlepszym razie nieodpowiedzialni, w gorszym podejrzeni, zna pan tę historię z Jakirem... Mówią: istnieje teraz coś w rodzaju niepisanej umowy między rządem a społeczeństwem — wy nas nie ruszajcie i my was nie ruszymy — to jednak nie to, co za stalinizmu, kiedy brali niewinnych... Mówią: to jest potęga, daj pan spokój, z motyką na słońce... Tak, potwierdzają, Sołżenicyn wspaniały, Sacharow kryształowy, „to są nasi święci”, lecz nie można przecież wymagać... Niektórzy korzystają z okazji, rzucają się na lekturę, przede wszystkim „Archipelag” obchodzi ich, oczywiście: chcą poznać całą prawdę o zbrodniach. A „Spod grud”, o którą pan pyta, to o czym? To artykuły — wyjaśniam — o narodzie, religii, moralności, odrodzeniu duchowym, przyszłości. Aha — kiwają głowami i nie proszą, żeby dać im do przeczytania. A ja po którejs z rzędu takiej rozmowie zdaję sobie sprawę, że przeprowadzona w środowisku inteligencji rosyjskiej operacja tajnej i jawnej policji oraz biur paszportowych przyniosła skutki. Nie wiem, co będzie jutro, ale na dzisiaj życie opozycji

politycznej w ZSSR zostało zatamowane. To, co istnieje — istnieje na emigracji. Nawet mieszkający w Moskwie i potępiający emigrację Igor Szafarewicz — jako pisarz polityczny, współautor wydanej w Paryżu (bo realne istnienie jej w samizdacie między bajki włożyć) książki „Spod grud”, jest emigrantem. Dotyczy to poniekąd i nas Polaków: kiedy u siebie w Warszawie sporządzam te wypisy i przypisy o Rosjanach z myślą o przesłaniu ich jakoś do *Kultury* paryskiej i przeczytaniu tam później, jeżeli wydrukują, a ktoś przywiezie mi numer — w tej chwili, w tej sytuacji, też jestem emigrantem jak Mieroszewski, uczestniczę w emigracyjnym, trochę abstrakcyjnym, trochę utopijnym, w każdym razie niezależnym od krajowej kaszanki i gigantofonów na placu Konstytucji, „urządzeniu świata”. No i co? Mam się tego wstydzić, mam się tym martwić? Przeciwnie: dumny jestem, że korzystam z tej możliwości. Tu, na emigracji, nie jesteśmy, dzięki Bogu, wysokimi układającymi się stronami, nic nie sprzedajemy i nie kupujemy, pozwalamy sobie na luksus myślenia o sprawach, które dla wielu Polaków i Rosjan, i nie tylko, są właśnie luksusem — po to, aby w przyszłości, którą trudno przewidzieć stały się dla nich chlebem codziennym i aby chleb ten nie uwiązł im w gardle.

N. N. z Warszawy

Pisane w maju 1975

Czeska kultura lat ostatnich

W nrze 12/315 *Kultury* z końca roku 1973 opublikowałem artykuł pt. „Czeskie i słowackie nowości wydawnicze”, który zajmował się przede wszystkim czeską literaturą emigracyjną do połowy roku 1973. Obecnie zajmę się przeglądem ostatnich dwóch lat.

Przyjrzyjmy się najpierw sytuacji w Czechosłowacji na odinku życia literackiego.

Nowy, całkowicie „znormalizowany” Związek Pisarzy Czeskich zaczął wydawać *Literární měsíčník* (Miesięcznik Literacki), który jak dotąd nie może poszczycić się większymi sukcesami w dziedzinie literatury. Sam Związek pozostaje nadal organizacją prawie tajną, gdyż do wiadomości publicznej podano tylko nazwisko prezesa oraz kilku członków władz, natomiast pełny skład członkowski (podobno 130 osób) utrzymuje się w tajemnicy. Jest

to zrozumiałe, gdyż nowy Związek w pierwszej fazie swego istnienia mógłby poszczycić się tylko nielicznymi nazwiskami wybitniejszych twórców — można ich policzyć na palcach jednej ręki — natomiast większość członków to różni karierowicze, urzędnicy od literatury oraz trochę debiutantów (wśród nich także emeryci). Najzdolniejsi i najbardziej znani autorzy trzymają się nadal z dala od Związku. Ten stan rzeczy zaniepokoił kierownictwo partii — Husak podobno wyraził niezadowolenie, że jego podwładni nie potrafili przyciągnąć do nowego Związku wybitniejszych autorów.

Czas jednak robi swoje. Podobnie jak na Węgrzech po roku 1956, zaczynają niektórzy wybitni autorzy kajać się publicznie, przeprowadzają samokrytykę i wstępują do nowego Związku, licząc, że w nagrodę otrzymają prawo do publikowania swych utworów. Pierwszy był liryk Miroslav Holub (podobno teraz już żałuje tego kroku), następny świetny powieściopisarz Bohumil Hrabal, po nim liryk i powieściopisarz Jerzy Szołta. Przyszłość pokaże, czy te gorzkie kapitulacje przyniosły zysk czeskiej literaturze w postaci nowych dzieł, opublikowanych w kraju. Jak dotąd wydawnictwa państwowe nie wykazują zbyt wielkiej ochoty do wydawania książek pokutników.

Jednocześnie z wysiłkiem, zmierzającym do aktywizacji literatów, idzie ucisk w dziedzinie nauki o literaturze. W ostatnim czasie udało się uciszyć czeskich strukturalistów na uniwersytetach oraz w instytutach Akademii Nauk. Miejsce narodzin światowego strukturalizmu — Praga — wróciło więc pod tym względem do lat pięćdziesiątych i to w czasie, kiedy nawet w Rosji zaczyna się coraz więcej mówić o strukturalizmie (np. grupa prof. Lotmana). Zamiast strukturalizmu propaguje się znów przestarzały socrealizm.

Franz Kafka stał się znów symbolem dekadencji, a jego utwory znalazły się na indeksie. Jest on tam zresztą w ciekawym towarzystwie, gdyż cenzura zabrania wydawania oraz pożyczania dzieł takich autorów jak Aragon, E. Fischer, Gaudy, Gide, Marks (książka „Marks a dzień dzisiejszy”), Saint-Beuve, Lope de Vega („Bunt w domu wariatów”). Z polskich autorów na indeksie znalazł się Sł. Mrozek. Zakazanych czeskich autorów są dziesiątki.

Czeska literatura w kraju straciła w ubiegłych dwu latach takich autorów jak Biehounek, Czetyrna, Götz, Hoffmeister, Knap, Maszynowa, Nohejl, Palivec, Rencz oraz dwu wybitnych teoretyków literatury, strukturalistów Vodiczkę i Mukarzovskiego.

Nawet w legalnych wydawnictwach literatura ta nie umarła jednak. Tak np. autor starszego pokolenia — dobrze znany z tłumaczeń również w Polsce — Vl. Neff wydał historyczną powieść z czasów Rudolfa II, wybitny powieściopisarz Vl. Paral wydaje dalej swoje powieści psychologiczne, publikują B. Rzyha, J. Kadlec, E. Petiszka i inni, pojawiły się ciekawe utwory debiutantów J. Medka, V. Mikesza, V. Körnera i in. W poezji ukazało się

kilka ciekawych pozycji M. Floriana, A. Vrbowej, E. Petiszki i in. oraz niektóre debiuty, tym razem może mniej interesujące. Teatry nadal mają wysoki poziom, ale żyją wyłącznie klasą. Współczesny czeski repertuar nie istnieje, tak samo jak świetny kiedyś film czeski. O wiele lepiej przedstawia się sytuacja małych teatrzyków eksperymentalnych w wielkich miastach, zwłaszcza w Pradze. Nie mają one łatwego życia, ale udaje im się omijać niebezpieczeństwa drętwej mowy i przyciągają młodych i najmłodszych widzów.

Tak więc obok książek i utworów dramatycznych, które nie mają żadnej wartości artystycznej czy są wręcz narzędziem szkalowania osób i idei „praskiej wiosny”, ukazują się również — rzadko, ale jednak — rzeczy dobre.

Obok legalnych wydawnictw istnieje czeski „samizdat”, który rozpowszechnia dosyć liczne utwory znanych autorów, nie mogących publikować, jak również i anonimów, wśród których mogą być także debiutanci. Chyba najciekawszym dziełem tej „nielegalnej” literatury jest jak dotąd powieść B. Hrabala pt. „Ustugiwałem królowi Anglii” o losach czeskiego kelnera.

Niektóre prace czeskich autorów krajowych ukazały się na Zachodzie tylko w tłumaczeniach na obce języki, nie mogły się bowiem ukazać w Czechosłowacji. Wśród nich trzeba wymienić na pierwszym miejscu „La vie est ailleurs” Milana Kundery, która ukazała się u Gallimarda w roku 1973 i w tymże roku uzyskała Prix Medicis.

Na emigracji pojawił się w ubiegłych dwu latach szereg ciekawych książek. Zaczniemy od wydawnictwa INDEX w Kolonii. Ota Filip, autor, którego wyrzucono z Czech w lipcu 1974, wydał swoją powieść „Wniebowstąpienie Alojzego Lapaczka z Śląskiej Ostrawy”, w której opisuje los Czechów, Niemców, Polaków i Żydów w Ostrawie na krótko przed wojną i w czasie wojny. Powieść przetłumaczono na niemiecki i od razu zdobyła sobie wielką popularność. „Karzełek na huśtawce” A. Lidina to „dreszczowiec” bohaterem którego jest czeski oficer wywiadu, uciekający po sowieckiej okupacji Czechosłowacji do Szwajcarii. Autor, ukrywający się pod pseudonimem Lidin, jest synem słynnego czeskiego pisarza W. Rzezacza. Lidin niedawno powrócił z emigracji w Szwajcarii do Pragi, skąd — na zmianę — wymyśla emigracji.

A. Lustig, autor kilku książek o tematyce żydowskiej, wydał zbiór opowiadań „Ulica zagubionych”. W opowiadaniach tych dzień dzisiejszy przepłatan jest przeżyciami przeszłości, a akcja toczy się w różnych częściach świata. M. Rybakova napisała powieść „Ucieczka z czasów”, opisującą życie w oślawionym komunistycznym obozie koncentracyjnym Jachymov (niedaleko Karlowych Warów), gdzie czescy więźniowie polityczni zmuszeni byli z narażaniem własnego zdrowia wydobywać uran dla sovietów — dopóty, dopóki złoża uranu nie zostały wyczerpane.

INDEX nie zapomina też o poezji — ukazały się tam dwa tomiki emigrantów starszego pokolenia (Franciszka Listopada i Józefa Lederera) oraz tomik Vladimiry Czerepkowej, najmłodszej przedstawicielki poezji na emigracji.

Z literatury politycznej, która ukazała się ostatnio w tym wydawnictwie, zasługuje na uwagę książka naczelnego redaktora paryskiego czasopisma „Svědectvi” (Świadectwo) Pawła Tigrida pt. „Emigracja polityczna w wieku atomowym”. Autor wydał ją po raz pierwszy kilka lat temu, ale w nowym wydaniu uległa ona całkowitemu przerobieniu. Tigrid stara się pokazać różnym grupom i pokoleniom czeskiej emigracji politycznej to, co ich powinno łączyć — zadanie niemal nadludzkie.

Wydawnictwo INDEX wydaje również książki rosyjskich dydymentów w czeskim tłumaczeniu — ostatnio ukazały się prace Mandelsztamowej oraz braci Medwiediew.

W ciągu niecałych pięciu lat swego istnienia wydawnictwo wydało około 30 tytułów, a więc sporo.

Nowe wydawnictwo „Konfrontace” (Szwajcaria) opublikowało już kilka książek, wśród nich tłumaczenie Sołżenicyna oraz starsze utwory czeskie, które teraz nie mogą ukazywać się w kraju. Zapowiedziane są utwory Kafki w czeskim tłumaczeniu. Ostatnio ukazała się nowa powieść Oty Filipa „Wariat w mieście”.

Wydawnictwo „CCC Books” w Monachium wydało już w roku 1973 „Rozmowy z Janem Masarykiem” Viktora Fischla, byłego czechosłowackiego dyplomaty (później izraelskiego ambasadora w Warszawie). Dalej ukazał się zbiorek humoru politycznego i książki: Jerzego Kovtuna „Praska ekloga” o powstaniu pras- kim w maju 1945 roku, A. Kratochvila „Oskarżam” o procesach w Czechosłowacji w okresie stalinizmu i tom satyry J. Schneidera.

Bardzo aktywne wydawnictwo „68 Publishers” w Kanadzie jak gdyby w ostatnich dwu latach nieco straciło rozpęd. W roku 1973 ukazały się opowiadania Szkvoreckiego „Grzechy dla Ojca Knoksa”, które na pewno znalazły dużo zwolenników, gdyż są pisane w formie kryminału. Ale to jest też niemal wszystko, co mają „68 Publishers” w dziedzinie beletrystyki do zaferowania czeskim czytelnikom w ostatnich latach. Wznowiono starsze powieści Szkvoreckiego oraz wydano tom wspomnień o E. Hostovskim, pisarzu zmarłym w roku 1973. Poza tym ukazały się dwie książki na tematy polityczne (Ulcz oraz Pachman).

Wyżej wymienione wydawnictwa mają bardzo ambitne plany na przyszłość. Dotychczas udało im się zrealizować wszystko, albo niemal wszystko, co w przeszłości planowały. Chciałoby się więc wierzyć, że pomimo stale wzrastających kosztów produkcji a tym samym cen książek oraz nieregularnego napływu nowych, ciekawych rękopisów, wydawnictwa te będą mogły kontynuować swoją działalność tak jak ją projektują.

W ubiegłych latach poniosła czeska literatura na emigracji dotkliwie straty. Zmarli dwaj najwybitniejsi przedstawiciele literatury fali emigracyjnej z roku 1948 — Egon Hostovsky i Jan Czep (zięć Du Bos). Emigracja z roku 1968 straciła pisarza Vra-

islava Blažka. Dla szczupłego grona czeskich pisarzy na emigracji są to straty bardzo bolesne — zwłaszcza że możliwości uzupełnienia ich szeregów przez debiutantów są nader ograniczone. Mogą się również w przyszłości zdarzyć wypadki przymusowej emigracji pisarzy z Czechosłowacji (jak to miało miejsce np. w wypadku Oty Filipa czy Jerzego Hochmana), ale nie jest pewne, czy rozwiązanie à la Sołżenicyn będzie zawsze z korzyścią dla wyrzuconych literatów czy literatury czeskiej.

W obcych językach ukazuje się nadal sporo tłumaczeń utworów czeskich pisarzy, ale tylko bardzo rzadko są to utwory członków nowego Związku Pisarzy. W większości wypadków chodzi o czeskich pisarzy, którzy żyją w kraju, ale nie mogą publikować w ojczyźnie, albo o pisarzy emigracyjnych. Najwięcej książek czeskich tłumaczy się nadal na niemieckim obszarze językowym (zresztą taka sama sytuacja jest z tłumaczeniami z polskiego).

Przeważnie w obcych językach ukazują się prace fachowe dotyczące Czechosłowacji jak również fachowe prace Czechów rozsianych po całym świecie. Tak np. kilka książek z zakresu ekonomii wydali w różnych językach J. Kosta, E. Löbl, R. Selucky i O. Szik; publikują też: A. J. Liehm, J. Pelikan i L. Pachman (polityka), I. Svitak (filozofia), L. Doležal i V. Karbusický (estetyka), V. Mastny, L. Feierabend (historia) itd., itd. Prac naukowych o Czechosłowacji pióra obcych autorów jest tyle, że nie ma sensu przytaczać ich, gdyż artykuły zmieniłyby się w katalog. Wyjątek należy zrobić dla książki „Czech Poetry” Alfreda Frencha. Jest to antologia czeskiej poezji od XIV wieku do roku 1918, w której wydrukowano obok siebie angielski i czeski tekst. Praca jest tym ciekawsza, że wydawcą jest Australijczyk.

◆
Piśmiennictwo czeskie w kraju istnieje i rozwija się nadal pomimo bardzo ciężkich warunków. Można nawet mówić o pewnych oznakach regeneracji literatury czeskiej, chociaż przejawia się to na razie prawie bez wyjątku w utworach „samizdatu” oraz w książkach, które autorzy wysłali z kraju do opublikowania na Zachodzie. Po okresie depresji w środowisku pisarzy krajowych — zwłaszcza w latach 1970-1972 — spowodowanej nie tyle okupacją sowiecką co zimnym terrorem wobec inteligencji (przy małym zainteresowaniu tymi faktami opinii światowej), dochodzi w roku 1973 do wyrażnego ożywienia. Rodzą się nowe książki: proza i poezja oraz dramaty takich autorów jak Hrabal, Seifert, Kundera, Havel, Klima i in. Dotychczas znamy z wydań na Zachodzie czy z maszynopisów, krążących w kraju z rąk do rąk, tylko małą część tej produkcji literackiej. Ale to, co znamy, świadczy o tym, że literatura czeska rozwija się nadal w kierunku zapoczątkowanym około roku 1958 po ostatecznym załamaniu się stalinizmu w Czechosłowacji. Okupacja sowiecka i terroryzowanie inteligencji po roku 1969 w ramach tzw. normali-

zacji tylko na bardzo krótki okres czasu odebrały twórcom nadzieję. Podziemna rzeka twórczości jest nadspodziewanie silna. Logika rozwoju czeskiej literatury uczy, że jej żywy prąd może wyschnąć tylko wtedy, kiedy jej twórcy popełnią zdradę na idei wolności czy tracą nadzieję — tak jak się to stało w latach 1948-1958.

To, że powstające utwory nie mogą teraz docierać do szerokich warstw czytelników w kraju, jest bolesne. Ale jesteśmy wszyscy przekonani, że sztuczne hamowanie rozwoju czeskiego piśmiennictwa nie może trwać długo. Są wśród nas optymiści, którzy wierzą, że w stosunkowo krótkim czasie partyjni burokraci od literatury będą musieli rozluźnić pęta. Proces ten może przebiegać stopniowo i być okupiony kompromisami ze strony pisarzy.

Karel KLATOVSKY

W sowieckiej prasie

Obchód trzydziestolecia zwycięstwa nad hitlerowskimi Niemcami przeszedł w Związku Sowieckim bez tego blasku, jaki jeszcze kilka miesięcy temu zamierzało nadać jubileuszowi kierownictwo partyjne. Nie było parady wojskowej, „polenili się” przyjechać do Moskwy pierwsi sekretarze braterskich kompartii, nawet z tych najbardziej oddanych. Z państw zachodnich przybyli jedynie admirałowie i generałowie, którzy dawno znajdują się na emeryturze. Brak entuzjazmu w krajach sąsiadujących ze Związkiem Sowieckim (a dzisiaj wszystkie kraje świata są już sąsiadami Związku) można sobie wytłumaczyć tym, że od szeregu miesięcy było jasne iż głównym celem jubileuszu nie jest bynajmniej świętowanie zwycięstwa nad hitleryzmem, czy pamięć o 20 milionach ludzi, którzy zginęli w czasie wojny. Nikołaj Podgorny, przewodniczący Prezydium Rady Głównej ZSSR, konstytucyjna głowa państwa, w ogromnym artykule w oficjalnych *Izwiestiach* (12 lutego br.) nadał ton uroczystościom: „Wielka wojna ojczyzniana była w gruncie rzeczy globalnym starciem się dwóch przeciwstawnych sobie sił naszej ery: niemieckiego faszyzmu, przedstawiciela najbardziej reakcyjnych i najbardziej agresywnych kręgów starego świata z... pierwszym w świecie państwem socjalistycznym — Związkiem Sowieckim, który jest opoką wszystkich postępowych i demokratycznych sił planety i zasadniczą przeszkodą dla awanturniczych planów imperialistycznej reakcji. Rezultat tej walki przesądził losy ludzkości na

wiele dziesięcioleci”. Wojna zatem była prowadzona nie tylko z Niemcami — ale z reakcją imperialistyczną o przyszłość naszego globu. W tej walce zwyciężyło pierwsze w świecie państwo socjalistyczne — ZSSR. Gen. Paweł Żylin, dyrektor Instytutu Historii Wojny, w wywiadzie udzielonym Agencji TASS (28 marca 1975), demaskuje „fałszerzy historii... którzy przeceniają znaczenie walk na drugorzędnych frontach, przeceniają znaczenie walk anglo-amerykańskich wojsk w Afryce, w Zachodniej Europie, we Włoszech. Jedyną prawdą — stwierdza sowiecki generał — jest tylko to, że „naród sowiecki i jego armia zagroziły drogę agresorowi, rozgromiły jego zasadnicze siły, oswobodziły Europę i uwolniły świat od faszystowskiego jarzma”.

Wniosek z tego jest jawny: wszystkie narody, cały świat, cała planeta — jak ostatnio lubią wyrażać się przywódcy sowieccy — powinni być bezgranicznie wdzięczni swoim wybawcom. Wszystko co miało miejsce w świecie po roku 1945 zawdzięczamy zwycięstwu Związku Sowieckiego. O tym powinny pamiętać narody Europy, ale również nie powinny zapominać, narody Afryki, Azji, Ameryki Łacińskiej, które — jak stwierdza Podgorny — „dzięki rozbiciu hitlerowskich Niemiec oswobodziły się spod kolonialnej niewoli i śmiało wstąpiły na drogę niezależnego rozwoju”.

Równo 160 lat temu wojska rosyjskie weszły do Paryża pobijwszy Napoleona. Zwycięstwo to dało Rosji prawo stania się „żandarmem Europy”. A dzisiaj Związek Sowiecki wykorzystuje swoje zwycięstwa nad Niemcami celem uzasadnienia pretensji do decydowania o losach naszej planety. Mające nastąpić spotkanie szefów państw, którzy mają się stawić, aby podpisać ostateczny dokument Konferencji Bezpieczeństwa Europy, utrwali te roszczenia w sposób prawny. Tymczasem sąsiedzi zdecydowali się trochę zepsuć święto Wielkiemu Bratu dając do zrozumienia, że podporządkowują się jemu, ale bez wielkiej przyjemności.

Wewnątrz Związku Sowieckiego święto zwycięstwa dało okazję prasie do wysunięcia na pierwszy plan szeregu nowych propagandowych tematów. Tematy te nie są zresztą całkowicie nowe, ale wysiłek na nie położony w okresie uroczystego jubileuszu podkreśla ich znaczenie.

Pierwszym tematem jest bohaterska działalność w czasie wojny obecnego pierwszego sekretarza KC, Leonida Breżniewa. Prawie do samego końca wojny były sekretarz Dniepropietrowskiego Okręgu Komitetu partii nie uzyskał wyższego stopnia wojskowego niż pułkownik. Dopiero przed samym zwycięstwem otrzymał naramienniki generał-majora. Nigdy nie zajmował stanowisk dowódczych, nie był nawet komisarzem, co przy jego skromnym stanowisku wymagałoby bezpośredniego udziału w walkach. Leonid Breżniew zawsze zajmował stanowisko naczelnika oddziałów politycznych — stanowisko aparaczyka w wojsku. Niemniej, kilka razy znajdował się on na linii frontu. Dzisiaj, sowieccy historycy wojskowi zaczynają stwierdzać, że pojawienie się pułkownika Breżniewa na trzeciorzędym odcinku frontu miało znaczenie decydujące na przebieg wojny, a zatem i na losy planety. Histo-

ryków wojskowych podtrzymują niektórzy dowódcy — przede wszystkim marszałek Greczko.

Ale przekształcanie Leonida Breżniewa w genialnego dowódcę jest raczej rzeczą sympatyczną: próżność, która stała się cechą charakterystyczną generalnego sekretarza KC — jest zjawiskiem bardzo ludzkim. Co prawda, możliwe, że jest to precedens i że w przyszłości każdy sekretarz generalny będzie natychmiast po obraniu na to stanowisko otrzymywał tytuł „genialnego dowódcy”. Znacznie ważniejszy jest — moim zdaniem — drugi temat propagandowy: nowe naświetlenie powstania sowieckiego ruchu partyzanckiego w czasie wojny. Niedawno zaznaczałem w związku z ukazaniem się książki Włodzimierza Bogomołowa „W sierpniu 44”, apoteozującej działalność SMIERSZ'u (wojskowy kontrwywiad — „śmierć szpiegom”), że organy bezpieczeństwa zaczęły pretendować do roli decydującej w zwycięstwie. W czasie obchodu 30-lecia zwycięstwa nad Niemcami mówiło się już o tym nie w literaturze pięknej — która dawałaby możliwość różnych interpretacji — ale w publicystyce. W dodatku do *Izwiestii* (nakład 8 milionów) pt. „Tydzień” (14-20 maja br.) płk W. Nikołajew zaczyna polemizować z fałszerzami historii: „Panowie którzy fałszują naszą historię wojenną twierdzili do tej pory — wbrew logice — że nasz ruch partyzancki był inspirowany przez organy bezpieczeństwa...”. Po takim wstępie czytelnik oczekuje naturalnie argumentów, udowadniających że fałszerze — tak jakby należało się spodziewać — fałszują i kłamią. Ale sprawa okazuje się nie taka prosta. Ruch partyzancki — pisze płk Nikołajew — rzeczywiście został stworzony przez organy bezpieczeństwa. Mianowicie, dla fałszerzy organy bezpieczeństwa są zawsze ponad narodem. Nie są oni w stanie zrozumieć faktu, że wywiad i kontrwywiad mogą być na służbie samego narodu, wyjść z samego narodu. Sowieckie organy bezpieczeństwa — jak się dowiadujemy — służyły i służą narodowi i dlatego miały pełne prawo tworzyć ruch partyzancki. Miały zresztą do tego jeszcze jeden tytuł: kierować nimi osobiście i bezpośrednio towarzysz Stalin.

Jak wynika z licznych świadectw, które ukazały się w dniach jubileuszu Stalin ceniał organy i czule się nimi opiekował. Płk Nikołajew opowiada, że Stalin dowiedziawszy się o natarciu kpt. NKWD M. Naumowa w południowej Ukrainie powiedział ze zwykłą sobie troską: „Jakiż to kapitan. To — Generał!”. I M. Naumow przeskoczywszy trzy stopnie wojskowe został generałem. W młodzieżowym piśmie *Smienna* (nakład 1.200.000) Piotr Andrejew opowiada o działalności centralnego sztabu partyzanckiego, kierowanego przez współpracowników NKWD. I nagle w ciągu nocy — dzwoni telefon: „dyżurny słucha... w odpowiedzi poznaje znajomy, głuchy głos z akcentem gruzińskim...”. I ten znany głos wypowiada wrzeszczące słowa: „Przekażcie towarzyszowi dyżurny swojemu dowódcy, że ja rozumiem, że trzeba odpocząć i rozewać się”. Tak więc z miliona słów, z tysiąca artykułów powstaje koncepcja historii, koncepcja przeszłości i przyszłości: Zwycięstwo nad hitleryzmem ocaliło planetę, zwycięstwo zostało odnie-

sione pod kierownictwem Stalina, głównym oparciem w tej walce były organy bezpieczeństwa. To one zasłużyły na wdzięczność ludzkości, to w ich rękach jest jej przyszłość na wiele dziesięcioleci.

Charakterystyczne, że w potoku okolicznościowych artykułów przysłanych przez cudzoziemskich pisarzy do Moskwy, znalazł się jeden, całkowicie podtrzymujący te koncepcje. Artykuł Jerzego Putramenta ogłoszony w *Literaturnej Gazecie* (30 kwietnia 1975) nosi krótki i dobitny tytuł: „Duma i czujność”. Kończy się ten artykuł złowieszczymi słowami: „A więc będziemy dumni ze zwycięstwa i będziemy chronić czujność”. Poczynając od ponurego grudnia 1917 roku, kiedy powstawała WCZEKA, słowo „czujność” było hasłem organów bezpieczeństwa i sygnałem do kolejnej czystki.

Historia sowiecka jest niewątpliwie jedną z najbardziej interesujących nauk sowieckich. Przede wszystkim dlatego że się zmienia, że jest od *a* do *z* przepisywana na nowo przy każdym zakręcie polityki państwowej. Ponieważ — jak uczył pierwszy sowiecki historyk-marksista, Michał Pokrowskij — historia jest polityką rzutowaną w przeszłość — każdy kolejny wariant historii sowieckiej pozwala się orientować w polityce Związku Sowieckiego.

Temat niedawno wydanej monografii doktora nauk historycznych, N. Jakowlewa, jest zawarty już w samym tytule: „1 sierpnia 1914 r.”.

Zacznijmy od autora; do niedawna zajmował on wysokie stanowisko w oddziale kultury KC partii, był jednym z tych, którzy wytyczali ideologiczną linię kulturze sowieckiej. Swoje poglądy wyłożył on kilka lat temu w ogromnym artykule zamieszczonym w *Literaturnej Gazecie* i — po pewnym czasie — stracił posadę w KC. Obecnie pomówmy o tytule książki. W 1965 roku ukazała się w Moskwie książka historyka, Aleksandra Niekrycza, pt. „22 czerwca 1941 r.” o początku sowiecko-niemieckiej wojny. N. Jakowlew pisze o początku pierwszej wojny światowej, ale tytuł jego książki przede wszystkim nasuwa analogię z tytułem powieści Aleksandra Sołżenicyna.

Od dawna trwają dyskusje dotyczące oddziaływania „samizdatu”: czytają go, czy nie? Dociera do przeciętnych obywateli sowieckich, czy nie? Czasami może się wydawać, że stosunek władz do „samizdatu” jest bardziej pełen szacunku niż stosunek jego zwolenników. Albowiem już szereg lat po ukazaniu się w 1971 r. pierwszego „węzła” epopei Sołżenicyna sowieccy przywódcy ideologiczni starają się przejąć tytuł jego powieści. Pod tytułem „Sierpniowe armaty” wydano w Moskwie historyczne opracowanie Amerykanki, Barbary Tackman, książka W. Bogomołowa nazywa się „W sierpniu 44”, wreszcie N. Jakowlew pisze swój „Sierpień 14” dodając jedynie dokładną datę — 1 sierpnia.

Były współpracownik KC chce jednak nie tylko przejąć tytuł ale również i niektóre myśli Sołżenicyna, nadając im oczywiście potrzebny kierunek, potrzebne naświetlenie. Monografia N. Jakowlewa poświęcona jest prehistorii 1-szej wojny światowej, a zatem prehistorii rewolucji. Jakowlew reprezentuje poglądy nie tylko własne ale także określonej grupy sowieckich ideologów. Te poglądy wyrażał on czasami, być może, zbyt jawnie. I za to został ukarany. Ale jego poglądy są wystarczająco prawowierne, żeby wydawnictwo „Młodaja Gwardia” zdecydowało się na opublikowanie ich w książce. Przede wszystkim Jakowlew demaskuje stary mit marksistowski o zacofaniu Rosji na początku pierwszej wojny światowej. Przytacza cyfry: Od 1885 do 1914 produkcja przemysłowa wzrastała przeciętnie co roku w Anglii o 2,11 %, w Niemczech o 4,5 %, w USA o 5,2 %, a w Rosji o 5,72 %. Rosja zajmowała pierwsze miejsce w świecie jeśli idzie o koncentrację przemysłu: w 1910 roku w zakładach przemysłowych, liczących powyżej 500 robotników, w Rosji pracowało 54 % siły roboczej, a w USA jedynie 33 %.

Było zatem znakomicie. Rosja prześcigała inne kraje i szybko szła naprzód. Ale oto zaczęła się wojna. I zaczęły się nieporządki... „Niedobory w rosyjskiej armii w 1914-1916” — pisze Jakowlew — „były rezultatem narastającego chaosu, stwarzanego umyślnie w konkretnym celu przez rywali caratu”. A więc przeciwnicy caratu zaczęli „celowo” szkodzić. To było oczywiste. Ale kim byli ci „przeciwnicy caratu”? Jakowlew pisze tajemniczo, potęgując napięcie: „Kto był zainteresowany w tym, by cesarska (powyżej mówiło się rosyjska, a zatem są to jakby synonimy — rosyjska=cesarska, A.K.) armia poniosła klęskę z braku amunicji i to w okresie gdy składy na tyłach armii były przepelnione...”. N. Jakowlew jakby mimochodem zaznacza: „Nieregularne dostawy były rozdmuchiwane przez burżuazyjną prasę...”. A potem oburza się: „Kto ponosi winę, że wielki odwrót 1915 roku jest przedstawiany tylko jako pobojuwisko prawie-że bezbronnej armii, pozostawiając w cieniu jej sukcesy i kompetentne prowadzenie wojny”.

Nim przejdę do odpowiedzi na pytanie kto jest winien klęskę rosyjskiej-cesarskiej armii, albo kto jest winien rewolucji chcę tylko odnotować spór Jakowlewa z autorem „Gułagu” w sprawie więźniów wojennych. Jakowlew dyskutuje z Sołżenicynem we wszystkich sprawach, ale jeśli idzie o więźniów wojennych, dyskutuje tylko z autorem „Gułagu”, nie zaś z autorem „Sierpnia 14”. Sołżenicyn oskarża władze sowieckie, które nie podpisały Konwencji Genewskiej, o to że w czasie wojny najgorzej „było być Rosjaninem”. Jakowlew pisze: „Rosjanie w niewoli strasznie głodowali...”. „Wśród Francuzów najbardziej bezdomny sierota otrzymywał paczki: chleb, cukier, czekoladę, książki... Rosjanie zaś nie mieli prawie nic... W każdym obozie byli ludzie jak gdyby dwóch ras: Rosjanie i wszyscy inni”. No, ale wreszcie kto był za to wszystko odpowiedzialny?

Jakowlew na to pytanie daje najbardziej wyczerpującą odpowiedź: „Do rewolucji doprowadzili — masoni, burżuazja plus inteligencja”. Do rewolucji „doprowadziły” (jest to chyba pierwszy historyk sowiecki, który używa tego czasownika dla określenia nieuniknionego procesu historycznego) tak negatywne postacie jak gen. Denikin: „tacy ludzie jak Denikin” — oskarża Jakowlew — „siali panikę, rozpowieszchniali nastroje beznadziejności”, jak Rodzianko, Guczko, Związek Ziemstw i Miast, Wojskowo-Przemysłowy Komitet... Nimi wszystkimi powodowało „nie dobro narodu rosyjskiego, ale osiągnięcie własnych celów...”, „setki tysięcy ludzi rosyjskich poświęcano dla interesów burżuazji. To była zdrada narodowa, wydanie ojczyzny wrogom...”.

Podłość burżuazji, i „narodowa zdrada” doszły do tego stopnia według byłego współpracownika KC, że zaczęto nawet!! rzucać oszczerstwa na Jego Cesarską Wysokość — Mikołaja II. Jakowlew pisze zupełnie otwarcie: „Na skutek wysiłku burżuazji w kraju powstało silne przekonanie, że car jest marionetką w ręku Rasputina...”. A potem: „Rasputin — to jest atut w znaczonyj talii kart burżuazji, prowadzącej brudną grę, stawką której była władza”. Burżuazja, masoni i inteligencja stworzyli legendę Rasputina. W rzeczywistości — Jakowlew przytacza słowa wybitnego monarchisty: „Nie ma Rasputina — jest rozpusta”. Nie ma Rasputina są: burżuazja, masoni, inteligencja.

N. Jakowlew doskonale zdaje sobie sprawę, że niektórzy czytelnicy mogą zadawać jakieś pytania. Ma się rozumieć nie otwarcie nawet nie w formie listów, ale tak, sobie w myślach. Zawczasu więc na nie odpowiada: „Agitacyjna i propagandowa praca bolszewików oparta na bazie marksizmu-leninizmu, w żadnym stopniu nie przyczyniła się do tego poglądu o tronie, który zalał Rosję w latach pierwszej wojny światowej. Skandaliczną stawę dworu stworzyli ci, którzy byli zainteresowani w odsunięciu od władzy Mikołaja II i zachowaniu w kraju, za wszelką cenę, eksploatacyjnego ustroju; zainteresowane były w tym te same siły: masoni, inteligencja i burżuazja. Niezainteresowani byli — car Mikołaj II i... bolszewicy. „Tylko leninowska polityka bolszewików mogła w tych warunkach uratować naszą ojczyznę od katastrofy, do której prowadziły ją klasy rządzące...”.

I pomyślmy, że tylko burżuazja i jej sprzymierzeńcy umożliwili carowi zmienienie na stanowisku głównego doradcy dworu Rasputina na Lenina.

Stwierdzenie to, wydające się humorystycznym, jest przede wszystkim logiczne. Jest potwierdzone przez historię. Za każdym razem na przestrzeni ostatnich 60-ciu lat, kiedy państwo sowieckie znajdowało się w niebezpieczeństwie, szukało ratunku w hasłach nacjonalistycznych. Tak było w roku 1920: po zajęciu przez Piłsudskiego Kijowa, w republice sowieckiej ożywają hasła patriotyczne, zdawałoby się na zawsze odrzucone przez internacjonalistów, a gen. Brusilow i jego koledzy rzucają wezwanie do wszystkich oficerów, by szli ratować Rosję przed jej odwiecznym wrogiem — Lachami. Tak było w 1934 roku gdy Stalin, po przyjs-

ciu Hitlera do władzy, nakazuje przedstawianie siebie jako prawowitego następcę Piotra I, Iwana Groźnego, Aleksandra Newskiego. Tak było również w roku 1941 po napaści Niemiec na Związek Sowiecki, kiedy wojnę ogłoszono wojną ojczyźnianą.

Powracanie dzisiaj do ideologii, która już w roku 1920 otrzymała wymowną nazwę nacjonal-bolszewizmu, wydaje mi się rezultatem głębokiego wewnętrznego kryzysu, jaki przeżywa Związek Sowiecki, pozornie znajdujący się dzisiaj na szczytach potęgi.

Idee przedstawione przez Jakowlewa nie mają jeszcze całkiem oficjalnego charakteru. Są to raczej idee półoficjalne, trzymane w rezerwie. Tym niemniej one właśnie wyrażają nieco dokładniej i otwarciej charakter oficjalnej ideologii.

Adam KRUCZEK

Kronika ukraińska

W dniu 11 kwietnia br. przypadała 30-letnia rocznica aresztowania i deportacji pięciu biskupów ukraińskich ze Lwowa, Stanisławowa i Łucka (w następnych miesiącach 1945 roku uwięziono dalszych sześciu biskupów z Przemyśla i Rusi Zakarpackiej). Kardynała Slipyja przewieziono następnego dnia do Kijowa, gdzie ofiarowano mu prawosławną katedrę, jeśli wyrazi zgodę na zerwanie Unii z Rzymem. Deportacja biskupów do łagrów zapoczątkowała martyrologię unitów: około 1.000 duchownych aresztowano (tj. ok. 50 % ogólnej liczby), wielu zginęło śmiercią męczeńską. W marcu 1946 roku patriarchat moskiewski zwołał pseudo-synod we Lwowie z udziałem 200 księży, sterroryzowanych przez NKWD i garstki odstępców. Ten tzw. synod ogłosił abrogację Unii i „zjednoczenie” z Cerkwią prawosławną. *Osservatore Romano* z dn. 18-19 marca 1946 roku zamieścił urzędowe oświadczenie na temat tego „synodu”, podkreślając, że biskupi, ordynariusze i sufragani oraz większość duchownych unickich została wywieziona, więc tym samym decyzje tzw. synodu pozbawione są wszelkiej ważności kanonicznej, podczas kiedy „Kościół katolicki w Galicji jest uciemieniony przez reżym bolszewicki”.

Z okazji 30-letniej rocznicy martyrologii Katolickiego Kościoła ukraińskiego w niedzielę 13 kwietnia kardynał Slipyja koncelebrował w kościele św. Zofii uroczyste nabożeństwo za pamięć zmarłych biskupów, duchownych, zakonników i wiernych ukraińskich. Cenzura watykańska dała o sobie znać. W *Osservatore Romano*, w notatce zawiadamiającej o tej uroczystości żałobnej, znikło z tekstu oryginalnego, przesłanego do redakcji, przypomnienie o dacie stanowiącej 30-letnią rocznicę martyrologii! Obecnie cenzuruje się zatem zwykłe przypomnienie faktów, jakie pewne koła watykańskie pragną puścić w niepamięć, a 30 lat temu to samo *Osservatore Romano*, w dniu 2 lutego 1946 replikowało bardzo zdecydowanie na ataki prasy sowieckiej w związku z encykliką *Orientalis omnes*: „... Jeśli (na skutek tego) dokument papieski jest antysowiecki, nie dotyczy to tego kto go ogłosił, lecz faktów, które każą go intepretować w ten właśnie sposób. A fakty — znacz-

nie wcześniej niż Papież, który jest tylko ich obiektywnym obserwatorem — dowodzą na zachodniej Ukrainie, braku wolności religii, jaka praktycznie została zniesiona aż do ugodzenia w duszpasterzy dla rozproszenia trzody wiernych. Odpowiada to do tego stopnia prawdzie, że nie widzi się innego sposobu by temu zaprzeczyć jak twierdząc, iż lud ukraiński cieszy się tak pełną wolnością religijną jaką mu przyznaje konstytucja sowiecka”.

W wywiadzie udzielonym prasie amerykańskiej zmarły kardynał Tisserant, dziekan Świętego Kolegium Kardynalskiego i prefekt Kongregacji dla Kościołów Wschodnich oświadczył w tym samym czasie: „Dla katolików ukraińskich kwestia sprowadza się do dylematu: schizma lub martyrologia; martyrologia oznacza areszt, deportację do Azji, więzienie, pracę przymusową, śmierć... Jeśli koniec wojny światowej oznacza położenie kresu prawom człowieka, ludzkość utraciła wszelką ideę sprawiedliwości i miłosierdzia”. Szereg innych kardynałów (m.in. Prymas Anglii, kard. Griffin) potępiło prześladowania unitów i przymusowe przyłączenie ich Kościoła do prawosławia, protestując przeciw pogwałceniu ich wolności ludzkich, religijnych i obywatelskich (*Osservatore Romano* z 27 marca 1946 roku).

Jak widzimy w ciągu trzydziestu lat zmieniają się nie tylko kryteria polityczne ale również i moralne. Dziś modne jest tylko Chile.

Rzecznik watykański prof. Alessandrini w rozmowie z Waszym korespondentem, wyrażał się z nieukrywanym uznaniem o twórczości pisarzy rosyjskich, związanych z pismem *Kontynent*, Maksimowa i Siniawskiego, a przebywających właśnie w Rzymie. Stwierdził, że obaj ci pisarze widzą negatywne strony rzeczywistości społecznej na Zachodzie, a zachodnio-europejscy intelektualiści mogą się od nich wielu rzeczy nauczyć, zwłaszcza pokory i wysokiej temperatury moralnej. Jeśli się tu zjawia następnym razem, kto wie czy Papież nie zechce ich przyjąć — pomyślałem sobie wychodząc z watykańskiego biura prasowego. Nie mieli tymczasem tego w programie. Maksimow złożył natomiast w Wielką Sobotę przed Wielkanocą wizytę kardynałowi Slipyjowi. Przedstawiciel narodu rosyjskiego złożył hołd człowiekowi, który symbolizuje siłę oporu uciemienzonej Ukrainy.

M. D.

Kronika litewska

„Czytałem w *Kulturze* o 'Litwinach mówiących po polsku', ale o aniołach tam nie było”, pisze nasz korespondent, przysyłając wycinek ze styczniowego Nr. 4 (1303) wydawanego w Kanadzie litewskiego tygodnika *Teviškes Žiburiai* (Światła z Ojczyzny) z artykułem Stepasa Varanka „Ir angelai kalba lenkiškai...” (I aniołowie mówią po polsku...).

Istotnie potrzebne było specyficzne podtąsowanie drukowanych kart aby, po obszernym omówieniu polskiej XVII-stowiecznej literatury barokowej i zacytowaniu dzieła pod tytułem *Wywód jednowładztwa państwa w świecie*,

że najstarodawniejsze w Europie Królestwo Polskie samo tylko na świecie ma prawdziwe sukcesory Jadama, Setha i Jaheta w panowaniu świata od Boga w raju postanowionym", móc napisać:

„Czytałem w polskiej Kulturze wychodzącej w Paryżu, 1972, Nr 12, długi artykuł napisany przez polskiego profesora Wiktora Sukiennickiego. Píše on, że są Litwini mówiący po polsku, ale że po polsku mówią aniołowie oraz Adam z Ewą to tylko patriotyczny polski kawał. Gdyby aniołowie mówili po polsku..., nie chciałbym być w takim niebie. Mowa litewska nie jest wcale brzydsza od polskiej...”.

Ponieważ według powszechnego przekonania niebo zarezerwowane jest wyłącznie dla ludzi dobrej wiary i woli, wydaje się że panu Stepasowi Varanka pobyt w nim nie grozi, nawet w wypadku gdyby wszyscy aniołowie i sam Pan Bóg mówili tylko po litewsku.

W. S.

POLSKA KSIĘGARNIA WYSYŁKOWA

7970 SUMMERDALE AVE., PHILADELPHIA, Pa. 19111, USA.
Tel.: (215) RA 5-9723.

Posiada na składzie książki w języku polskim, m.in. wydawnictwa Instytutu Literackiego w Paryżu. Przyjmuje prenumeraty *Kultury i Zeszytów Historycznych*. Prowadzi antykwiariat. Kupuje stare polskie książki, obrazy, monety i wszelkie polonica. Katalogi, informacje, premie — bezpłatnie.

OSTATNIE WIADOMOŚCI

Jedynе pismo polskie w Republice Federalnej Niemiec
UKAZUJĄCE SIĘ DWA RAZY TYGODNIOWO
RAZ W MIESIĄCU DODATEK LITERACKI

Redakcja, administracja, drukarnia:
6800 Mannheim-Schoenau, Lilienthalstr. 309

Sprawy i troski

List z Londynu

Szanowny Panie Redaktorze,

Zdumiewające jak czasem mało potrzeba do poprawy samopoczucia, i to nie koniecznie — jak twierdzi Mistrz Fogg — gwiazdki z nieba czy „blasku twych ocz”. Jak mnie, zaspanej i zmarzniętej w drodze do pracy w ten poniedziałkowy poranek. Niechętnie wstaje mroczny dzień, a ja z pretensją do całego świata wlokę się ulicą w śródmieściu, w którą jak w trąbę dmie lodowata wichura i miecie w oczy tumany brudu. W kurzu mkną śmiecie z całego *week-end*'u i jak ptaki o przetrąconych skrzydłach katulkają się płachty gazet, choć niby mamy kryzys papierowy i surowiec na wagę złota: oto *Guardian*, za nim kawałek *News of the World*, *Daily Mirror* i jeszcze coś kolorowe z rozmamłaną dziwką, która... mniejsza o to. Tak ciągnę się do pracy, a mimo mnie defiluje prasa tej Wyspy: jakie to obce, obojętne. Przemija, przemija... ech, życie! Aż tu raptem, jak pijana baletnica, płąsa wprost na mnie coś swojskiego — małe, chude gazećiatko. Czyżby? Ależ tak: uszargane i zdyszane, ale na pewno ono: Poczytne Łamy! Spiesz się okropnie, ale — jak to bestia z daleka zwącha rodaka! — na moment owija mi się koło nóg, szyderczo miga fotką z jakichś Tradycyjnych Dożynek, na których rodacy z Ealingu czy innego Chiswicku dożeli tradycyjną mąszynką tradycyjne trawniczki — i już mknie dalej. Na rogu jak pies chwilę marudzi u stóp wielkiego afisza, na którym rozrosłowana parka w akcie radosnej twórczości obiecuje nam artystyczne przeżycie w pobliskim kinie, i już w podskokach sady dalej, prosto na Piccadilly. Odprowadzam ją przyjaznym wzrokiem i jak smagnięta rzucam się w przeciwnym kierunku — o, psia krew, dochodzi dziewiąta! Ale jaka przyjemność — ni

stąd ni zowad — polonik! Jesteśmy, czuwamy! I w ślad niepokój: czyżby dotąd nie opuścił mnie sarmacki nałóg szukania zawsze i wszędzie naszych śladów? Mnie — zawodowego cynika i kpiarza? No cóż: jak słusznie zauważył starodawny wieszcz, *naturam expelles furca, tamen usque recurret*, co się po naszymu wyklada: ciągnie wilka do lasu.

I ogarnia zaduma: otóż on, polonik. Czemu tak się w nich kochamy, łowimy z maniackim uporem? Jest to, rzecz jasna, symptom, ale czego? Może rozważenie jego definicji w tej powszechnie uznanej formie i rozglądnięcie się za analogiami wśród innych narodów pozwoli zrozumieć naturę zjawiska i wyciągnąć wnioski? Warto jeszcze zaznaczyć, że spod definicji polonika w potocznym znaczeniu wyłączam poważne i bezpretensjonalne prace naukowe jak wyławianie i opracowywanie źródeł do historii Polski w zagranicznych archiwach czy rejestrowanie zabytków sztuki polskiej w obcych zbiorach. Włączam za to różne perełki jak: łowienie w obcych językach słów przypadkowo czy pośrednio podobnych do polskich (nawet gdy te polskie są obcego pochodzenia) i uroczyste „naukowe” wyglupianie się na ten temat, wszelkie obskurne druczki, które przypadkowo wspominają naszą Ojczyznę, wszelkiego rodzaju druki i przedmioty rodem z Polski, które znalazły się za granicą (choć w domu nikt by ich nie chrzczył polonikami), szukanie śladu ładajakiej polskiej nogi na obliczu Ziemi, podawanie do wiadomości publicznej, że w jakimś obcym mieście działają esperantyści i ulica nosi nazwisko Zamenhofa, a hotel nazywa się Baltic, i wszelkie inne *trivia*, którym na imię legion, a które wszystkie razem i każdy osobno pozwalają zachłystywać się z rozkoszy, że OBCY MÓWIĄ O NAS. Gdybym chciała cudzoziemcowi wyjaśnić poglądowo naturę poloniku, zacytowałabym wiadomość z Poczytnych Łamów, która ukazała się tam swego czasu pod lubym naszym sercu nagłówkiem „Poloniki”: „W świątecznym numerze *Observera* ukazał się przepis na polski przysmak 'kluski z makiem'”. Oto idealny polonik, po co mnożyć przykłady?

Najpierw więc rozglądnijmy się za ewentualnymi analogiami wśród innych narodów. Że Anglicy nie mają pojęcia „anglicana”, to wiem sama, ta mania jest im całkowicie obca. Czemu? Czyżby dlatego, że ich historia i kultura, i tej ostatniej ciężar gatunkowy, rozwinęły się tak inaczej od naszych, dając im wrodzone poczucie własnej wartości, że do głowy im nie przyjdzie szukać jej potwierdzenia po świecie? A w innych krajach? Znam tu sporo pracowników naukowych, tubylców z pochodzenia, zajmujących się zawodowo literaturą (w szerokim znaczeniu) i prasą różnych krajów zachodnich. Przeprowadziłam wśród nich błyskawiczną ankietę: wyjaśniłam im potoczne znaczenie poloników (*exemplum*: kluski

z makiem) i spytałam czy znają paralele w interesujących ich krajach. Otóż prawie każdy z zapytanych zapewnił mnie, że o niczym takim nie słyszał. Wyjątki były tylko dwa: pan od Szwajcarii, który stwierdził, że Szwajcarzy zdradzają raczej łagodną obsesją szwajcarianami i dodał, że przypisuje to ich raczej monotonnym dziejom i temu, że nie należą do czołówki twórców europejskiej kultury. Pan od USA dodał, że a jakże, spotyka się z terminem „americana” i przypisał to historycznej młodości białej Ameryki, która prowadzi do zjawisk tak znaczących jak np. rozpoczynanie szkolnej historii ojczystego kraju od dinozaurów. I to całe moje żniwa jeśli chodzi o Zachód. Przypuszczam natomiast, choć brak mi danych, że pojęcia odpowiadające polonikom dałyby się wysledzić wśród braci-Słowian i innych pomniejszych narodów z ich peryferii.

Uzbrojeni w powyższą definicję poloniku, zastanówmy się bliżej nad jego naturą. Polonik — rzecz jasna — jest obcego pochodzenia, a jeśli jest pochodzenia polskiego, to tak czy owak znalazł się za granicą. Po pierwsze: nie może być żywy, np. polsko-murzyński mulat (gdzie to nas nie nosi i czego nie wyczyniamy!) polonikiem nie jest, choć kto wie czy nie wypływa to z naszego — spójrzmy prawdzie w oczy — rasizmu. Zresztą po co zaraz czepiać się ludzi, skoro polonikiem nie jest również zubr białowieski w zagranicznym zoologu, tak jak nim nie był słynny niedźwiedź Wojtek póki żył, a został polonikiem dopiero gdy go wypchali i wsadzili za szkło. Ale obce piśmiennictwo o tych zwierzakach (bo o mulacie raczej nie, jako że lekko obraźliwe, o czym dalej) jest polonikiem, o ile zachowa pewne warunki. Jakież? Tu dochodzimy do drugiej koniecznej cechy poloników: czy np. jest polonikiem *Polish joke*, hollywoodzkie filmy, gdzie wszelkiego rodzaju przestępcy i zbrodniacy są Polakami, albo opisy kryminalnych i innych nieestetycznych wyczynów rodaków w obcej prasie? Oczywiście nie, tak jak wzmianki w niej o wyżej wspomnianym mulacie. A że już mowa o drukach, to czy każdy w jakiś sposób wspominający nasz Kraj i Naród staje się przez to polonikiem? Z zastrzeżeniem, oczywiście, że czym starszy tym dla nas zaszczytniejszy, bo to od wieków — panie dzieju — w świecie o nas głośno. Np. wpadły mi w ręce uroczyste angielskie drobiażdżki-broszury wydane w Londynie: *Duch króla polskiego* (1683) i *Króla polskiego ostatnia mowa do rodaków* (1681). Obie są anonimowe, czego nie można powiedzieć o innych, jak ta broszurka z roku 1722, której autor przedstawia się jako „Professor Bum bast of the University of Cracow”. Nie trudno sprawdzić, że to sam Wielki Swift z plugawym pyskiem, i już miałam radośnie zagrznieć „Póki my żyjemy”, ale spojrziałam na tytuł: *Dobry skutek psucia powietrza wyjaśniony* (w ory-

ginałe o wiele ordynarniej, ale szanuję dziewiczą wrażliwość czytelników mych felietonów, którą niejednokrotnie manifestowali) — i już nie wiem, co o tym sądzić. Ze Swift — to pochlebne, ale ten temat? Albo druczek rzekomo wydany w Gdańsku (*de facto* Londyn) w 1705, którego autor przytał się pod pseudonimem Anglipolski (*de facto* Wielki Defoe), tytuł zaś brzmi: *Sejm polski, satyra*. Satyra dotyczy wprawdzie stosunków w angielskich kołach rządzących (tak jak te dwie XVII-wieczne broszurki są satyrą na hrabiego Shaftesbury) skarykaturowanych jako bezhołowie à la polski sejm, ale w oczach mi czerwienieje: jak śmiał dla swych bezecnych szyderstw użyć instrumentu naszej staropolskiej demokracji? Warto, Panie Redaktorze, żeby wreszcie KTOS (tylko nie ja, starczy że rzucam pomysł) publicznie w anglosaskiej prasie zaprotestował. Lepiej późno niż wcale.

Z powyższego wypływa wniosek nr 2 co do koniecznych atrybutów polonika: RZECZ OBRAŻLIWA POLONIKIEM BYĆ NIE MOŻE. Jest antypolonikiem i kalaniem honoru Narodu Polskiego, tego co chadzał do kościoła, kopiował zachodnie wzory i którego aż co pięćsetny członek umiał czytać i nawet pisać, gdy inni jeszcze — ho ho! — skakali po drzewach jak małpy. Jacy inni? Ech, po co ta pedanteria? Skakali i już. Przypomnijmy sobie harce, jakieśmy urządzili z okazji Millenium, zamiast je świętować prywatnie, jak to w rodzinie. Ale gdzie, trzeba było trąbić na cały świat. Z czym — pytam — do gościa? Komu ten tysiączek zaimponuje na tym Zachodzie, od którego jesteśmy jeszcze bardziej zachodni? Anglikom, Francuzom, Włochom, Hiszpanom albo Niemcom? Chyba tylko Amerykanom, choć przecież od nas starsi, bo od dinozaurów. I co dalej? Ano nic: wkroczyliśmy w Drugie Millenium, a ciągle jeszcze odbija nam się pierwszym. Onegdaj dostałam w prezencie pitny miodek eksportowy *Made in Poland*. Na flaszce etykieta: *Millenium. Delicious Polish mead*. I portrecik z podpisem: Mieszko I Prince.

Odrzuciwszy z pogardą rzeczy uwłaczające czyli antypoloniki, i z powodów oczywistych pominąwszy rzeczy dla nas pochlebne, bo z całą pewnością są polonikami, przyjrzyjmy się neutralnym. Jak te kluski z makiem, irlandzka lniana ściereczka w kogutki (wpływ łowicki!), skandynawski materiał na firany i obrusy, w którego fakturze i barwach Sarmaci dopatrzą się plagiatu naszych ludowych samodziółów, albo te słowa przypadkowo lub nie podobne do naszych, jak np. angielski *polony* — obrzydliwa kiełbaska, której nawet szanujący się polski pies nie wzięłby do pyska, a co dopiero żeby mogła być rodem z naszej Ojczyzny. Zresztą autorzy słownika Chambersa pewno o tym wiedzą, więc za jej źródłostów proponują Bolonię, co sygnalizuję naszym Łowcom Poloników, by wystosowali do jego wydawców uroczysty

protest, że — czyżby za sprawą wrogiej intrygi — próbują nas pozbawić naszego twórczego dorobku i wkładu do zbiorowego dobra Ludzkości. W efekt tych protestów nie wątpię, mamy już na tym polu piękne osiągnięcia: wziąć np. BBC, które cierpi na ostrą nerwicę, gdy musi użyć słów jak „Poland, Polish” tak żeśmy ich skutecznie naprostowali i sterroryzowali.

Poza tymi jest masa innych poloników o wydzwiku neutralnym, jak audycje czy filmy, w których przypadkowo, choć oczywiście nie-obraźliwie, wspomina się nasz Kraj i Naród, czy coś z muzyki wprawdzie współczesnej, ale „pod wpływem” Chopina albo „Mazowsza”. To wszystko dostarcza nam niesłychanych wzruszeń, że jak to o naszej Ojczyźnie w świecie głośno. Rejestracją tych wszystkich bzduraków namiętnie zajmują się luminarze wśród naszych Pisarzy i Dziennikarzy, Intelktualistów i Działaczy Kulturalnych *in partibus infidelium*, którzy — jak nas informują na Poczytnych i innych Łamach, nawet urlopy w Rimini czy na innej Coscie spędzają „węsząc za polonikami” i przeżywają burzliwe emocje, gdy znajdują w suwenirowych tandeciarniach tak pochlebne dla nas rzeczy jak „pudełko do gry w piłkę dla milusińskich” ozdobione polską flagą i napisem „Polonia” oraz w knajpie samograj zaopatrzony w płytę „concerto di Varsovia”. Nasza Prasa Na Wygnaniu skwapliwie publikuje te odkrycia, Wygnanie ma to bowiem do siebie, że ułatwia szeroki dostęp do źródeł, szerszy niż by mogli marzyć ich amatorzy nad Wisłą. Stąd Emigracja jest tak wdzięcznym polem do łowienia poloników oraz do akcji, która zwykle zaczyna się i kończy na listach do redakcji Poczytnych Łamów, żądających by KTOS zajął się tępieniem antypoloników. Co więcej, na Emigracji mamy ogromne możliwości dostarczania naszym gospodarzom surowca na poloniki i wymuszania by go użyli. Należy ze smutkiem zaznaczyć, że mimo tych szerokich możliwości służenia Sprawie Polskiej niekiedy zaniedbujemy najlepsze okazje. Charakterystycznym przykładem jest dyskusja, jaka toczyła się na Poczytnych Łamach z okazji ślubu księżniczki Anny. Hasło do niej dał list p. Aliny Wiśniewskiej, która poskarżyła się redakcji, że „wśród tysięcznych tłumów wypełniających w ten radosny dzień ulice Londynu, nie znalazła się grupa polskiej dziatwy w naszych przepięknych narodowych strojach... Czemu żadna z naszych organizacji oświatowych i młodzieżowych nie pomyślała o wysłaniu grupy dziatwy z białoczerwonymi chorągiewkami i o zapewnieniu jej dobrego miejsca, skąd by mogła być widziana przez królownę? Zwłaszcza w tym roku Kopernikowskim warto jej przypomnieć... że ma w swych żyłach krew polską. Czy nie jest rolą emigracji wykorzystywanie takiej okazji, by przypomnieć światu o Polsce?”

List ten wywołał szeroki odzew i debatę na temat czy naród

angielski może się na nas obrazić. Zdania były podzielone. Jeden pan obiecał, że odbijemy sobie na ślubie następcy tronu. Inny pan uznał, że nie było potrzeby wysłać tej Dziatwy, bo „myśmy tu nie w gościnę przybyli, a z pola walki, gdzie obficie lała się krew polska”. Przypomnienie jak najbardziej *à propos*, więc nie rozumiem, czemu mi się kojarzy z pełnym godności oświadczeniem jednej pani, zacytowanym na tychże Poczytnych Łamach podczas ostatniego strajku górników, gdy władze błagały o oszczędzanie prądu. Nasza rodaczka stwierdziła, że jest polską patriotką i emigrantką pojańska, i wobec powyższego te apele jej nie dotyczą, pali wszystkie lampy i piecyki, bo to angielskie kłopoty, więc niech się Anglicy martwią o swoje sprawy.

Wracając do ślubu księżniczki, któryśmy tak haniebnie pokpiłi, to niestety nie potrafiliśmy dostarczyć danych statystycznych za i przeciw p. Wiśniewskiej. Poczytne Łamy opublikowały tylko część otrzymanych listów w liczbie 9 oraz jedno szydliwe poemko pod jej adresem.

Powie kto: taki drobiazg, czego to niby dowodzi? Otóż dowodzi bardzo wiele: jest to nader znamienny symptom w naszej psychice narodowej. Znamienny jest fakt, że temat chwycił, został wzięty serio przez Łamy i czytelników, i wywołał echa. Ale cóż, szkody już nie odrobimy, musimy czekać na ślub następcy tronu, a wtedy to im dopiero pokażemy! Bo nasza Polska miła, Panie Redaktorze, nie zginęła póki MOWIĄ O NAS i oby nigdy nie przestali, nie wolno nam do tego dopuścić!

Grażyna NOWAK

Amerykańska Częstochowa

Ponieważ nieamerykańscy czytelnicy *Kultury* nie wiedzą może nic albo bardzo mało o tej jakiejś nowej Częstochowie, więc zacznijmy od prostego wyjaśnienia „co to jest”.

Jest to okazały kościół, nazywany zwykle *sanktuarium*, co odpowiada amerykańskiemu słowu *shrine*, używanemu na określenie kościołów (a nawet kapliczek), które nie są kościołami parafialnymi. Kościół ten, połączony z klasztorem i obszernym terenem, liczącym ponad sto hektarów, stoi na łagodnym wzgórzu, zwanym od dawna *Beacon's Hill*, w odległości mniej więcej 30 mil od Filadelfii, tuż obok miasteczka *Doylestown*, w stanie

Pennsylvania. Z Filadelfii prowadzi do tego miasteczka, będącego stacją końcową, kolej. Tor musi być beznadziejnie stary i zużyty, bo aż strach siedzieć w wagonie kołyszącym się na obie strony, ale jakoś pociągi dojeżdżają, przywożąc i odwożąc ludzi pracujących w Filadelfii. Z dalsza mało kto dojeżdża koleją, istnieją bowiem dobre drogi kołowe.

Kościół ten wraz z klasztorem i innymi zabudowaniami jest rzeczą nową — uroczyste poświęcenie odbyło się w roku 1966, w czasie obchodów tysiąclecia chrześcijaństwa w Polsce.

Założycielami tej placówki są ojcowie paulini z polskiej Częstochowy, a właściwie ich przełożony, o. Michał Zembruski, który zakupił teren już w r. 1953 i zamienił stojące tam zabudowania gospodarskie na kaplicę i klasztor, a na sąsiedniej równinie nad potokiem urządził na wzór polskiej Jasnej Góry stację Drogi Krzyżowej pod gołym niebem.

Już ta skromna kaplica stała się ośrodkiem pielgrzymek. Prawie w każdą niedzielę w lecie, a przede wszystkim na dzień Wniebowzięcia Matki Boskiej, zjeżdżały się pokaźne gromady wiernych.

Od samego początku było jednak jasne, że stodoła przerobiona na kaplicę, mimo swego swoistego uroku, nie mogła służyć jako ostateczne centrum tej placówki.

Po dłuższych namysłach i planach, wybrał o. Michał projekt budowy architekta z Kalifornii, Jerzego Szeptyckiego.

W dniu 16 października 1966 roku odbyło się uroczyste poświęcenie sanktuarium z udziałem prezydenta Johnsona i w obecności co najmniej 130.000 pielgrzymów.

Z biegiem czasu dokonano wielu innych prac, wybudowano klasztor jako mieszkania dla księży i braci oraz pomieszczenia dla urzędów gospodarczych. Wykarczowano drzewa i na oczyszczonym terenie założono obszerny cmentarz. Wnet znalazły się tam groby Polaków z różnych okolic, którzy wyrazili przed zgonem życzenie, by ich tam pochowano. Jedną część cmentarza przeznaczono dla SPK, a drugą na groby dla zasłużonych Polaków.

Ozdobą kościoła są olbrzymie witraże, wypełniające prawie całe boczne ściany od podłogi do sufitu, dzieło Jerzego Białeckiego. Na jednej ścianie zobrazowana jest historia kościoła katolickiego w Ameryce, a na drugiej dzieje katolickiej polski. Styl nowoczesny, nie zawsze może zrozumiały, ale imponujący.

Pielgrzymki stały się od tego czasu jeszcze bardziej popularne; od maja do października, niedziela za niedzielą, a szczególnie na większe święta i uroczystości narodowe, zjeżdżali się ludzie i z pobliskich skupisk polonijnych w stanach New Jersey i Nowy Jork i z dalszego Connecticut, a nawet z Chicago. Nieraz ponad sto autobusów i setki, setki samochodów zapełniały wielki plac przy kościele. Przyjeżdżały organizacje parafialne, a wielkie organizacje, jak Związek Polek i Zjednoczenie Polskie Rzymsko-Katolickie, miały swe niedziele zarezerwowane z roku na rok.

Oprócz Polaków starał się o. Michał przyciągnąć Węgrów, jako że zakon paulinów przyszedł do Polski z Węgier i zawsze istniała jakaś więź pomiędzy klasztorami w Polsce i na Węgrzech, a w Ameryce znalazło się kilku o.o. paulinów z Węgier. Co roku mają tam swoją niedzielę, pod koniec lipca.

Sanktuarium służy też sąsiedniej ludności i dla niej niektóre msze odprawiane są w języku angielskim.

Co roku, we wrześniu, staje się plac przy kościele i dodatkowo zabudowania miejscem rozrywkowym i wystawą wszystkiego, co polskie: tańce grup młodzieżowych, wystawa obrazów, kiermasz książek polskich itp.

O. Michał zdołał nawiązać kontakty z przywódcami organizacji polonijnych i pozyskać współpracę ze strony takich organizacji jak Rycerze Kolumba. Zorganizował też liczną (około 400 osób) grupę „wolontariuszy”, czyli świeckich ludzi dobrej woli, którzy służą wszelką pomocą pielgrzymom, kierując ruchem samochodowym na placu przy kościele i na drogach dojazdowych i dbając o porządek w świątyni. Pracują oni ofiarnie, bez wynagrodzenia, co więcej, sami dorzucają swe dolary na upiększenie sanktuarium.

Robi to wszystko naprawdę imponujące wrażenie.

Miał o. Michał o wiele ambitniejsze plany. Chciał założyć przy sanktuarium muzeum polonijne, myślał o szkole średniej dla polskiej młodzieży, miał gotowe plany muzeum polskiego. Zabrał się do budowy osiedla dla emerytów, niestety uległo to opóźnieniu na skutek trudności z władzami miejskimi. To wszystko jest sprawą dalszej przyszłości.



So far, so good — jak mówią Amerykanie. I wszystko byłoby w porządku gdyby nie sprawa funduszy na budowę.

Niestety organizatorzy nie mieli milionów dolarów. Można było budować pomalutku, w miarę jak napływałyby datki od pielgrzymów i innych ofiarodawców i to byłoby na pewno najlepszym rozwiązaniem strony finansowej. Tylko kto wie, ile by to lat zabrało.

O. Michał wybrał inną drogę. Tyle wielkich projektów powstaje w Ameryce z funduszy pożyczanych w banku! Więc o. Michał uzyskał kredyt, częściowo na dłuższy termin, częściowo na krótszy. Data polskiego Millenium zdawała się gwarantować hojne poparcie ze strony całej Polonii.

Tymczasem spotkało powstającą placówkę kilka poważnych zawodów.

Po pierwsze: koszty budowy wyniosły aż dwa razy więcej, niż przewidywał kosztorys. Zdaniem o. Michała powodem była inflacja. Faktycznie materiały budowlane drożały w sposób zagrażający na skutek monopolizacji handlu drzewem, dyktą i gotowymi produktami, takimi jak drzwi i meble. Płace pracowników budowlanych szły też w górę na skutek strajków i całej polityki

na tym odcinku. Tak więc zamiast trzech milionów, poszło na budowę sanktuarium i klasztoru całe sześć milionów, w tym cztery miliony uzyskane w formie „bondów”, których termin płatności upłynął z rokiem 1974.

Dodajmy do tego procenty, które wynosiły aż setki tysięcy dol. rocznie i pochłaniały prawie cały dochód z ofiar pielgrzymów i organizacji polonijnych. Na spłatę długu zostawało co roku bardzo a bardzo mało.

Zawiódł się też o. Michał na polonijnej ofiarności. Na kosztą budowy za całe 10 lat od założenia fundamentów wpłynęły niecałe dwa miliony.

Może coś gdzieś w tych rachunkach nie grało, może ofiarność spadła na skutek czyjej kontr-propagandy lub niezbyt energicznie prowadzonej kampanii zbiórkowej.

Coś też nie grało wśród samych o.o. paulinów. Kilku z nich opuściło amerykańską Częstochowę, jedni wrócili do Kraju, inni przeszli w szeregi duchowieństwa świeckiego, nie wspominając już tych, którzy zrzucili habity. O. Michał był coraz bardziej osamotniony; w biurze przy sanktuarium zamiast paulinów zatrudniono dość liczny płatny sekretariat.

Przez kilka lat wydawali o.o. paulini wcale dobrze redagowany miesięcznik *Jasna Góra*. Miesięcznik ten przestał wychodzić, a co gorsze, nie zastąpiono go zapowiadany po upadku *Jasnej Góry* biuletynem. O. Michałowi zostały tylko kwadransowe pogadanki radiowe, o tyle uciążliwe, że za ich nagranie trzeba stacjom radiowym płacić i to dobrze. Na 40 stacji, skąd rozbrzmiewają owe pogadanki, jest to co tydzień wcale poważna sumka, trudna do pokrycia z bieżących ofiar. Może by było wskazane nadać tym pogadankom więcej życia i urozmaicenia.

W pewnych kołach polonijnych zaszkodził na pewno o. Michałowi artykuł Tad. Katelbacha, przedrukowany w kilku pismach polonijnych, pt. „Quo Vadis, Amerykańska Częstochowo?”. Były w tym artykule zarzuty o kontakty o. Michała z przedstawicielami PRL. Jeżeli takie kontakty były, to przede wszystkim dlatego, że bez nich nie ma mowy o sprowadzeniu z Polski zakonników paulińskich do amerykańskiej Częstochowy. Trudno bez osobnej ankiety osądzić, na ile się to odbiło na ofiarności Polonii dla sanktuarium. Jedno z pism ustosunkowanych krytycznie do tej właśnie sprawy zamieściło kiedyś list od jednego z czytelników, domagającego się oddania kontroli nad amerykańską Częstochową jakiemuś komitetowi, reprezentującemu Polonię. List ten przeszedł bez echa. To samo pismo wyraziło niedawno zdanie, że życzy o. Michałowi zarówno lepszego rozeznania w polityce, jak w zbieraniu funduszy na ratowanie placówki.



W 1974 roku o. Michał w komunikatach prasowych i w swoich pogadankach zaczął wymieniać liczby i mówić o rozmiarach zadłużenia.

Zapelował do wszystkich organizacji polonijnych, większych i mniejszych; w jednej pogadance wspomniał, że jest tych towarzyszy ponad 4 tysiące, niechby każde dołożyło cegiełkę, a o ratunek nie będzie trudno. W innej pogadance wyraził się jednak, że więcej ofiar w pewnym okresie napłynęło z dalekiej Kanady niż z bliskich stanów USA. Niektórzy gorliwsi Polacy zabrali się do organizowania zbiórek wśród swoich znajomych i kolegów w miejscach zatrudnienia. Prasa polonijna wydrukowała niejedną apel. Jeden z redaktorów wyraził się jednak w korespondencji prywatnej, że po takich apelach napływało do redakcji sporo listów krytycznych i przeciwnych tej akcji zbiórkowej.

Pozytywnie zareagowała pewna ilość księży polonijnych i powstało kilka większych i mniejszych komitetów pomocy dla amerykańskiej Częstochowy.

O. Michał wyjaśnia, że upadłość amerykańskiej Częstochowy byłaby o tyle tragiczna, że — pomijając już duchowe i kulturalne znaczenie tej placówki — cała posiadłość tj. tereny i zabudowania, ma dziś wartość około 22 milionów dolarów. Jest to jednak wartość obliczana od strony Polonii i zakonu. Gdyby doszło do upadłości, to wartość całego obiektu byłaby dla nowych właścicieli o wiele mniejsza, bo co komu po gmachu kościelnym, klasztorze i cmentarzu! Strata dla Polonii byłaby jednak wprost katastrofalna, a w oczach episkopatu i duchowieństwa amerykańskiego straciłaby Polonia bardzo dużo na prestiżu. Ta strona ma też swoje znaczenie gdy idzie o samo ratowanie sanktuarium.



Nie było w prasie żadnej wiadomości o „zakulisowych” (ale nie chodzi tu o to, co może miał na myśli Katelbach) próbach ratowania placówki, jak np. starania o specjalny kredyt od episkopatu amerykańskiego. Można by tym sposobem zadowolić bank, a następnie spłacać episkopatowi (czy komukolwiek innemu) nowy, długoterminowy dług. Kilka lat temu w ten właśnie, czy podobny, sposób episkopat uratował od upadłości dwie placówki amerykańskie. To byłoby jeszcze wyjście honorowe.

Jednym z najważniejszych szczegółów tej sprawy było przemówienie o. Tomzińskiego, generała o.o. paulinów, wygłoszone w Brooklynie tuż przed jego powrotem do Kraju. Wyraził on nadzieję, że wszystko będzie załatwione pozytywnie i że amerykańska Częstochowa przetrwa ten kryzys. Oświadczył też, że do sprawnego prowadzenia księgowości powołano wytrawnego znawcę z zakonu franciszkańskiego, a w samym klasztorze zapewniono o. Michałowi pomoc w osobie nowego przeora, tak że o. Michał, jak „Dyrektor Sanktuarium” będzie miał tylko jedno zadanie: finanse.



Wyczuwa się jednak, że sporo duchowieństwa polonijnego odnosi się do apelów o. Michała negatywnie. Nie było dotąd żad-

nej wypowiedzi biskupów polskiego pochodzenia. Kiedy w roku 1954 chodziło o osobną polską kaplicę w Sanktuarium Maryjnym — amerykańskim — w stolicy federalnej, na apel polskich biskupów zebrano w krótkim czasie około 750.000 dolarów i po urządzeniu kaplicy została jeszcze spora nadwyżka, którą przeznaczono na wykończenie owej świątyni. I teraz podobny apel mógłby mieć swoje skutki. Ale niektórzy przynajmniej księża mają żal do o. Michała, że „wyskoczył” z budową amerykańskiej Częstochowy akurat wtedy, gdy owa kaplica już była poświęcona. Ich zdaniem owa kaplica powinna być właściwą amerykańską Częstochową i miejscem pielgrzymek. Trudność w tym, że w owym sanktuarium jest podobnych kaplic, urządzonych staraniem wielu zakonów i grup etnicznych, kilkadziesiąt i że na wielkie polonijne pielgrzymki miejsca by tam nie było.

Ks. Wojciech SOJKA, C.M.
Erie, Pa.

“POLONIA”

KSIEGARNIA POLSKA W CHICAGO
2921 Milwaukee Ave., CHICAGO, Ill. 60618.

Czynna codziennie od 10-ej do 6-ej pp.

Posiada na składzie: książki i czasopisma polskie, polskie karty okolicznościowe i Dział Antykwariatu; przyjmuje książki do sprzedaży komisowej.

Skład Główny na Chicago wydawnictw Instytutu Literackiego w Maisons-Laffitte (pod Paryżem), m.in. paryskiej KULTURY i ZESZYTÓW HISTORYCZNYCH.

Księgarnia przyjmuje prenumeraty na polskie czasopisma i wykonuje pocztowe zlecenia księgarskie.

Kronika kulturalna

30-tolecie literatury polskiej na obczyźnie

(ANKIETA ROZGŁOSNI POLSKIEJ RADIO WOLNA EUROPA)

W zimie r.b. Rozgłosnia Polska RWE zorganizowała tzw. „zamkniętą” ankietę dotyczącą 30-lecia literatury polskiej na obczyźnie (1945-1975). Organizatorom chodziło o uzyskanie odpowiedzi na pytanie: „Jaką pozycję wysuwam na pierwsze miejsce?” a pismo zapraszające do wzięcia udziału w ankiecie zawierało sugestię rozszerzenia wypowiedzi o nasuwające się uczestnikom uwagi.

Wyniki ankiety podsumował Eugeniusz Romiszewski w audycji nadanej 6 kwietnia r.b. Odpowiedzi nadesłali (w porządku alfabetycznym nazwisk): prof. Mieczysław Giergielewicz, Konstanty Jeleński, dr Leopold Pobóg-Kielanowski, red. Stefania Kossowska, Roman Palester, dr Wit Tarnawski, prof. Tymon Terlecki, prof. Wiktor Weintraub i niżej podpisana.

Z grona tego tylko cztery osoby dały jednoznaczna odpowiedź na pytanie, domagające się wskazania wysuwanej na pierwsze miejsce „pozycji” tj. — jak to zrozumiałam — tytułu jednej książki. Trzy osoby wymieniły dwie lub więcej „najlepszych”, ich zdaniem, książek a dwie wysunęły całościowo twórczości wybranych autorów.

W wyniku skomplikowanych obliczeń pierwsze miejsca uzyskały *utwory prozą* w tej kolejności:

- 1-sze miejsce: „Inny świat” Gustawa Herling-Grudzińskiego,
- 2-gie miejsce: „Transatlantyk” Witolda Gombrowicza,
- 3-cie miejsce: „Dolina Issy” Czesława Miłosza

i *utwory poetyckie*:

- „Korzec maku” Kazimierza Wierzyńskiego (tom wierszy),
„Traktat poetycki” Czesława Miłosza.

W wyniku dodatkowych obliczeń biorących jako punkt wyjścia nazwiska pisarzy największą ilość punktów otrzymali:

- Czesław Miłoz — 15 i pół
Witold Gombrowicz — 12 i pół
Gustaw Herling-Grudziński — 11
Kazimierz Wierzyński — 10.

Tytuł i pytanie ankiety nastrożają pewne zastrzeżenia. „Trzydziestolecie” ma jako punkt wyjścia rok 1945, co automatycznie odcina „twórczość z okresu wojennego, w którym powstały liczne utwory formalnie i zasadniczo słusznie zaliczane do „literatury Polski Walczącej”. Trudno zakwestionować jednak sąd prof. Weintrauba, którego zdaniem „Kwiaty polskie” Tuwima czy wiersze wojenne Broniewskiego są utworami typowymi dla literatury uchodźczej. Analogiczne refleksje nasuwają liczne wiersze Marii Pawlikowskiej, Stanisława Balińskiego i in.

Problem podziału na okresy dobrze już zaawansowanego XX-go stulecia nasuwa wiele trudności i jest — wbrew inklinacjom historyków literatury — posiekany na okres przedwojenny — do roku 1914, Pierwszą Wojnę Światową, dwudziestolecie Niepodległości, i dalej jeszcze idące rozszczępienia literatury polskiej w okresie II Wojny na: literaturę podziemną w Kraju, literaturę Polski Walczącej i literaturę „gadzinową” w okupowanym Kraju i w ZSSR — wreszcie okres właśnie 30-lecia, w którym literatura polska w sposób niezmiernie skomplikowany, bo z licznymi zazębieniami dzieli się na literaturę emigracyjną i krajową.

Pytane: „Jaką pozycję wysuwam na pierwsze miejsce?” okazało się nie dość jasno sprecyzowane, bo czy chodziło tu o książkę „najważniejszą”, „najdonioślejszą” czy „najlepszą”? Przy pierwszej interpretacji mogły wchodzić w grę książki-dokumenty, nie zawsze zresztą pisane przez firmujące je osobistości i będące często wynikiem pracy zespołowej. Książka „najlepsza” wiąże się automatycznie z kryterium wartości artystycznej. Ten właśnie aspekt doszedł do głosu w praktyce ankiety bardzo wyraźnie.

Rozgrywka o pierwsze miejsce toczyła się między czterema pisarzami, których nazwiska powtarzały się w różnych zestawach u większości uczestników ankiety. A więc: Gombrowicz, Herling-Grudziński, Miłoz i Wierzyński. Uderza, że brane pod uwagę książki ukazały się we wczesnym okresie powojennym. To jedna z osobliwości wyników ankiety. Z twórczości Miłosza wybrano np. „Zniewolony umysł” (Kossowska) i „Traktat poetycki” (Weintraub). „Dziennik pisany nocą” Herlinga wspomniany jest tylko marginesowo, na dowód, że „twórczość jego jeszcze trwa, jeszcze faluje” (Kielanowski).

Warto zapoznać się bliżej z uzasadnieniami wyboru poszczególnych książek. Narrator, Eugeniusz Romiszewski, podsumowujący wyniki z ramienia Radia, wypowiedział pogląd, że na wybór „Innego świata” „wpłynął rozgłos dzieła Sołżenicyna 'Archipelag GUŁag'” i że uczestnicy ankiety uznali książkę Herlinga za „prekursorską i pod względem artystycznym przewyższającą 'Archipelag GUŁag'”. Ten osąd sformułował zwięźle prof. Giergielewicz a obszerniej Stefania Kossowska, która uznała, że „Grudziński nie ulega pokusom Sołżenicyna, by łagodzić rzeczywistość za pomocą filozofowania, które może pomogło tym co przeżyli ale nie tym milionom, które nie przeżyły”. „W swej relacji odseparował się od własnych uczuć i komentarzy. Jest to relacja beznamiętna, obiektywna, choć współczująca, bez literackich ozdób. Tak tam było naprawdę”. „Mimo magii nazwiska Sołżenicyna, ważniejsza niż rozlany szeroko 'Archipelag GUŁag' wydaje mi się książka Herlinga, nie tylko dlatego, że jedna z pierwszych, ale że sonduje w głąb, w sam ludzki-nieludzki sens zjawiska, jakim są łagry sowieckie, sens, podkreślony w książce kilkoma cytatai z Dostojewskiego”. Roman Palester uważa „Inny świat” za książkę równie przejmującą i wstrząsającą (jak „Archipelag GUŁag”) a usytuowaną na znacznie wyższym planie literackim, mającą większe ambicje artystyczne”.

Dla piszącej te słowa przy wysuwaniu „Innego świata” na pierwsze miejsce (co potwierdził werdykt końcowy ankiety!) ważne były nie kompa-

ratystyczne analogie, ale to że z relacji autobiograficznej z Rosji, „z konfliktu z barbarzyństwem wychodzi cało człowiek młody, ledwo uformowany, mający w swym багаżu intelektualnym potężne wsparcie o dziedzictwo starej kultury Zachodu”. Kielanowskiemu „skupiony sciszony styl Grudzińskiego” kojarzy się „z intymnym szeptem w ciemnościach nocy”. „Po latach dopiero — przypomina Kielanowski — przeczytałem w „Innym świecie” zapiskę z wzięcia: „Tylko w pochłaniającej wszystko pustce samotności, w ciemnościach zacierających kontury świata zewnętrznego, można odczuć że się jest sobą” aż do granic wątplenia, które uprzytamnia nagle własną nicotę w rosnącym przeraźliwie ogromie wszechświata”.

„Transatlantyk” Gombrowicza znalazł się na drugim miejscu punktacji ogólnej — a autor jego także na drugim miejscu (tym razem po Miłoszu) w próbie ustalenia hierarchii pisarzy emigracyjnych. Wysłunięciu „Transatlantyku” na pierwsze miejsce obszernie umotywował Konstanty Jeleński (którego drugim równorzędnym kandydatem był Miłosz). „Dzieło Gombrowicza — sądzi Jeleński — od początku stwierdza to, co myśl współczesna zaczyna dopiero odkrywać, ‘śmierć człowieka’ następująca po śmierci Boga. Stwierdzenie to idzie o wiele dalej niż redukcja człowieka do jego poziomu biologicznego (jak to uczynił pozytywizm darwinowski) czy ekonomicznego (co było ambicją marksizmu). Stawia ono pod znakiem zapytania autonomię naszej osobowości. Gombrowicz — jeden z pierwszych — zrozumiał, że człowiek nie wyraża się w zgodzie ze swoją najgłębszą istotą lecz tylko i zawsze w formie sztucznej, boleśnie z zewnątrz narzuconej bądź przez ludzi, bądź przez okoliczności”.

Dr Wit Tarnawski wysunął także „Transatlantyk” na pierwsze miejsce, uważając, że „wyróżnia się trwałym i powszechnym znaczeniem swoich symboli, oryginalnością formy i stylu, który wycisnął już piętno na współczesnej polskiej literaturze oraz rdzennie polskim charakterem. Wróży utworowi „wejście do żelaznego repertuaru czołowych „poloników” polskiej literatury jak „Pan Tadeusz”, „Zemsta”, „Wesele”.

Bogaćstwo i różnorodność twórczości Miłosza sprawiły, że głos uczestników ankiety uległy rozbić, gdyż podzielono je między „Dolinę Issy”, „Traktat poetycki” i „Zniewolony umysł”. Kossowska motywuje wysunięcie tej ostatniej książki następująco: „Dwadzieścia lat, które minęły od ukazania się książki Miłosza nie zmniejszyły jej ważności. Nie tylko ze względu na zalety literackie, świetność obserwacji, beznamiętną mądrość sądów, ale głównie ze względu na jej polityczno-moralne znaczenie. Gdy „Zniewolony umysł” ukazał się w czasach największego napięcia stalinizmu, była to pierwsza — stąd światowy rozgłos tej książki — próba zrozumienia na podstawie własnych doświadczeń autora — mechanizmu miażdżenia człowieka przez komunistyczną dyktaturę”. „W książce Miłosza po raz pierwszy została sformułowana Wielka Teoria zniewalania umysłu. Stalin minął, ale system pozostał, doprowadzony w swych metodach do jeszcze większej perfekcji. Stąd tragiczna aktualność książki Miłosza i jej czołowe miejsce w twórczości trzydziestolecia”.

Dla prof. Weintrauba „Miłosz to przede wszystkim wielki poeta. Gdyby mi konieczne kazano zonglować tytułami — pisze dalej — to jako najwybitniejszą pozycję wymieniałbym „Traktat poetycki”, urzekający poemat o poezji polskiej dwudziestego wieku i o — uchodźstwie”. „O klasie poetyckiej Miłosza decyduje w pierwszym rzędzie uroda języka. A także jego sprawność intelektualna. Oraz bogaty ładunek myślowy tych wierszy. Poezja to uchodźcza, ciągle nawracająca do rodzimego krajobrazu i rodzimych tradycji obyczajowych i kulturalnych a równocześnie wspaniale współczesna, w pełni żyjąca niepokojami i problemami współczesnego szerokiego świata, co więcej,

świetnie wyzyskująca poetycko napięcia, wynikające z konfrontacji tych dwóch różnych perspektyw”.

Wypowiedź prof. Tymona Terleckiego jest wielkim hymnem pochwalnym na cześć Kazimierza Wierzyńskiego. Z ogromnego dorobku tego wielkiego poety, uwieńczonego tomem „Sen mara” prof. Terlecki wybrał, jako najbardziej reprezentacyjny tom pt. „Korzec maku”, wydany w roku 1951. Uważa go „za powtórne przyjście na świat, powtórne otwarcie oczu na rzeczywistość, niespodziewany przez nikogo, może nawet przez samego poetę, zryw odnowicielski”, godny porównania z „banią z poezją”, która według słów Mickiewicza rozbiła się nad nim w Dreźnie w okresie pisania „Dziadów części trzeciej”.

Poza omówionymi wyżej pisarzami uczestnicy ankiety wysunęli następujące nazwiska: Piotr Guzy, Marek Hłasko, Waław Iwaniuk, Jan Lechoń, Józef Mackiewicz, Tadeusz Nowakowski, Zofia Romanowiczowa, Jerzy Stempowski, Czesław Straszewicz, Stanisław Vincenz. Nadto — gen. Andersa, którego książkę pt. „Bez ostatniego rozdziału” Kielanowski uznał za „wstrząsający raport polskiego żołnierza”.

Literatura emigracyjna czeka od dawna na obszernie i krytyczne podsumowanie. Ankieta, domagająca się wskazania utworów najwybitniejszych, mimo dobrej woli uczestników i niewątpliwej szczerości wypowiedzi, wpadała często-gęsto w ton laurkowy. Fakt, że wzięli w niej udział „wiecznie młodzi” a nie przedstawiciele trzech czynnych na Emigracji generacji piszących wywarł też wpływ na dobór nazwisk laureatów i wybór tytułów. Uznać ją przeto wypada za wstęp (raczej udany) do wielkiej dyskusji na temat trwałego wkładu pisarzy emigracyjnych (czy przebywających poza Krajem) do literatury polskiej XX wieku.

Maria DANILEWICZ ZIELIŃSKA

27 kwietnia 1975

Dedecius i Lisiecka o literaturze emigracyjnej

Znany w środowisku polskim dr Peter Raina opracowuje szereg audycji i wywiadów na tematy polskie dla niemieckiej radiostacji Deutsche Welle w Kolonii. Zamieszczamy fragment wypowiedzi p. Alicji Lisieckiej i Karla Dedeciusa:

ALICJA LISIECKA

Pytanie: Jak kształtuje się stosunek starej emigracji polskiej do nowego pokolenia emigrantów?

Odpowiedź: To bardzo przykra sprawa. Stare pokolenie emigracji, to pokolenie które przyjęło nas w gościnnym Londynie, w gościnnym Monachium

lub Paryżu; jest to pokolenie emigracji wojennej. Muszę powiedzieć, że zadziwiło mnie podobieństwo mentalności tego pokolenia do mentalności która najbardziej była mi obca w Polsce. Jest to mentalność ludzi zgorzkniałych, ludzi zawistnych, nietolerancyjnych, ludzi, którzy tępią jakikolwiek odruch krytyczny w stosunku do tego co zrobili lub czego nie zrobili; ludzi, którzy na nas, na świeżych przybyszów z tamtej strony żelaznej kurtyny, patrzą jak na potencjalnych przeciwników. Stara emigracja nie może wciąż przebaczyć pisarzom, którzy napływają w ciągu lat, którzy nasilają ich szeregi, że byli pisarzami w Polsce komunistycznej, że wydawali swoje książki w wielokrotnie wyższych niż emigracyjne nakładach; że pracowali w prawdziwych pismach literackich, które można było w prawdziwym kraju kupić w prawdziwym sklepie. Że po prostu byliśmy kimś, że coś zrobiliśmy, no i że zostawiliśmy swoje ślady w 33-milionowym narodzie. To jest problem, który przeradza się w konflikt. Sytuacja pisarzy-humanistów, sytuacja pisarzy-intelektualistów na emigracji jest niezwykle trudna; dysponujemy zazwyczaj jednym pismem literackim, bardzo rzadko się zdarza, że możemy sobie pozwolić na luksus pisywania do kilku czasopism. Zarabiamy zazwyczaj pracując w instytucjach angielskich, na angielskich uniwersytetach, czy w angielskich szkołach lub domach wydawniczych. Przekłady polskie naszych książek angielskich bądź angielskie naszych książek polskich — dotyczy to także obszaru języka niemieckiego i języka francuskiego — są często pomijane milczeniem w tej prasie albo witane z nietolerancją, z zawiścią, niechęcią, że oto ci którzy niedawno opuścili kraj, który tu pisze się przez dużą literę, znowu chcą zająć jakieś miejsce, być może kosztem szlachetnych, czcigodnych starców, żyjących na obczyźnie. Ten konflikt przeradza się w bardzo zabawne utarczki personalne, wyklinalanie i egzorcyzmowanie ludzi, którzy byli niegdyś członkami partii komunistycznych, w wypominanie im ich przeszłości, ich starych błędów — w całych litaniiach wypisywanych często przez emigrantów starego typu z okazji decyzji zostania na obczyźnie pisarza młodszego pokolenia.

Klasycznym tego przykładem jest sprawa Andrzeja Brychta, pisarza który cieszył się pewną popularnością w Polsce, miał milionowe nakłady, zrobiono według jego książek filmy do telewizji i filmy szerokoekranowe. Brycht musiał zrezygnować z ambicji przyszłego laureata Nobla i wylądował jako kierowca ciężarówki w Kanadzie. Poprzednio betonował ulice w Brukseli, gdzie poprosił o azyl. Można by cytować w nieskończoność pisarzy, którzy wyjechali z kraju na zawsze, którzy podjęli trudną decyzję pozostania za granicą i którzy spotkali się z oziębłym bądź nieprzychylnym przyjęciem na emigracji. Poza moim własnym przykładem mogę zacytować Włodzimierza Odojewskiego, którego francuskie wydanie książki ukazało się jeszcze przed polskim i który, zanim otrzymał nagrodę *Wiadomości* w Londynie, był już autorem książki szeroko spopularyzowanej przez francuską telewizję i radio. — Z obszaru niemieckiego mamy inny przykład: w nowej książce Dedeciusa o literaturze polskiej na emigracji zabrakło zarówno nazwiska Brychta, Odojewskiego, jak i mojego skromnego nazwiska w rejestrze wymienionych emigrantów powojennych. I Wirpszy także, no to jest klasyczny przykład.

KARL DEDECIOUS

Pani Lisiecka powtarza znany mi już z *Wiadomości* londyńskich (Nr 1498 z 15. 12. 1974) zarzut — zresztą dotychczas jedyny — pana Sakowskiego. „Dedecius nie chce, nie dba, nie lubi naszej literatury na emigracji”. Ogólnikowy ten zarzut ze względów zasadniczych (swojej niekompetencji)

nie zasługuje na odpowiedź. Sprostowanie zawartych w nim błędnych informacji uważam jednak za stosowne. Pan Sakowski bierze mi za złe że nie tłumaczę Miłosza. Otóż wiersze Miłosza tłumaczyłem już 15 lat temu i publikowałem je w różnych czasopismach i antologiach. Oprócz tego wydałem cały tomik jego wierszy „Lied vom Weltende” („Piosenka o końcu świata”) w kolońskiej oficynie Kiepenhauer und Witsch w roku 1966. Wszystkie moje antologie zawierają teksty (wiersze i proza) pisarzy emigracyjnych — nawet te nazwiska które p. Sakowski wymienia jako przeze mnie pomijane: Łobodowski, Hemar, Iwaniuk, Lechoń, Grudziński, Czapski i wielu innych. Dla mnie literatura była i jest dziedziną spraw języka i treści, a nie problemem selekcji partyjnych, wyznaniowych, geograficznych itp.

Jestem przekonany że krytycy, jak p. Sakowski, nie tylko nie czytali ani jednej z moich książek, ale nie mieli nawet żadnej w rękę, bo wtedy byłby im znany co najmniej spis rzeczy tych publikacji.

Tak samo sprawa ma się, podejrzewam, z panią Lisiecką. Byłoby rzeczą pożyteczniejszą gdyby emigracja polska zajęła się poważnie uporządkowaniem swoich spraw wewnętrznych, własnego wkładu na korzyść należytej prezentacji swojego dorobku literackiego. Nowakowski, Grudziński, Czapski, Miłosz, Wirpsza mają swoje wydania niemieckie, Hłasko i Mrozek są obecni w wielu wydaniach i całkowicie, dzieła Gombrowicza ukazały się w Niemczech Zachodnich w komplecie kilka lat przed wydaniem francuskim.

Pani Lisiecka reklamuje: „W nowej książce Dedeciusa o literaturze polskiej na emigracji zabrakło nazwiska Brychta, Odojewskiego, mojego skromnego nazwiska... i Wirpszy także”. Otóż książki o literaturze polskiej na emigracji nigdy nie publikowałem. Ostatnia moja książka: „Überall ist Polen” („Wszędzie jest Polska”) zawiera jedynie mały artykuł o polskiej literaturze emigracyjnej, stanowi więc informację ogólną i wszystkie zawarte w niej nazwiska potraktowane są jako *pars pro toto* — jako częściowe przykłady większej całości. A może krytyka emigracyjna uważa, że ja osobiście powinienem przetłumaczyć wszystkie dzieła wszystkich pisarzy emigracyjnych — wtedy naturalnie zarzut pani Lisieckiej byłby sprawiedliwy.

O Witoldzie Wirpszy pisywałem często i dużo, ma on kilka (4) swoich książek niemieckich i dość dużą popularność w kręgach „fachowych”. Jest m.in. laureatem Niemieckiej Akademii Języka i Poezji.

Odojewski ma swojego tłumacza, p. prof. Gerde Hagenau, jest obecny na naszym rynku księgarskim własnymi książkami i w antologiach. Bardzo go cenię i jestem przekonany, że z czasem przekładów jego książek będzie u nas więcej.

Myszę, że p. Lisiecka nie weźmie mi za złe, że Andrzeja Brychta uważam za wprowadzicie ongiś zdolnego autora, ale dla mnie absolutnie — ze względu na jego rzetelność pisarską, moralność polityczną i odpowiedzialność — nie do przyjęcia. Jest to dla mnie raczej *casus criminalis* niż *litteratoris*.

Dziwi mnie że ludzie, którzy wybrali wolność, a więc tę wolność chyba kochają, oczekują od innych, między innymi od tłumaczy-amatorów, ażeby wyzbyli się własnej wolności wyboru i tłumaczyli *to i tak, co i jak* im rekomenduje jakaś abstrakcyjna Wielka Emigracja Nr 2.

Otóż — wszem i wobec — nie jestem na utrzymaniu ani Wielkiej Emigracji ani Polski Ludowej, a po prostu firmy ubezpieczeniowej, dla której muszę pięć dni w tygodniu ciężko pracować. Jeśli tłumaczę, to w chwilach wolnych od pracy i z wolnej woli — „sobie a muzom”. I ile sił i czasu (!) i talentu starczy. Kosztem naturalnie rezygnacji z przyjemności życia prywatnego. Gdyby każdy emigrant robił to samo, — czytał, uczył się sumiennie, badał, pracował, ponosił ofiary osobiste, tłumaczył — choćby każdy jedną jedyną książeczkę swego kolegi emigranta — to wtedy literatura polskiej emigracji miałaby we wszystkich językach świata dorobek olbrzymi.

« Modern Poetry »

Bieżący podwójny numer 23/24 londyńskiego kwartalnika *Modern Poetry in Translation*, zredagowany przez Bogdana Czaykowskiego, poświęcony jest w całości poezji polskiej od Norwida do najmłodszych poetów w kraju.

Wybór składa się z przekładów 132 utworów Norwida, Leśmiana, Staffa, Wata, Przybosia, Czechowicza, Gałczyńskiego, Ważyka, Miłosza, Ożoga, Strońskiego, Gajcego, Baczyńskiego, Różewicza, Karpowicza, Białoszewskiego, Szymborskiej, Herberta, Darowskiego, Woroszyńskiego, Poświatowskiej, Czaykowskiego, Bursy, Harasymowicza, Czerniawskiego, Buszy, Wojaczka, Zagajewskiego, Barańczaka, Bierzina, Sułkowskiego i Iredyńskiego.

Wybór poprzedza wstęp redaktora omawiający dotychczasowy dorobek tłumaczy poezji polskiej na angielski oraz szanse ugruntowania świadomości tej poezji w krajach języka angielskiego. Noty biograficzno-krytyczne informują o poszczególnych autorach.

REDAKCJA TYGODNIKA POLSKIEGO
ogłasza subskrypcję na wydawnictwo
FUNDUSZU INWALIDÓW ARMII KRAJOWEJ
im. gen. Tadeusza Bora-Komorowskiego:

TERESA LEWANDOWSKA

MINUTA MILCZENIA

Artystycznie wydana teka gwaszy poświęconych pamięci tych, którzy walczyli, cierpieli, ginęli na ziemiach polskich w latach 1939-1945.

29 gwaszy z serii *Polski Walczącej*
oraz 3 gwasze z serii „Abel mój brat”.

Słowo wstępne i spis treści w językach polskim i angielskim.

Nakład ściśle ograniczony.

Całkowity dochód przeznaczony na pomoc inwalidom
Armii Krajowej i ich rodzinom w kraju.

Cena w przedpłacie wynosi tylko £ 6
(teka £ 5.50, opakowanie i przesyłka 50 p).

Zamówienia należy przysyłać do:

FUNDUSZU INWALIDÓW ARMII KRAJOWEJ,
42, EMPERORS GATE, LONDON, S.W.7.

wypełniając czeki i P.O. po polsku: „Fundusz Inwalidów A.K.”

W miarę napływania zamówień listy subskrybentów będą publikowane w *Tygodniu Polskim*. Pełna lista subskrybentów będzie wydrukowana w wydawnictwie.

Książki

« Mała, rosyjska miłośnica Wilno »

Cztery drewniane chałupki i dwie olbrzymie cerkwie. Tak na obwołucie jednej z omawianych poniżej książek, wydanej przez brytyjskie wydawnictwo *Robson Books*, mieszczące się przy *Poland Street* w Londynie, wygląda miłe miasto Piłsudskiego, dawna stolica wielkiego mocarstwa...

Doświadczenie jednostki określa granice jej wyobraźni. Dane doświadczenia można dowolnie zniekształcać i kojarzyć, nie można wyjść poza nie. Gdy się usiłuje, osiąga się efekt komiczny: małego Jasia, który sobie to lub owo „wyobraża”.

Jacqueline Susann, córka malarza-portrecisty i nauczycielki, urodziła się w Filadelfii niedługo przed Drugą wojną. Mając lat 16, opuściła rodziców i przez czas jakiś występowała jako girlsa w nowojorskich *shows* i telewizji. Następnie zaczęła pisać i uzyskała rozgłos i pieniądze. Przyniosły jej cztery utwory, wydane w latach 1963-73: *Co noc, Józefino*; *Dolina lalek*; *Maszyna miłości* i *Raz, to za mato**. Wszystkie dotyczyły „miłości”; „wszelkiego rodzaju miłości”, wyjaśniała i zachęcała do kupna reklama jednego z wydawnictw ostatniego utworu. Bohaterami ich byli ludzie bardzo bogaci lub (i) sławni, przeważnie o dość specyficznych gustach. Autorka opisywała ich życie, oficjalne lub potajemne związki intymne, a także ich zabiegi w celu zapobieżenia skutkom wpływającego czasu poprzez *body stocking* i *face lifting*, konserwacyjne maseczki ze spermy, skrzętnie w tym celu gromadzonej i przechowywanej w domowych lodówkach, „witaminowe” zastrzyki, zamieniające szmaty ludzkie w hetery i tytanów, i wiele innych interesujących a niekiedy i pouczających rzeczy.

Jedna z głównych bohaterek ostatniego utworu, ekscentryczna, tajemnicza i fascynująca Karla, miała przybyć do Ameryki

Jacqueline Susann, *Once Is Not Enough*, Bantam Books, N.Y., 1973, str. 500, cena \$ 1,95.

po drugiej wojnie z Polski poprzez Anglię. Po kilku latach po-
bytu została super-gwiazdą i „Królową Ekranu”, w okresie jed-
nak największego powodzenia odeszła nagle w cień, pozostając
nadal bożyszczem tłumów i jawną lub utajoną pasją jednostek.
Dla wyjaśnienia ekscentryczności i „inności” Karli, autorka opi-
suje jej przed-amerykańską przeszłość. Oto jak amerykańska
eks-girls wyobrażała sobie życie na przedwojennej i wojennej
wileńszczyźnie: (str. 216 i następane).

W 1920 roku Polska w powodzeniem zaatakowała Rosję i za-
władnęła stolicą Litwy Wilnem. Na nowozdobyte tereny ruszyli
zaraz polscy farmerzy, łaknący „nowych akrów”. Spod Białego-
stoku ruszył Andrzej Karłowski, z żoną, dwoma synami i nie-
mowlęciem Natalią Marią. Spodziewał się znaleźć w Wilnie ma-
jątek, by dać wykształcenie dzieciom. Spotkał go jednak zawód:
ziemia była jałowa, sąsiedzi zaś „Ukraińcy i Rusini, zachowywali
swe cechy narodowe”. W niedalekim miasteczku był jednak
„mały katolicki kościółek” oraz prowadzona przez zakonnice
szkółka. Ponieważ mosty były spalone, Karłowscy musieli po-
zostać. Pracowali ciężko po 15 godzin na dobę. Jedynie w niedziele,
gdy jako dobrzy katolicy szli do kościółka, matka zamiast noża
do obierania kartofli brała w zgrubiałe ręce różaniec i zamieniała
„babuszkę” na czarny kapelusz z ogromną szpilką zaś fartuch
na lśniącą czarną suknię. Ojciec wkładał swój jedyny czarny gar-
nitur, używany do kościoła, na śluby i pogrzeby.

Mijały lata i mała Natalia zaczęła chodzić do klasztornej
szkółki. Tam po raz pierwszy zobaczyła kobietę, której „surowa
polska zima” nie pozbawiła delikatnej cery i białych rąk. Była
to Siostra Teresa, warszawianka, która widziała również Paryż
i Moskwę. Poczawszy nagle powołanie, porzuciła studia baletu,
wstąpiła do zakonu i została skierowana do podwileńskiej szkoły
jako nauczycielka tańca. Natalia z punktu zakochała się w Sio-
strze Teresie i została jej najlepszą uczenicą. Wobec tego Teresa
zdecydowała nią się zaopiekować i zapowiedziała zasadniczą
rozmowę do rodziców. Przyjęta pieczoną gęsią z czerwoną ka-
pustą i *knedliczkami*, bez trudu uzyskała ich zgodę na wysła-
nie córki, naprzód jako stypendystki do warszawskiej szkoły
baletu, następnie zaś do Londynu. Tam bowiem stale mieszkali
bardzo zamożni wujostwo Teresy, Otto i Bosza, którzy mieli
umożliwić jej dalsze studia u Sadlers Wells'a. Zamierzony na
jesień 1939 wyjazd do Londynu został uniemożliwiony przez
wybuch wojny i „Karla” pozostała w Polsce. Po 17 września
rodzice kazali jej przenieść się do klasztoru, gdzie Matka Prze-
łożona pozwoliła jej nosić habit. Ciemne okulary oraz ostry
syczoryk i chusteczka były dodatkowymi środkami zabezpie-
czającymi: w razie potrzeby dziewczyna kaleczyła się w palec i
kaszlała w chusteczkę po czym, demonstrując na niej świeżą
krew, mówiła, że ma gruźlicę. W niektórych wypadkach to po-
magało.

Po upadku bohatersko broniącej się Warszawy, kilku sowiec-

kich oficerów zjawili się w klasztorze, zawiadamiając, że jest
on na terenie rosyjskiej okupacji, gdzie zakonnice nie mają pra-
wa nauczania. Dalej autorka pisze:

„30 września Prezydent Mościcki przekroczył granicę do Rumunii wraz
z całym rządem i wygnańcy utworzyli tymczasowy rząd na wygnaniu w Pa-
ryżu. Generał Sikorski, także na wygnaniu, działał poprzez kilku wyższych
polskich oficerów, którzy pozostali w kraju, i stopniowo wytworzyło się
polskie podziemie. Pomimo okrutnych i barbarzyńskich represji, rozrastało
się ono coraz bardziej i stało się znane jako polska ARMIA KRAJOWA,
AK, jak mówili szeptem Polacy” (str. 226).

„Starym klasztornym autem” Karla odwiedzała co tydzień ro-
dziców, przywoząc im nowiny i otrzymując świeże jajka. Które-
goś razu zastała na farmie rosyjski *jeep* i dwóch oficerów zabie-
rających do niego jej rodziców. Zwracając się jak do obcej,
matka zawołała: „Siostrzo, jajka są w kuchni”. Więcej już rodzi-
ców nie zobaczyła, natomiast, gdy wracała do klasztoru, wpadł
jej w oko, przyglądający się jej młody oficer rosyjski.

W klasztorze „Karla” zajmowała się skupiającymi się tam
bezdolnymi zwierzętami i dziećmi. Pewnego razu, gdy odma-
wiała z dziećmi wieczorny pacierz, z dolnego piętra doszedł jakiś
hałas i rosyjskie głosy. Ułożywszy dzieci do snu, Karla włożyła
ciemne okulary i wyjrzała na nieoświetlone schody. Pomiędzy
niezwykle plastyczny obraz tego, co zobaczyła. Pomimo ohydy
i przerażenia zachowała milczenie, natomiast 13-stoletnia Ewa,
która za nią wybiegła na schody, głośno się rozplakała. Zwróciło
to uwagę i dziewczęta zostały sprowadzone na dół.

Dopiero gdy wszyscy żołnierze zostali zaspokojeni, „poprawili
oni pasy i spodnie” i opuścili klasztor, zabierając na rozkaz do-
wódcy do koszar na plecach, niby worki z kartoflami, Siostrę
Teresę, Ewę i parę innych przystojniejszych zakonnice. „Nie bój
się”, uspokajał nagą Matkę Przełożoną jeden z żołnierzy, mówią-
cych po polsku. „Tobie nic nie grozi; zabieramy tylko młode
i ładne, a reszta niech się zajmuje dziećmi”.

Gdy po jakimś czasie historia się powtórzyła, Karle zgwałciło
ośmiu żołnierzy, których imiona zapamiętała, gdyż głośno się
nawoływali, ustalając kolejność. Przystojny kapitan, którego zau-
ważyła wracając z farmy rodziców, wypędził jednak tym razem
żołnierzy z klasztoru, mówiąc, że zostaną oni ukarani, gdyż
„jesteśmy żołnierzami, nie zwierzętami”. Odąd klasztor był pod
opieką kapitana Georgja Sokoyena, syna sowieckiego generała.
Zaopatrywał on zakonnice w żywność, a dzieciom przynosił
słodczyce. Raz Karli zrobiło się niedobrze w jego obecności. Za-
pytał co jest przyczyną. „Rosyjscy żołnierze”, odpowiedziała.
Zrozumiał, i próbował usprawiedliwić: „wielu z nich to wieś-
niacy, którzy się czują osamotnieni. Nigdy nie byli tak daleko
od swoich i nigdy tyle nie pili. Tu jest w bród polskiej wódki
i piękne kobiety”. Następnie opowiedział o wypadku, którego
miał być niedawno świadkiem, gdy polska mężatka w ciąży

poroniła na skutek stosunku, wymuszonego przez rosyjskiego żołnierza, i zapytała jakby się na to zapatrywała.

Nie widząc innego wyjścia, Karla zdecydowała się na podobny zabieg. W nocy wpuściła Georgija do klasztoru i zaprowadziła do swojej celi. Tam rzuciła pośpiesznie habit i nalegała, by przystąpił do rzeczy. On jednak zwlekał, mówiąc: „*No, first I make love to you*”. Gdy w pewnej chwili sądziła, że zabieg poskutkowało, wyjaśnił z uśmiechem: „Nie, droga Karlo, przeżyłaś orgazm, a dziecko jest wciąż w tobie”. Następnie Georgij często przychodził do Karli która przy jego i AK pomocy zorganizowała przerwianie dzieci z klasztoru za granicę. Przy jego też pomocy odbyła w celi klasztornej połóg, po czym z niemowlęciem w grupie 20 Akowców wyruszyła do Szwecji. Szli przez trzy tygodnie, kryjąc się w dzień po stodołach a nocami idąc dachami domów i podziemnymi tunelami. Byli już blisko „Kurytarza”(?), gdy dziecko nagle zaczęło płakać. Ponieważ dookoła byli naziści, musiano przycisnąć je poduszką. Naziści odeszli i dziecko przywrócono do życia, na skutek jednak chwilowej przerwy w dopływie tlenu do mózgu, pozostało intelektualnie niedorozwinięte.

Tak w wyobraźni amerykańskiej Joasi wyglądać miały przejścia Karli w Polsce, które spowodowały, że, mając w Anglii prześlizgniętą 30-stoletnią córkę o intelektualnym poziomie kilkuletniego dziecka, musiała prowadzić w Ameryce życie tajemnicze i ekscentryczne.



Autorowi *Legend z ulicy Inwalidów** (czy raczej *Gawęd o wileńskim getcie*) Wilno było mniej obce niż autorce amerykańskiej. Urodził się tam i spędził pierwsze dziesięć lat życia. W panicznej ewakuacji przed Niemcami w 1941 roku zgubił się i został przycięty przez sowieckich artylerzystów. Jako tzw. „syn pułku” pozostał w nim do końca wojny, następnie został sowieckim dziennikarzem, pisarzem i reżyserem filmowym. Do Wilna już nie wrócił, chociaż odwiedził je raz czy dwa razy. Po skutecznej demonstracji w moskiewskim Najwyższym Sowiecie w 1971 roku, uzyskał wizę do Izraela, gdzie zehbraizował swe imię i nazwisko. Jego *gawędy*, przetłumaczone na angielski, z rosyjskiego raczej niż z hebrajskiego, składają się z dwóch części. W pierwszej podaje rzekomo zasłyszane po wojnie u wileńskiego fryzjera na rogu ulicy Gedymina i Tatarskiej (Krótki przewodnik po Wilnie wydany dla zagranicznych turystów po angielsku w 1957 r. wymienia zakład fryzjerski przy ul. Tatarskiej Nr 2) historie niedobitków hitlerowskiej hekatombi. W drugiej, na podstawie własnych dziecięcych wspomnień oraz rodzinnej tradycji — opowiadań swych licznych ciotek i wujów — rysuje obraz miasta i jego mieszkańców. Jest on w wyobraźni sowiecko-ży-

dowskiego pisarza zniekształcony w stopniu nie mniejszym niż obraz Wileńszczyzny w wyobraźni autorki amerykańskiej. Zniekształcony w przestrzeni i czasie.

We wspomnieniach dziecka i wyobraźni dorosłego pisarza „miasto” ograniczało się do niewielkiego getta w okolicach żydowskiego szpitala oraz rynku tzw. „drzewnego” przy ulicy Zawalnej; na peryferiach jego był publiczny ogród („Cieletnik”) oraz plac sportowy (Łukiszki?), „ulica Główna, na której mieszkańcy miasta zażywali spacerów” (str. 162 — Niemiecka raczej niż Mickiewiczza), oraz jakaś cerkiew, z której bolszewicy zabierali dzwony. Było one zaludnione wyłącznie przez Żydów „*There was nobody in town who didn't speak Yiddish if you want to know the truth*” (W mieście nie było nikogo, kto by nie mówił po żydowsku, jeśli chcecie wiedzieć prawdę — str. 158), wśród których, jak rodzyńki w cieście, tkwili nieliczni goje: rodzina „białych Rosjan” Abramowiczów z trzema synami, Edkiem, Wańką i Stiopą (str. 158) i wdowa po rozstrzelanym przez bolszewików prawosławnym popie (str. 105). Zrózniczkowani „klasowo” (str. 137-9) na zamożnych *bałagutów* (woźniców) i rzemieślników, posiadających własne zaprzęgi lub warsztaty, i biednych wyrobników i postugaczki, mieszkali oni po różnych stronach ulicy w drewnianych domkach ze stajniami i ogrodami, lub bez nich. Wszędzie czuć było sianem i koprem, powszechnie używanym przy soleniu ogórków i pomidorów (str. 82).

„Wyzwoleni spod pańskiego jarzma młodszy bracia” Białorusini, byli gdzieś na bardzo odległym marginesie (str. 190); o Litwinach w części drugiej książki nie ma ani słowa; Polacy niewiele różnili się od Niemców, tyle że byli raczej komiczni niż tragiczni.

W czasie, Wilno nigdy nie przestawało być rosyjskie, a po rewolucji sowieckiej, jeśli nie w rzeczywistości, to w marzeniach środowiska w jakim się autor wychował. Sam Efraim innego niż sowieckie Wilna nie pamiętał, zaś jego ciotki miały przeważnie komunistów za mężów. Jeden z nich, Simcha zwany Kawalerzykiem, skuszony kawaleryjskimi butami porzucił w wieku lat 18-tu warsztat szewski w wileńskiej piwnicy i zaciągnął się na ochotnika do „słynnej” Czongarskiej Dywizji w Konnej Armii Budiennego. Po zakończeniu wojny domowej miał wrócić do miasta „jako 100 % czystej krwi bolszewik” (str. 88-9) i objąć w nim stanowisko wice-dyrektora wytwórni przetworów mięsnych; dyrektorem być nie mógł, bo do końca życia nie nauczył się dobrze czytać i pisać. Gorliwie prowadził komunistyczną agitację i pilnie strzegł „socjalistycznej własności”, toteż rodzina jego przymierała głodem. Dopiero gdy dorósł syn, nazwany Marlenem na cześć twórców teorii komunizmu, i poszedł pracować do wytwórni w „charakterze zwykłego robotnika”, sytuacja żywnościowa uległa znacznej poprawie. Niedługo jednak wartownik zatrzymał Marlana wynoszącego w spodniach 20 funtów eksportowych suchych kiełbas. Dowiedziawszy się o tym, Kawalerzyk „padł trupem na miejscu” i miał wspaniały pogrzeb (str. 102-3).

Legends from Invalid Street by Efraim Sevela. Translated by Anthony Kahn, Robson Books, London, 1974, pp. 210, cena £ 2.60.

Mąż drugiej ciotki, Rosjanin, ożenił się z nią by udowodnić, że jest prawdziwym internacjonalistą. Po wrześniu 1939 został wystany, by na „wyzwolonych” terenach „wprowadzać ustrój sowiecki i uczynić ludzi równie jak my szczęśliwymi” (str. 190). Dostał do dyspozycji samochód i zamieszkał w najlepszym w mieście domu, z którego usunięto uprzedniego właściciela. W pierwszym liście żona jego pisała, że „wbrew temu co piszą w gazetach, była Polska była rajem na ziemi, a ceny tu są takie, że pieniądze nie są właściwie wcale potrzebne”.

„Nie jestem ekspertem od rajów” — *pisze dalej Sevela* — „ale gdyśmy pojechali do tego eks-polskiego miasta tuż przy granicy niemieckiej i matka po raz pierwszy poszła na rynek, była oczarowana. Były tam przedmioty, którychśmy nigdy nie widzieli i tak tanie, że wprost śmiech. Ludzie, którychśmy przyszli wyzwalać od nędzy i głodu, ubrani byli jak kapitaliści na filmach zachodnich. Nawet dzieciaki. Mnie od razu ubrano w ładne nowe ubranko i to, jak matka mówiła, prawie za darmo... Niczego podobnego przedtem nie widziałem”.

Dzięki temuż wujowi, który karabinem maszynowym bronił dostępu do swego samochodu, rodzina autora została ewakuowana w 1941 roku (str. 194).

Nie zawsze jednak życie komunistów usłane było różami. Autor pisze, że gdy w 1938 r. „przez całą Rosję przeszła epidemia aresztów, nie oszczędziła i ulicy Inwalidów. W ciągu pewnej nocy aresztowano wszystkich partyjnie zaangażowanych, czyli sowieckich funkcjonariuszy biurowych, i połowa rodzin została bez żywicieli. Nędza i rozpacz przekroczyła ulicę dzielącą zamożnych od biedaków” (str. 140).

Inne dowody, że w wyobraźni Seveli Wilno zawsze było miastem sowieckim to jego stwierdzenie, że „jak moja pamięć sięga, problem chleba istniał w mieście zawsze”, naprzód jako kartki a później kolejki (str. 126) oraz powtórzenie pogłoski o rzekomym przyjeździe do Wilna na jakieś śledztwo „żelaznego marszałka Woroszyłowa”. „Ja sam Woroszyłowa nie widziałem, ale na ulicy wszyscy mówili...” (str. 164).

Jeśli autorka amerykańska opisywała „wszystkie rodzaje miłości”, to wychowanek sowieckiej armii pisał przede wszystkim o „bohaterstwie”, o wszelkich rodzajach „bohaterstwa”. W jego pamięci i wyobraźni wileńskie *bataguty* były czymś w rodzaju skrzyżowania Machabeuszów z Ilją Muromcem. Tradycja rodzinna przekazała, że jego dziadek Szaja, ojciec 11-ga dzieci, w roku wojny rosyjsko-japońskiej dopędził i zabił gołymi rękami kłusaka, ocenionego na 1.000 rubli w złocie, którym rosyjski bezdzietny generał uwoził w celu adoptowania jego najpiękniejszą córeczkę, Rywkę. Tę samą Rywkę, już jako dorosłą panią, polski oficer „z ostrogami na nogach, szablą przy boku, rogatywką z Białym Orłem na głowie i białymi akselbantami na piersi”, ośmielił się kiedyś po tańcach odprowadzić do domu. Oburzony

tym jej 13-stoletni brat Jakub obrzucił go zza płotu świeżym nawozem. Oficer obnażył szablą i chciał posiekać malca, lecz Rywka wyrwała mu ją z dłoni i opłazowała po grzbiecie. Ociekając krowim łajnem oficer uciekł lotem strzały, zaś pozostała na placu szablę wyrzucono na strych, gdzie Efraimek miał się nią bawić i, po zapoznaniu się z alfabetem łacińskim i obcymi językami, odczytać wyryte na gardzie nazwisko właściciela: „Pan Borowski”. „Jeśli ów Pan Borowski jeszcze żyje, mógłby potwierdzić te fakty” (str. 85).

Mieszkańcy ulicy Inwalidów bronili cnoty swych niewiast nie tylko przed oficerami polskimi. Raz ryży Hillel Manczypudel zastał swą siostrę w krzakach w ogrodzie z sowieckim lotnikiem. Wytrenowany lotnik uciekł, siostrę zaś Hillel szturchnął raz tylko, ale tak, że czas dłuższy nie wychodziła z domu. Następnie Hillel i jego przyjaciele zaczęli tropić owego lotnika i, nie mogąc go znaleźć, zaczęli wyrzucać z ogrodu przez płot wszystkich wojskowych, z wyjątkiem czołgistów, gdyż w czołgach Hillel odbył swą służbę wojskową i uzyskał dyplomy wykszolenia bojowego i politycznego. Lotnicy zareagowali na to przechodząc gromadnie z laskami w niedzielę wieczorem na Główną ulicę i napastując spacerujących tam mieszkańców ulicy Inwalidów. W końcu doszło do walnej bitwy. Hillel i jego przyjaciele uderzyli na gromadę lotników gołymi rękami, gdyż używanie noży, cegieł czy kamieni nie było w ich stylu. Starcie trwało krótko i lotnicy w ordynku odmaszerowali na lotnisko. Na bruku jednak zostało pięć trupów. Wszystkie w mundurach lotniczych i bez śladów użycia broni. Ich pogrzeb odbył się z uzbrojoną eskortą, miasto zaś zamiast policji patrolowały oddziały „neutralnych” czołgistów. Nikomu jednak na razie nie spadł włos z głowy. Zastana w krzakach panna została szybko wydana za mąż i doczekała się trojga dzieci. Dopiero w pół roku później, którejś zimowej nocy Hillel wpadł w urządzoną przez lotników zasadzkę i został tak pokiereszowany że ledwo doczołgał się do domu, aby pożegnać matkę i zamilknąć na wieki (str. 161-65).

Bohaterem był oczywiście Symcha Kawalerczyk, który miał więcej medali, niż mogło się zmieścić na jego piersi (str. 97). Podobnie byli udekorowani inni ocaleli na skutek służby w armii sowieckiej mieszkańcy ulicy Inwalidów. Bohaterem był dorożkarz Abram Icek, zwany Sasem czy też Samsonem. Podczas ewakuacji w 1941 roku niemiecki Messerschmidt zabił jego konia, ciągnącego wyładowaną dziećmi dorożkę. Wówczas Abram Icek sam się wprzągnął w dorożkę i ciągnął ją dalej, dopóki nie został zastrzelony przez innego niemieckiego lotnika (str. 186). Bohaterem był najbliższy przyjaciel autora z lat dziecięcych, Berelek Mac, ulicznik i złodziej, często za to bity przez swego ojca, *batagutę*. Berelek był niezrównanym mistrzem w zdobywaniu chleba. Po plecach i głowach ludzi stojących w miłowej kolejce przedostawał się on, niczym akrobata czy Tarzan, na jej czoło; nie zawahał się też przed skokiem na ostrą równię pochyłą, po

której dostarczano chleb do sklepu, by wraz z bochenkami znaleźć się w jego wnętrzu (str. 129-31). Starszy brat Berelka, Grisza, był kierowcą czołgu na wojnie. Obwieszony orderami i medalami, znalazł się on w mieście nazajutrz po jego wyzwoleniu od Niemców. Dowiedziawszy się o losie rodziny — wrócił do swego czołgu, którym następnie wjechał na kolumnę jeńców niemieckich eskortowanych przez sowieckich żołnierzy. Został za to rozstrzelany przez swych towarzyszy broni, którzy niemal płakali, „przeszywając pociskami jego potężne i piękne ciało” (str. 133).

Żydowskie kobiety nie były gorsze od mężczyzn. Żona *bałaguty*, Jenta Szylkrodt, by zdemaskować swego niecnego szwagra, bez wahania weszła do klatki „żywego afrykańskiego lwa”, zaś podziwiającym jej odwagę ludziom powiedziała, że każdy człowiek sowiecki zrobiłby to samo (str. 143). Gdy wśród zbierających się przy ulicznej studni kobiet żydowskich powstawała kłótnia, zaraz ktoś biegł po lekarza, bowiem „nasze kobiety nie chwytają jedna drugą za włosy i nie drapią; walczą jak mężczyźni, krótkimi ogłuszającymi ciosami” (str. 144). Pomimo poważnego wieku, ów doktor był „silny jak dąb”. Kiedyś w nocy zakradł się do niego rabuś, którego od razu powalił ciosem w czaszkę, po czym mu ranę zaszył, przepisał lekarstwo i dał pieniądze na drogę, z tym aby do miasta więcej nie wracał (str. 145).

„Bohaterami” również byli ci z wileńskich Żydów, których zły los rzucił do niewłaściwych szeregów. Opowiedziana w części pierwszej książki historia „Jankiela, znanego również jako Jan, John i Jean, Lapidusa, osoby z kartą pobytu bez przynależności państwowej” ((str. 44-53) była szczególnie zabawna. Dowiadujemy się z niej jak wychowanek armii sowieckiej wyobrażał sobie wojsko polskie oraz stosunki na Zachodzie.

W Wilnie „pod Polakami” był sklepik z polskim szyldem: „Gorące obwarzanki. Madam Lapidus & Syn”. Sklepikiem i obwarzankami zajmowała się tylko mama, syn zaś studiował w wileńskim gimnazjum, które ukończył w 1939 roku. Ponieważ mama chciała by dalej studiował w stolicy, pojechał do Warszawy, gdzie został przyjęty na uniwersytet. 1 września, jednocześnie z gratulacyjną depeszą od mamy otrzymał kartę powołania do wojska. Tam ubrano go w mundur, dano czapkę z Białym Orłem i zaczęto uczyć musztry; karabiny mieli otrzymać później. Tymczasem Niemcy zaczęli bombardować Warszawę; powstała panika, oficerowie się rozbiegli a rekrutom kazano iść do domów. Idącego piechotą do Wilna Jankiela ogarnęli Rosjanie, widząc go w polskim mundurze, nie chcieli słuchać żadnych wyjaśnień, załadowali do wagonu i przez Wilno wywieźli na Syberię. Tam, za koczastymi drutami, marzył, głodował, tęsknił do mamy i był przedmiotem antysemickich wybryków współtowarzyszy. Było mu tak źle, że aż chciał umrzeć, ale nie przed zobaczeniem mamy.

Po napaści Niemców na Sowiety, „myśmy się stali sojusznici

kami Rosji”. Z jeńców zrobiono armię polską pod dowództwem generała Andersa:

„Wyprowadzono nas zza drutów, ubrano w nowe mundury, znowu z Białym Orłem, dano dobre wyżywienie i po raz pierwszy karabin, którego dotąd nie miałem w ręku”.

Jednakże podczas ćwiczeń instruktor podchorąży „Pan Borejsza” nie był zadowolony z Lapidusa i zamiast karabinu dał mu km., mówiąc, że można z niego strzelać nie celując, a poza tym jest cięższy, więc niech Żyd go nosi.

Anders oszłabił (*outwitted*) Rosjan i zamiast na front wyprowadził swe wojsko do Iranu, by pomóc Anglikom w Afryce. Lapidus ze swoim batalionem i kaemem trafił pod Tobruk, gdzie w pustyni było bardzo gorąco. Usiadł więc na piasku, zdjawszy z pleców karabin. Nagle rozległy się jakieś krzyki i powstało zamieszanie; zobaczył z daleka Niemców i zaczął strzelać z km.

Gdy wystrzelał całą amunicję, zechciało mu się pić i poszedł szukać kuchni. Tymczasem co się okazało? Gdy Polacy zobaczyli Niemców, gdzieś puciekali i Lapidus pozostał w pustyni sam jeden. Ponieważ jednak ogień z jego kaemu zatrzymał niemieckie natarcie i uratował Tobruk, Anglicy przyznali mu Victoria Cross i nawet dali jego dowódcy podchor. Borejszy jakiś medal.

Z Tobruku Polaków posłano do Włoch, gdzie kawalera Krzyża Wiktorii przydzielono do oddziałów szturmowych. Był pod Monte Cassino, gdzie pozostały „góry polskich kości”. Wyżył może dlatego, że tęsknił do mamy i nie szukał guza. Ponieważ ocalało niewielu szturmowców, dano mu aż dwa ordery dla nich przydzielone. Za co, właściwie sam nie wiedział.

Z Włoch powieziono ich statkami do Anglii a stamtąd skierowano do Normandii. Za kampanię normandzką, Jean Lapidus, wciąż zaliczany do szturmowców, których liczba ciągle malała, otrzymał Krzyż Legii Honorowej. Pomimo tych wysokich orderów, po zakończeniu wojny stał się *nobody*. Pracował z Murzynami na plantacjach w Brazylii, był drwalem w Kanadzie. Ostatecznie przed głodową śmiercią uratowała go Legia Honorowa; dzięki niej przyjęto go do Legii Cudzoziemskiej. Tam obok licznych SS-mannów spotkał podchorążego Borejszę i razem z nim został wysłany do Indochin. Gdy Borejsza wpadł do „wilczego dołu” i nadział się na pał, Lapidus go nie ratował, gdyż był to zły człowiek, który dla zabawy strzelał do dzieci. Po dwóch latach męczarni w Indochinach wrócił do Europy, gdzie ostatecznie uzyskał zezwolenie na wyjazd do Polski a później i sowiecką wizę do Wilna. Tam powtarzając ciągle, cytowane w książce po polsku, „przepraszam” i „proszę Pana”, szukał wciąż jeśli nie samej mamy, to przynajmniej jej grobu, oraz zebrał o papierozy, gdyż stał się nałogowym palaczem.

Wiktor SUKIENNICKI

Kwiecień 1975

Sprawa życia i śmierci

Autorem „Miasta bogów”^{*} jest jezuita John S. Dunne, profesor uniwersytetu w Yale. Brat John prowadzi tam katedrę studiów religijnych. Jego dzieło wymyka się konwencjonalnej klasyfikacji. Określenie, że jest to praca z dziedziny historii idei, na niewiele się przyda. Raczej należałoby zauważyć, że powstała ona ze skrzyżowania kilku linii badawczych. Mamy w niej więc coś nie coś z religioznawstwa, jak również trochę socjologii, antropologii i psychologii. Zasadnicze jednak osie, które zarysowują się w tym układzie współrzędnych to historia i filozofia. Pierwsza tematycznie wiąże się z szeregiem światopoglądowych przemian od starożytności aż po naszą współczesność, druga nabiera konkretności ze względu na egzystencjalny charakter rozważań. Przedmiotem badań jest mroczna i gęsta materia mitów. Wskazuje na to zresztą podtytuł książki: „A Study in Myth and Mortality”. Profesor Dunne rozpatruje w szczególności te mity, w których dochodzi do głosu problematyka możliwości przezwyciężenia śmierci, bądź w formie ziemskiego życia bez czasowych ograniczeń, bądź w formie pośmiertnego trwania w nieskończoność.

Autor zaznacza w przedmowie, że w każdym micie mieści się jakaś egzystencjalna prawda. Jeżeli chodzi o mit naszych czasów, to według niego prawdę dotyczącą postawy ludzkiej wobec życia i śmierci da się zmierzyć siłą tego mitu w rozwiązywaniu „zagadnienia śmierci”. Zagadnienie to sprowadza się do kwestii jak nowoczesny człowiek może zadowolić swoje pragnienie życia w obliczu nieuniknionej śmierci. Mity stanowią archaiczne próby uporania się z tym zagadnieniem. Dlatego też brat John stara się uwzględnić przede wszystkim takie postacie jak np. Gilgamesz, ze sumeryjskiej legendy o potopie, który wybrał się na poszukiwanie środka przedłużającego życie w nieskończoność, a dalej Herakles, Odyszeusz i Eneas, bo ci trzej zstąpili do świata umarłych. Wreszcie spośród ludzi późniejszych epok pod uwagę wchodziłoby Parsifal i Faust. Każdy z tych bohaterów wyłonił się z pewnej cywilizacji, a podania o każdym z nich były tworem wierzeń powstałych w obrębie określonej społeczności. Toteż już na pierwszych stronach poza przedmową perspektywą czasowa nabiera ogromnej rozpiętości. Autor bynajmniej nie zamierza oszczędzić nam szczegółów z zakresu starożytnych literatur. Odnośnie do Gilgamesza jego erudycja sięga

^{*} John S. Dunne: *The City of the Gods, a Study in Myth and Mortality*, Sheldon Press, London, 1974, str. 243, cena £ 4.50.

głęboko, niemal w same trzewia jednej z najstarszych cywilizacji świata. Jednakże nie erudycja brata Johna budzi podziw, ale jego umiejętność wyinterpretowania istotnych faktów, na których lekko i pewnie zarazem spoczywa struktura przewodnich myśli „Miasta bogów”. Profesor Dunne odsłania i analizuje koncepcje życia pośmiertnego w ich całej złożoności. Dotyczą one nie tylko nieśmiertelności boskiej i (możliwie) ludzkiej, zaprojektowanej w przyszłość (jako „życie wieczne”), ale również pewnych form nieśmiertelności zwróconej wstecz, w przeszłość. O tym będzie jeszcze mowa poniżej. Na razie tylko podkreślimy, że autor śledząc np. tok przygód Gilgamesza albo Odyszeusza uwydatnia zygawkowate linie ich losów jako ciągłe ocieranie się o śmierć. W tych rozdziałach rozważania stoją często pod znakiem filozofii Heideggera.

I tak w wypadku Odyszeusza zastosowanie ma charakterystyczny dla egzystencjalizmu pogląd, że myśl o śmierci wypędza nas ze wszystkich miejsc, w których czujemy się zdomowieni. To ona sprawia, że stajemy się bezdomni. Odyszeusz w drodze spod Troi jest bezdomny i narażony na śmierć. Mówiąc po Heideggerowsku żyje on w sposób autentyczny. Niemniej jego tęsknoty za Penelopą, Itaką i domem rodzinnym są tęsknotami za nieautentycznym rodzajem bytowania, gdzie codzienność i normalność sytuacji przesłania sens istnienia zwróconego w swej istocie ku śmierci. Innymi słowy Odyszeusz jako tułacz wolny od złudzeń, oko w oko ze śmiercią, marzy o życiu w ułudzie płynącej z dobrodziejstw cywilizacji. Ale tenże Odyszeusz, jak nam to przypomina autor, podczas swego pobytu na wyspie Ogygii, odrzuca propozycję nimfy Kalipso, kiedy obiecuje mu ona nieśmiertelność. Taka nieśmiertelność nie odpowiada mu zupełnie, bo oznaczałaby przedłużenie w nieskończoność jego nieszczęśliwości z powodu niemożności powrotu na Itakę. Szczęściem dla niego może być tylko życie z Penelopą na Itace, nawet jeśli temu życiu śmierć musi kiedyś położyć kres.

Oprócz Heideggera najsilniejszym wpływem indywidualnym w tej książce jest Hegel. Widoczne jest to w doborze pewnych przeciwstawnych poglądów. Autor wciąga do dyskusji myślicieli tak odmiennych jak Nietzsche i św. Tomasz z Akwinu, Plotyn i Hobbes, albo Platon i Marx. Jego wywody znamionuje duża systematyczność, a ich dialektyczna giętkość najlepiej wypadła w kontrastowaniu niektórych punktów widzenia. Warto też wspomnieć o jego odczytaniu na temat buddyizmu. Z drugiej zaś strony trudno w tej pracy, poza kilku zdaniem przy końcu, znaleźć miejsce, gdzie brat John dałby pełniejszy wyraz własnym przekonaniom religijnym.

Miasta, a raczej miasta-państwa są jednym z centralnych punktów tego studium. Profesor Dunne ma wiele ciekawych rzeczy do powiedzenia o ich powstawaniu i upadaniu, o ich roli jako ośrodków kultu religijnego, a zwłaszcza o ich łączności z bóstwem poprzez osobę ich władcy. Przykładowo: miasta w dorze-

czu Eufratu i Tygrysu stanowiły początkowo skupiska ludzkie wokół świątyń, gdzie królowie byli uważani za małżonków bogini-matki. Zdaniem autora wojna trojańska nie toczyła się o ziemiankę piękną Helenę (jak to ma miejsce w Homerowej wersji), ale o jedną z bogiń. Był to zatem konflikt na podłożu kultowym. Podobnie jak w Troi, również i w Atenach czczono na Akropolu boginię, z którą unia poprzez osobę króla użyczala miastu świętości. U Homera są o tym niejasne wzmianki. Miarą znajomości tych spraw u autora jest wydobywanie takiego szczegółu jak to, że Atena po udzieleniu pomocy Odyseuszowi (w VII księdze „Odysei”) powraca nie na Olimp, lecz do Erechteionu. Królowie Aten (a wśród nich Erechteos) w zamierzczłych czasach byli bowiem ziemskimi małżonkami bogini.

Hegel widział historię świata jako postęp w świadomości wolności. Nie chodziło mu przy tym o wolność indywidualną. Indywiduum miało dla niego znaczenie tylko w związku z historycznymi procesami, w których rozwija się i ujawnia „obiektywny duch”. Profesor Dunne przy okazji przekornie zestawia poglądy Hegla z tym, co niegdyś wypowiedział w swej żalobnej mowie Perykles (por. II księgę „Wojny peloponeskiej” Tukidydesa). Otóż Perykles oświadcza tam, że wolność jest szczęściem, a odwaga wolnością. Tego rodzaju myśli, według autora, nie dadzą się wtłoczyć w schematy heglowskie. Powiedzieć bowiem, że wolność jest szczęściem to tyle co powiedzieć, że tyrania jest nieszczęściem. Powiedzieć zaś, że odwaga jest wolnością to tyle co dać do zrozumienia, że tchórzostwo oznacza tyranie. Hegel pojmował, jak zaznaczono powyżej, wolność jako urzeczywistnienie się „obiektywnego ducha”. Wolność w jego rozumieniu polegała na objęciu w posiadanie tego ducha przez daną społeczność w pewnej fazie jej rozwoju. Natomiast dla Peryklesa wolność jest objęciem w posiadanie przeszłości. Jeżeli to wydaje się niezrozumiałe, to dla wyjaśnienia trzeba teraz odwołać się do koncepcji „nieśmiertelnej przeszłości”. W starożytności przywłaszczenie sobie przeszłości (w postaci praw, tradycji i instytucji) przez jakieś miasto-państwo stanowiło o jego wolności, szczęściu i nawet nieśmiertelności. Tylko w okresach upadku i słabości miasto-państwo z woli uzurpatora musiało się wyrzekać swej przeszłości. „Miasto-państwo, które dało się opanować tyranowi popadało w bierność i już więcej nie tworzyło przeszłości, a przeszłość, która kiedyś została stworzona dla niego nie była już więcej jego własna” (str. 99). Nikt nie zaprzeczy, że to zdanie da się odczytać jako przejrzyta aluzja do tego, co się dzisiaj obserwuje w państwach „demokracji ludowych”, do znanych walk z „reliktami kapitalistycznej przeszłości”, do podręczników sfałszowanych dziejów ojczyźnych, do przemilczania oczywistych a niewygodnych faktów z niekomunistycznej przeszłości danego narodu. Bo tylko naród wolny jest władny decydować o swej historii. Taki jest zatem sens wypowiedzi Peryklesa i tak należy rozumieć wolność w jej funkcji obejmowania w posiadanie przeszłości. Nieco dalej w tekście mamy

zestawienie Peryklesowej koncepcji miasta z Platonską. Dla Peryklesa Ateny były wiecznym miastem, podczas gdy dla Platona jedynym wiecznym miastem była zawartość idei Miasto. Wariantem pojęcia nieśmiertelnej czy też niezniszczalnej przeszłości jest przeszłość „nie do odrobienia”. Tęm niejednej tragedii greckiej jest ten właśnie rodzaj przeszłości, a Sofokles dał jej najdobitniejszy wyraz w „Edypie tyranie”.

W tym omówieniu eschatologicznych poglądów w obrębie różnych kultur nie zabrakło miejsca i dla późniejszych sposobów myślenia o śmierci. W średniowieczu nieśmiertelność staje się jakby pośmiertnością, kiedy przybiera ona formę utrwalania się zmarłych w pamięci ludzkiej jako publicznych figur. (U Dantego cesarstwo zapewnia jednostce ziemską nieśmiertelność, a kościół nieśmiertelność niebiańską). Wreszcie nowoczesne systemy terroru (od francuskiej rewolucji począwszy) wzięły za swą ideologiczną przesłankę wiarę, że nie ma innej przyszłości niż śmierć. Stąd w totalitarnych państwach taka postawa wobec śmierci oznacza w praktyce pragnienie dysponowania (cudzym) życiem.

Na zakończenie kilka uwag o przyjęciu, z jakim ta książka spotkała się w Anglii. Recenzent *Observer'a*, Philip Toynbee z uznaniem wypuklił jej zalety w nieco ogólnikowym artykule (*Observer* z 14 lipca 1974). Natomiast anonimowy recenzent w *Times Literary Supplement* (Nr 3785 z 20 września 1974) potraktował tę rzecz z ironią i lekceważąco nazwał ją przy końcu swej elukubracji „subiektywnymi rojeniami kogoś, kto oczywiście jest miłym facetem”. Ten objaw niestety daje się ostatnio dostrzec w *Times Literary Supplement*, gdzie czasem piszą ludzie, którzy nie zadają sobie, albo nie chcą sobie zadać trudu, żeby zrozumieć pracę będącą dziełem znacznie subtelniejszej umysłowości niż im to się wydaje.

Władysław JAWORSKI

Krótko o książkach

W 1974 roku na Zachodzie ukazały się — obok prac Sołżenicyna — książki Władimira Maksimowa, Andrieja Siniawskiego i innych byłych sowieckich pisarzy, zmuszonych do opuszczenia ojczyzny. Prawie jednocześnie wyszły dwie książki poświęcone tej samej tematyce: bankructwo ostatnich nadziei na asymilację Żydów w Związku Sowieckim, ostatnich nadziei na to, że komunizm, socjalizm, marksizm — czy jak go tam jeszcze nazywają rozwiąże problem żydowski.

Pierwsza z tych książek to „Zakładnicy” Grigorija Swirskiego¹. Dziennikarz i pisarz Swirski stał się znany na skutek śmiałego przemówienia, wygłoszonego na partyjnym zebraniu pisarzy moskiewskich w 1965 roku, w którym wystąpił przeciwko cenzurze i antysemityzmowi. „Zakładnicy” jest to powieść dokumentalna, autobiografia pisarza, żołnierza wojny światowej nie wątpiącego, że Związek Sowiecki jest jego ojczyzną. Miał do tego dużo podstaw: już jego dziad, żołnierz Mikołaja I, bił się za Rosję pod Sewastopolem, on sam wyrósł w wierze w hasła internacjonalizmu, był członkiem partii. Wreszcie nie miał nic wspólnego z żydostwem: z religią, z językiem i kulturą. „Zakładnicy” są historią o tym jak pisarz i jego żona dowiadują się, że są Żydami, że są obywatelami drugiej kategorii. W książce jest wiele ciekawych szczegółów o moskiewskiej organizacji pisarzy, o życiu sowieckim. Powieść została napisana w Moskwie, wydana w Paryżu po wyjeździe autora do Izraela. Możliwe, że gdyby pisarz pozostał w Moskwie, to można byłoby przeczytawszy „Zakładników” w Samizdacie potraktować książkę jako jeszcze jedno świadectwo antysemityzmu w ZSSR. Ale powieść, którą na Zachodzie wydano bez zmian, nabiera innego charakteru. Swirski oburza się nie tylko na to, że Żydzi są w Związku Sowieckim obywatelami drugiej kategorii. Oburza się, że antysemityzm panuje właśnie w Związku Sowieckim, że zostały zapomniane święte przykazania proletariackiego internacjonalizmu. Zastugą pisarza jest to, że nie oskarża całego narodu rosyjskiego o nienawiść do Żydów mówiąc głównie o urzędowym antysemityzmie. Dziwne jest — by nie powiedzieć więcej — że autor wprowadza rozróżnienie między Leninem, a Stalinem, między „autentycznym” bolszewizmem, a stalinowskim „wypaczeniem”. Cała zapalczywość autora w potępieniu niesprawiedliwości i zła panujących w ZSSR sprowadza się w sumie do jednego: władza sowiecka jest zła, gdyż nie kocha Żydów.

Druga książka na ten temat pt. „Próba generalna²” została napisana przez Aleksandra Galicza. Zawsze wydawało mi się niezrozumiałe dziwne „współistnienie” w Galiczu — autora wybitnych piosenek satyrycznych, które będą cennym dokumentem epoki i autora konformistycznych sztuk i scenariuszy filmowych, granych z dużym powodzeniem na sowieckich scenach i ekranach. „Próba generalna” — tak jak „Zakładnicy” — została napisana w Moskwie a wydana na Zachodzie. Stanowi ona doskonały przykład współistnienia w pisarzu dwóch osobowości, które powinny się wzajemnie wykluczać. Książka Galicza jest historią wystawienia w teatrze *Sowriemiennik* jego sztuki „*Matrosskaja tiszyna*”, ilustrowaną pełnym tekstem samej sztuki. Sztuka, jak pisze autor, była rozpoczęta w 1945 a zakończona w 1956 roku. Historia wystawienia — nieudanego — gdyż komisja partyjna

1. Grigorij Swirskij, *Założniki*, Les Editeurs Réunis, Paris, 1974.

2. Aleksander Galicz, *Gienieralnaja riepitycja*, Possev, 1974.

nie zgodziła się na wystawienie publiczne, została napisana w 1973 roku.

Komentarz z 1973 roku jest interesujący jako dokument epoki, napisany żywo i dowcipnie. Natomiast sam tekst sztuki sprzed prawie 20-tu lat jest typowym przykładem sowieckiej dramaturgii: sentymentalna (Galicz mówi — romantyczna) opowieść o prawdziwych sowieckich ludziach w latach wojny i pokoju. Niestety dla Galicza — jest o tym przekonany — było to, że wśród postaci sztuki jest dużo Żydów. I to — twierdzi — było powodem zakazu. Nie ma wątpliwości, że tak właśnie było. Galicz cytuje swoją rozmowę z tow. Sokołową, kierującą w KC sprawami teatru: „Jakże Pan sobie wyobraża, towarzyszu Galicz — oświadczyła autorowi — by w centrum Moskwy, w młodym stołecznym teatrze, została wystawiona sztuka, w której się opowiada jak Żydzi wygrali wojnę?!...”. I, kontynuując swoją myśl, strażniczka ideologii dodała: „Ot mówią... że jakoby my — tak jak i przy carskim reżymie — zamierzamy wprowadzić *numerus clausus!*... Wiercie mi, to bzdura. Żadnej procentowej normy nie zamierzamy wprowadzać ale drody towarzysze, komu udzielić prawa pierwszeństwa — o tym my będziemy decydowali”.

Galicz z pewnym zdziwieniem reasumuje: „... Tak po raz pierwszy zimą 1958 roku w dzikim wywodzie Sokołowej — instruktora Centralnego Komitetu Komunistycznej Partii Związku Sowieckiego — dowiedziałem się o teorii „narodowościowego wyrównania”.

Zdziwienie Galicza jest właśnie tym, co specjalnie zdumiewa w jego książce. Dopiero w 1958 roku usłyszał o oficjalnym antysemityzmie z ust autorytatywnego „towarzysza”, ale wydaje się, że nawet wówczas nie stracił iluzji dotyczących internacjonalizmu.

Książki Swirskiego i Galicza są świadectwem potwierdzającym, że roztawianie się z mitami jest niezmiernie trudne, przy czym wstrząsem jest zawsze bezpośrednie zderzenie się z odwrotną stroną — autentycznego — mitu.

O roztawianiu się z mitami mówią książki Aino Kuusinen „Jak Bóg obala swego anioła” i E. Fischera „Wielkie marzenie socjalistyczne”.

Aino Kuusinen, fińska komunistka, żona Otto Kuusinenego jednego z liderów Kominternu, który zmarł na stanowisku członka prezydium KC KPZS w 1964 roku, znalazła się wraz z mężem w Moskwie, w początkach lat dwudziestych; znała ona bardzo dobrze wodzów partii bolszewickiej i Kominternu, była zwerbowana przez wywiad sowiecki, działała wśród swoich ziomków, Finów, w USA, współpracowała z Sorge w Japonii. Po powrocie z Japonii w 1937 roku została — jak należało się spodziewać

3. Aino Kuusinen, *Quand Dieu renverse son Ange*, Julliard, Paryż, 1974. Ernst Fischer, *Le grand rêve socialiste*, Denoël, Paryż, 1974.

— aresztowana. Wezwana do Moskwy z Tokio spotkała się po raz ostatni z największym szpiegiem naszego wieku, Ryszardem Sorge, którego również wezwano do Moskwy. Sorge, żegnając się z Aino, powiedział jej: „Pani jest mądrą kobietą; przyznaję, że nie spotkałem dotąd kobiety obdarzonej taką przenikliwością. Ale jestem jeszcze bardziej przenikliwy od Pani”. Sorge rzeczywiście był bardziej przenikliwy, gdyż do Moskwy nie pojechał. Co prawda rehabilitowano go i pośmiertnie nagrodzono tytułem Bohatera Związku Sowieckiego dopiero w 1964 roku, a Aino była zwolniona i rehabilitowana już w 1955 roku. Przez wszystkie lata — było ich 18 — kiedy siedziała w więzieniu w Moskwie, jej mąż był jednym z najbliższych współpracowników Stalina.

Losy Ernsta Fischera, austriackiego komunisty, są zbliżone do losów fińskiej komunistki. W Moskwie, gdzie Fischer spędził długie lata, mieszkali oni w tym samym hotelu „Lux”, znanym wielu przywódcom demokracji ludowych, a czasami nie tylko im (wiele lat przemieszkał w „Luxie” przywódca niemieckiej partii socjal-demokratycznej, Wiener). Fischer mówi o tych samych działaczach Kominternu co i Aino Kussinen. Co prawda jemu udało się uniknąć sowieckiego więzienia i być może dlatego jego oceny niektórych postaci są o wiele życzliwsze, niż u Aino. Fischer, na przykład, podkreśla że Otto Kuusinen był człowiekiem „bardzo kulturalnym”, z wielkim zachwytem pisze o jednym z najbardziej złowrogich działaczy międzynarodowego komunizmu, Manuilskim, z zachwytem też i o Dymitrowie, który palcem nie kiwnął, gdy aresztowano jego najbliższych towarzyszy.

W 1945 roku Ernst Fischer wyjechał do Wiednia, niczego się nie nauczywszy przez 10 lat pobytu w Moskwie. Aino Kuusinen pisze, że pierwsze rozczarowanie do władzy sowieckiej przeżyła w roku 1933, gdy wracając z USA została zmuszona zostawić na ciele wszystkie rzeczy zakupione za granicą. Wybitny teoretyk marksizmu E. Fischer zaczął cokolwiek rozumieć w 1968 roku, po inwazji wojsk sowieckich w Czechosłowacji. Tym niemniej w przedmowie do swej książki oświadcza: „A jednak bez Moskwy nie ma wolności dla Wietnamu! Nie ma nadziei na pokój!”.

Mity umierają jeszcze trudniej niż koty, które — jak mówią — posiadają siedem żywotów.

Tytuł książki Alana Williama „Beria Papers” jest wystarczający by zwrócić uwagę czytelnika. Tym razem jednak mamy przed sobą nie pracę historyczną o życiu jednego z przywódców sowieckich, które obecnie nie coraz większej ilości zalewają rynek księgarski, ale z „dreszczowcem”, o czym wyraźnie napisano na okładce: „Najbardziej sensacyjny dreszczowiec naszych czasów”. Autor napisał już szereg książek w tym samym rodzaju i do tego z dużym powodzeniem. Ale jednocześnie pracował — tak samo jak bohater „Beria Papers” — w radio *Wolna Europa* i tematykę książki zna dobrze. To znaczy na tyle dobrze, na ile

można ją poznać nie mając dostępu do archiwów. Dwaj bohaterowie książki: rosyjski emigrant i angielski dziennikarz, pracujący w radio *Swoboda*, postanawiają napisać dziennik Berii, sfabrykować „falszywkę”. Udaje im się to do tego stopnia, że KGB i CIA razem broniąc *détente* przesładują autorów fałszyfikatu i likwidują ich. W książce tej wszystko brzmi prawdopodobnie: i przestępstwa Berii, i jego rozpusta (najbardziej pikantne szczegóły A. Williams zapożycza z „Opowiadań o marszałku Berii” sowieckiego pisarza i współpracownika KGB, Jurija Krotkova, który uciekł na Zachód), i współpraca dwóch wywiadów — sowieckiego i amerykańskiego. Nieprawdopodobne zaś jest tylko dążenie KGB, by za wszelką cenę zniszczyć rękopis i autorów. Cóż można dodać, jakie nowe demaskowania dodatkowych przestępstw władzy sowieckiej, czy nikczemności jej wodzów do tego, co już jest znane i co nikogo już nie wzrusza. Sam Beria — jak twierdzi angielski pisarz — najlepiej określił sens sowieckiego państwa: „Coś nie dobrze jest w naszym państwie — oświadczył jakoby Stalinowi — jeśli taki człowiek jak ja zajmuje takie stanowisko jak moje”. Stalinowi podobno ten dowcip niezmiernie się podobał. Jak widać miał duże poczucie humoru.

Adam KRUCZEK

« Normalizacja »

W przedmowie do książki Ch. Jelena „Les normalisés” Pierre Daix stwierdza, iż nie przypadkowo idea podobnej pracy zrodziła się w kraju, w którym połowa głosujących pokłada nadzieję w socjalizmie. Studium Jelena jest zdaniem Daix’a dążeniem, by w imię socjalizmu dla dorosłych (Daix nawiązuje tu do poematu Adama Wazyka) przeciwstawić się lansowanemu na Zachodzie mitom na temat postalinowskich zmian w Europie Wschodniej. Ciekawe są z tego punktu widzenia zarówno tematy będące przedmiotem analizy jak i wartości ze względu na które Jelen rozwija swą krytykę — że wspomnimy tu jego negatywny stosunek do ideałów społeczeństwa konsumpcyjnego, tezę o socjalizmie skażonym kłamstwem, rozważania na temat królestwa machinacji i uwagi o rozdwojeniu jaźni normalizowanych i normalizujących w systemie opartym na podwójnej moralności.

Omawiana w pracy Jelena normalizacja polega na przywróceniu w Europie Wschodniej porządku naruszonego przez polski październik, powstanie na Węgrzech w 1956 roku, wiosnę praską i rozruchy robotnicze w Polsce w latach 1970-1971. Porzą-

dek ów nie jest, zdaniem autora, identyczny z systemem stalinowskim, zachowuje jednak wiele jego podstawowych cech.

Co przyniosła normalizacja krajom Europy Wschodniej? Porównanie Polski, Czechosłowacji i Węgier jest bardzo pouczające przede wszystkim ze względu na różnice między tymi krajami jeśli idzie o ich przeszłość, tradycje intelektualne, klimat polityczny i warunki ekonomiczne. Mimo tych różnic scenariusz ruchów masowych był wszędzie — jak podkreśla Jelen — ten sam; zarówno w 1956 roku jak w 1968 i 1970 (?) rewindykacje zaczynały się od postulatów ekonomicznych rozszerzając stopniowo na żądania polityczne skierowane przeciwko scentralizowanemu podstawom władzy.

Idylliczna wizja „nowego człowieka” załamała się wraz ze śmiercią Stalina, ale też wtedy właśnie rozpoczęły się procesy, w toku których „nowi ludzie” przeobrażali się z powrotem w normalnych ludzi, występujących w obronie własnej niezależności. Zahamowanie owych procesów było w każdym z omawianych przypadków treścią „normalizacji” określanej przez Jelena jako „powrót do absolutnej dominacji władzy, odbudowa jej monolitycznego charakteru wyeliminowanie wszystkich sił, które dążyły do wyemancypowania się w stosunku do monopartii” (str. 30). Jest to model, w którym robotnicy nie reprezentują żadnej siły, ani inteligencja nie reprezentuje wiedzy. Model, w którym przeczy się jednocześnie istnieniu jakichkolwiek konfliktów między partią i masami i sławi jedność moralno-polityczną społeczeństw budujących socjalizm.

Przewodnią tendencją książki Jelena jest ujawnienie ciągłości i ukazanie punktów stykowych między stalinizmem a okresem normalizacji. Powrót do normy oznacza wedle niego przywrócenie policji politycznej, jej nieograniczonej władzy, likwidację praw obywatelskich, odbudowę sieci donosicieli, umocnienie ideologicznej kontroli nad kulturą i utrwalenie wpływów ZSSR w krajach satelickich. By uzasadnić swą tezę Jelen analizuje przede wszystkim oficjalne źródła, artykuły wstępne, reportaże, przemówienia polityków i dokumenty partyjne publikowane w krajach Europy Wschodniej starając się odkryć w masie szczegółów, rozproszonych informacji i oderwanych relacji wewnętrzną logikę zabiegów normalizacyjnych. Zastosowana przez autora metoda wykładu, polegająca na zestawieniu w poszczególnych rozdziałach cytatów, oświadczeń, anegdot i wyjątków z reportaży ogranicza — ze względu na nienukioną fragmentaryczność i selektywność takich zestawów — ich wartość dowodową, ale pozwala zarazem czytelnikowi na dokonywanie nowych spostrzeżeń i wyciąganie własnych wniosków.

Czytelnik zastanawiający się nad relacją: stalinizm-normalizacja nie musi zgodzić się do końca z tezą Jelena o zbieżności i kontynuacji. Zebrane przez autora informacje ujawniają swoistość normalizacji w stosunku do poprzedzającego, stalinowskiego etapu. Już sam fakt, że odnotowywane przez autora zmiany na

lepsze (dotyczy to przede wszystkim poziomu konsumpcji) uważać można za wynik nacisku mas, za ustępstwa wymuszone i wywalczone wbrew intencjom i zamierzeniom panujących, stanowi o swoistości postalinowskiego okresu. Jeśli obraz „sytych niewolników” nie jest więc całą prawdą o sytuacji w krajach Europy Wschodniej, to jest tak ze względu na radykalny, masowy charakter ruchów, które doprowadziły do owego stanu względnej sytości. Jakkolwiek władza robi wszystko, by wyprzeć świadomość tych wydarzeń ze społecznej pamięci, poczucie zagrożenia jest nowym czynnikiem w strategii grup rządzących. Z kolei fakt, że władza zabiega o utrzymanie wyższego poziomu konsumpcji starając się wykazać tym samym bezzasadność twierdzenia „nie ma chleba bez wolności” stwarza nowe problemy i rodzi nowe sprzeczności, które nie występowały w epoce stalinowskiej. O sprzecznościach tych pisze Jelen w rozdziałach poświęconych zjawiskom społeczno-obyczajowym okresu normalizacji.

Tutaj też dochodzimy do tego wątku analizy Jelena, który jest szczególnie interesujący dla każdego, kto pragnie zrozumieć wewnętrzne mechanizmy systemu komunistycznego, a mianowicie do rozbieżności między porządkiem formalnym i nieformalnym, czy też stanem założonym i układem faktycznie realizowanym. Rozbieżność ta, uważana przez wielu teoretyków za klasyczny symptom stosunków opartych na działaniu przemocy i na rozżewie między celami panujących i poddanych znajduje wyraz w wielu potocznych uogólnieniach i opiniach, wedle których w komunizmie „wszyscy kradną” i „wszyscy kłamią”.

Fakt, iż autor oparł swe studium przede wszystkim na prasie, w której z istoty rzeczy omawia się przypadki skrajne, utrudnienia oczywiście przeprowadzenie rozgraniczenia między zjawiskami typowymi dla społecznych odchylenia, a przeciętną w stosunku do której owe odchylenia mają miejsce. Ważne jest jednak, i to stanowi o wartości dokonanej przez Jelena analizy, zasygnalizowanie szerokiego zasięgu zjawisk negatywnych i wykazanie ich ścisłego związku z istotą systemu politycznego. Najważniejsze zaś jest w tym wszystkim wskazanie na zmiany w moralnych standartach i ocenach, zgodnie z którymi przeróżne wykroczenia i nieprawidłowości uznawane są za dopuszczalne i zrozumiałe same przez się.

Jeśli bowiem nie jest prawdą, że wszyscy czy nawet większość ludzi w krajach Europy Wschodniej ma ochotę i ochotę do pełnienia kradzieży czy przyjmowania łapówek, to na pewno jest prawdą, że olbrzymia większość przyjmuje te zjawiska jako najzupełniej naturalne i oczywiste, stosując różną miarę przy ocenie kradzieży i oszustw pospolitych i tych, które kierują się przeciw państwu i zachowując rezerwę wobec apeli o ujawnianie i piętnowanie codziennych nadużyć. Krzywa tolerancji jeszcze bardziej wzrasta zaś, gdy przychodzi do fałszowania sprawozdań, informacji i raportów, zwłaszcza gdy są to zabiegi dokonywane

nie dla korzyści jednostkowych, ale, co się często zdarza, w imię interesów organizacyjnych i zbiorowych solidarności.

Czeski szofer przewożący pasażerów „na łebka” samochodem ministerialnym, jego szef tolerujący te praktyki ze względu na świadczone mu przez tegoż szofera drobne uprzejmości, tłumy Polaków pojawiających się na dworcu północnym w Paryżu z masą nielegalnie przewożonych przez granicę towarów, handel świadectwami lekarskimi na Węgrzech i lewe dochody robotników korzystających z tych zwolnień, wszystkie te opisywane w książce Jelena przypadki wyrażają, jego zdaniem, wewnętrzne sprzeczności systemu, w którym lansuje się ideały społeczeństwa konsumpcyjnego nie będąc jednocześnie w stanie zaspokoić pobudzanych w ten sposób potrzeb. Normalizatorzy oczekują przy tym od obywateli przestrzegania zasad, których nie trzymają się sami. Nawołują więc do mówienia prawdy i dopuszczają się bez przerwy kłamstw w kontrolowanej przez siebie prasie, wzywają do szacunku dla interesu ogólnego, nie wahając się naruszać tego interesu, gdy idzie o obronę ich własnych pozycji, propagują racjonalność i gospodarność, ale tolerują takie układy sytuacyjne, w wyniku których regułą staje się naruszanie porządku społecznego. Mamy tu więc do czynienia z dwoma ciągami „moralności”, z dwoma systemami „zachowań skutecznych”, z dwoma programami, z których jeden zachęca do współodpowiedzialności i współuczestnictwa, drugi zaś ową współodpowiedzialność i współuczestnictwo skutecznie blokuje.

Sprzeczności owe leżą u podstaw „rozdwojenia osobowości” (str. 43) ludzi żyjących w krajach komunistycznych, tłumacząc dominację postaw małego realizmu (str. 254) i rzucając światło na orientację samych normalizatorów, którzy tylko z pozoru wydają się stroną czynną nadzorowanych przez się procesów. Jak trafnie zauważa autor, członkowie partii, włączając w to najwyższych jej funkcjonariuszy, z upodobaniem używają określenia „oni” mówiąc o niepowodzeniach i niedostatkach systemu. Owego „oni” jest w istocie równoważnikiem stwierdzenia „to nie ja” podkreślającego swoisty dystans nawet najbardziej gorliwych budowniczych nowego porządku do mechanizmów, w których uczestniczą. Ów dystans jest dla autora symptomem sytuacji, którą zgodnie z marksowską tradycją określa jako wyalienowanie. Mamy tu, jego zdaniem, do czynienia z warunkami, w których sami normalizatorzy „uznają... że nie identyfikują się z organizmem, którego część stanowią...” (str. 264).

Niechęć do pracy, biurokratyzacja społeczeństwa, rządy oligarchii, wzrastająca prywatyzacja, kryzys wszystkich wartości, szaleństwo konsumpcji, wszystko to są, zdaniem autora, coraz poważniejsze choroby systemu kapitalistycznego. Z chorobami tymi próbuje się jednak walczyć poprzez propagowanie mitu, jakoby model wschodnio-europejskiego komunizmu przynosił rozwiązanie trapiących świat zachodni sprzeczności. Książka Jelena jest z tego punktu widzenia ważnym dokumentem, zmusza-

jącym do nowego przemyślenia pytania, czym ma być właściwie socjalizm uwzględniający w swym programie negatywne doświadczenia okresu stalinowskiego i epoki normalizacji.

Maria HIRSZOWICZ

A ten dom - to kraj cały ...

Pisanie książek — pomimo że pisze się ich coraz więcej — w dalszym ciągu nastrocza trudności. Ewa Emil scharakteryzowała w podtytule swoją książkę* jako „powieść współczesną”, mając na myśli nie sposób prezentacji bohaterów i ich świata, ale fakt, że jej akcja toczyła się niedawno i w szerszym sensie nadal podobnie się toczy. Bohaterem książki jest kamienica warszawska z ambitnym zamysłem reprezentowania całego społeczeństwa.

Í ten zamiar byłby się może udał, gdyby nie przesąd na temat co jest, a co nie jest literaturą. Autorka opisuje w przedmowie z jakich wątków autentycznych i ich połączeń powstała jej książka. Czyli jak się ma „prawda” do „fikcji”:

„Parkowa 8’ opiera się tak na relacjach prasy (popaździernikowej — J.K.) jak i na moim własnym doświadczeniu, gdyż przez szereg lat żyłam w Polsce Ludowej.

Zapewniam czytelnika gorąco, że moja powieść jest uczciwa. Opisane w niej zdarzenia mieszczą się w polskiej rzeczywistości tych lat. Co więcej: zło tej rzeczywistości znacznie przekracza zło ukazane w 'Parkowej’.

Żeby uniknąć nieporozumień i pretensji, podkreślam, że nie ma w tej powieści portretów z natury. Na przykład: historia Marii Leskiej jako literatki jest całkowicie prawdziwa, natomiast jej rozkosze z Lonką zdarzyły się w rzeczywistości komuś innemu. Tę metodę łączenia wątków zastosowałam i przy innych postaciach”.

I tu jest pies pogrzebany. Powieść E. Emil jest uczciwa i w codziennych realiach z życia bardzo wiarygodna. Wiarygodne jest przede wszystkim jej tło: warszawska kamienica, niemal w każdym mieszkaniu kilka rodzin, każda — inny świat przeżyć osobistych, odmienny status społeczny, ale wszystkie podpadają pod jeden wspólny mianownik: ich losy osobiste w sporym stopniu kształtuje system polityczny.

* Ewa Emil, *Parkowa 8*, Polska Fundacja Kulturalna, Londyn, 1974, str. 310.

Niestety, poza jednym chyba wyjątkiem nie ma w tej powieści „portretów z natury”. Może warto było narazić się na „pretensje i nieporozumienia” i przepisać z życia kompletnych, całych ludzi. Literatura nie powstaje tak prostą metodą, jak łączenie pół życia jednej postaci z połową życia innej, lub motywowania losu jednej faktami z biografii drugiej.

Najwięcej podejrzeń — nie pamiętając przedmowy — budziła we mnie historia Marii Leskiej, pisarki zniszczonej przez socrealizm, byłej więźniarki obozów koncentracyjnych. W książce chora Leska została siłą zamknięta w mieszkaniu sadystki Lonki. Lonka maltretuje Leską. Ale jak maltretuje! Łącznie z wyrwaniem obcęgami zębów i zmuszaniem do jedzenia kału.

Jeszcze teraz robi mi się niedobrze. Zola był naturalistą, ale nie pamiętam, żeby mi się robiło niedobrze przy lekturze Zoli. W dodatku męczeństwo Leskiej ma miejsce w tej samej kamienicy, w której ludzie aż za dobrze się znają i słyszą.

Następnie wątek Selmy i Roberta. Jest to małżeństwo, para kapusiów na najwyższym szczeblu, ludzie inteligentni, tajemniczy, o pięknej powierzchowności. Dla podkreślenia własnej tajemniczości (i społecznego dystansu) przebierają się kiedyś na wczasach pracowniczych za faraona i Nefretete. Jak w historii Leskiej za wiele wulgarności, okrucieństwa i chamstwa, tak tutaj za wiele subtelności i wyrafinowania. Intelktualnego, politycznego i seksualnego. Leska — wbrew zamierzeniom autorki — budzi tylko niesmak. Robert i Selma są śmieszni.

Skomplikowanych i smutnych losów nie polepsza narracja podzielona na pamiętnikarską — Leskiej, i bezosobową, opisującą pozostałych mieszkańców kamienicy. W dodatku po wyjściu ze swojego monologu wewnętrznego Leska, jak gdyby nigdy nic, w trzeciej osobie wchodzi między ludzi.

Na szczęście niemal wszyscy źle kończą. Pani Olga zabija Selmę, ponieważ Selma szantażem zmusiła ją do współżycia seksualnego. Leska niemal zabija Roberta, za którego nie chce wyjść za mąż pomimo że od dzieciństwa go kocha. Jedno małżeństwo się schodzi, kilka par się rozchodzi, a raczej jedna z bohaterów rozchodzi się z kilkoma mężczyznami. Tylko Tekla Podwórzowa (jedyna w tej książce autentyczna i świetnie napisana postać), grube, cudacznie ubrane „sumienie kamienicy” organizuje samosąd nad parą wyjątkowych kanalii i grzmiąco, na samym końcu, wita jedną z bohaterów, która wyjechała z książki na samym jej początku.

Trzysta dziesięć stron!

Janina KATZ-HEWETSON

Metateza Marka Głogoczowskiego

O „Niezbyt boskiej komedii” Marka Głogoczowskiego* można powiedzieć to, co mówi się o niektórych kobietach: byłaby nieznośna, gdyby nie była taka urocza. Ten pamflet na współczesną cywilizację, uosobioną przez amerykańską *way of life*, jest tak zabawny i prowadzi do tak oczywiście fałszywych konkluzji, że ręce opadają. Trudno powiedzieć z całą pewnością, czy jest to najśmieszniejsza książka napisana przez Polaka, ale niewątpliwie jest najbardziej wolną od kompleksów wschodnioeuropejskich i indywidualnych, jaką zdarzyło mi się czytać. Siła jej płynie w dużej mierze z dokonanego przez autora odkrycia, że znacznie lepiej być młodym, przystojnym, wysportowanym, inteligentnym i wykształconym kawalerem, niż starszawym, łysawym i grubawym facetem bez szczególnych uzdolnień, a za to ze skłonnością do zylaków, głupią i kłótliwą żoną oraz czworgiem dzieci, z których najmłodsze choruje właśnie na świnkę. Niezaprzeczalna słuszność tego spostrzeżenia połączona z przyjemną świadomością, że samemu należy się do tej pierwszej kategorii nadaje wywodom autora sugestywność i celność pointy, które w połączeniu z niezwykłą zdolnością doprowadzania czytelników do furii — szczególnie jeśli należą do kategorii łysawych-grubawych, czyli większości — sprawiają, że jego metadysertacja jest znakomitym środkiem na trawienie intelektualne. Polecam gorąco przeczytanie „Niezbyt boskiej komedii” wszystkim znającym angielski już teraz, a równocześnie apeluję o przetłumaczenie jej co prędzej na polski, najlepiej przez samego autora. Tekst oryginalny zawiera wprawdzie zastrzeżenie, zabraniające wszelkich tłumaczeń, ale miejmy nadzieję, że autor da się ubłagać.

Czytelnikom *Kultury*, którzy czytali na jej łamach „*Freedom on freeway*” lub inne prace tegoż autora, prezentować jego stylu — który nazwałbym: *freewheeling freethinking* — nie trzeba. Na użytek tych, którzy wspomnianych prac nie czytali, powiedzieć można tyle, że jest to generalny przegląd problemów dzisiejszego świata, doprowadzający autora do wniosku, że ludzkość zapchała się (w cywilizację, mechanizację i demokrację) i że, podobnie jak w górach, należałoby się z zapchania wycofać i rozejrzeć za lepszym wariantem.

* Gąsienica (Marek Głogoczowski), *The Not Too Divine Comedy — Meta Ph. D. Thesis*, Edition Samizdat (published by the author); Imprimerie G. Challand 64, rue de Genève, 1225 Chêne-Bourg, Switzerland, 1974.

Srodki zaradcze — mniej techniki, mniej demokracji, mniej wolności — proponowane przez autora kwalifikują jego pracę jako konserwatywną utopię i lokują go w dobrym towarzystwie: Swifta, Chestertona i Huxleya, którzy również pisali dowcipnie i inteligentnie, proponując rozwiązania nie do przyjęcia.

Szczegółowe uzasadnienie „nieprzyjmowalności” konserwatywnych utopii i w ogóle postawy „świat schodzi na psy” zabrałoby zbyt dużo miejsca. Ograniczę się do dwóch tylko punktów, w pesymistycznych refleksjach na temat współczesnej cywilizacji na ogół — nie wiadomo dlaczego — nie poruszanych.

Pierwszą sprawą jest stały przyrost ludności na świecie. Tyśiąc lat temu ludzkość liczyła kilka milionów osobników, dziś liczy ponad trzy miliardy. Można nad tym ubolewać z punktu widzenia ekologicznego, higienicznego, estetycznego, etc., ale z punktu widzenia techniki przeżycia gatunku jest to niebywały sukces. Z tego punktu widzenia fakt *postępu* nie podlega w ogóle dyskusji. Co więcej — próba odwrócenia tego procesu, cofnięcia się w czasie („powrót do dawnej prostoty”) oznaczałaby zagładę pewnego procentu aktualnie żyjącej ludzkości; sądzę, że proporcję pomiędzy zahamowaniem postępu a ilością ludzi, którzy musieliby automatycznie przyplącić to życiem dałoby się ustalić dość ściśle jako rodzaj odwrotności prawa Malthusa. Z uwagi na to wszelkie kuracje oparte na *powrocie* do tego czy owego wydają się poza dyskusją.

Drugą sprawą jest mit „zatrącania wartości humanistycznych” w miarę rozwoju technicznego. Mit ten głosi, że dawniej ludzie przeżywali życie głębiej, pełniej, aktywniej, etc., podczas gdy dzisiaj większość pracuje jak automat, a potem rozwała się przed telewizorem i głupieje do szczytu. Mit ten jest wynikiem demokratyzacji świata. Procent ludzi, wykonujących ogłupiającą pracę był dawniej znacznie większy niż obecnie, tylko ludzie ci się *nie liczyli*. Ci, co się liczyli też nie zajmowali się wyłącznie grą na lutni i czytaniem Homera — większość trawiła czas na grę w kości czy w karty, o wiele bardziej ogłupiające niż telewizja, z której bądź co bądź można się czegoś dowiedzieć. Utrzymywanie się tego mitu wśród humanistycznie zatroskanych intelektualistów świadczy o braku u nich zmysłu demokratycznego. Co prawda Marek Głogoczowski otwarcie kwestionuje wartość demokracji *à la de Tocqueville* („tyrania głupszej większości”), ale na to odpowiem zdaniem, przypisywanym Churchillowi: „Demokracja jest najgorszym z systemów społecznych — wyjąwszy jej alternatywy”.

Co powiedziawszy milknę z uczuciem, że oddałem kilka strzałów armatnich do bujającego wdzięcznie w przestworzach motyla. Sorry — bujaj na zdrowie, motylku!

M. BROŃSKI

Humor krajowy

Nowy redaktor *Szpilek*, Witold Filler, popularnie nazywany jest w środowisku warszawskim „Sturmbannfiller” albo „Eichmann polskiej satyry”.



Wymienianie legitymacji partyjnych: wzywają jednego z niedobitków towarzyszy-Żydów:

- Towarzyszu, jakie jest wasze zdanie w kwestii bliskiego wschodu?
- Ja uważam to samo co nasza partia!
- Towarzyszu, ale powiedzcież własnymi słowami!
- Kiedy ja kubek w kubek w samo co nasze Biuro Polityczne i Komitet Centralny...
- Towarzyszu! No, powiedzcież!...
- Hm... Wilna to nie oddadzą, ale Lwów — kto wie!



W Polsce są tylko dwie rzeczy ważne: pochodzenie i Bóg. Bo jak kto nie pochodzi — to nic nie ma, a jak nie byłoby Bugu, to granica byłaby na Wiśle.



I w Polsce zaczyna się moda na zakładników. Podobno porwano ministra Przemysłu Spożywczego i sprawcy w zamian za jego uwolnienie żądają okupu: trzy kilo polędwicy i trzy kilo szynki eksportowej.



W 1975 roku stopa życiowa tak wzrosła w Polsce, że na każdego Polaka wypadnie po jednej świni. A jak komu nie wystarczy — to mu dołożą po ryju.



Reminiscencje pokopernikowskie: świadczy o tym kursująca po Warszawie parafraza znanego dwuwiersza:

- Wstrzymał mięso — zabrał serek,
- Jego imię — Edward Gierek.



Podobno ogromnie rośnie w Polsce popularność Jaroszewicza.

- ???
- Jak to, nie wiesz? — Wszyscy staliśmy się jaroszami...

Zebrała Zofia HERTZ

KRAJ — BLOK WSCHODNI

29-3-75

W Lublinie zmarł, w wieku 85 lat, Kazimierz Papara, b. Prezes Lwowskiej Izby Rolniczej, wybitny działacz rolniczy w okresie międzywojennym.

1-4-75

Po raz pierwszy została przyznana nagroda Prokuratora Generalnego PRL za całokształt pisarstwa o tematyce społeczno-prawnej. Nagrodę za rok 1974 otrzymał Marek Rymuszko z redakcji *Prawa i Życia*. ■ Zarząd Główny Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich skreślił z ewidencji Leszka Moczulskiego z powodu zaległości składowych.

4-4-75

W PRL rozpoczęła się kampania wymiany legitymacji członków PZPR.

8-4-75

Prezesa Oddziału Warszawskiego Związku Literatów Polskich został Lesław Bartelski. ■ PRL podpisała umowę na sumę 30 milionów rubli na dostawę w 1976 roku do ZSSR partii drukarek wierszowych DW-3, wchodzących w skład jednolitego systemu elektronicznych maszyn cyfrowych.

14-4-75

W Warszawie zmarła Anna Lipińska, wybitna artystka-grafik, wieloletnia współpracowniczka *Szpiltek*, podpisująca swe rysunki pseudonimem Ha-Ga.

15-4-75

W Szczecinie wodowano pierwszy w Polsce chemikaliowiec — statek do przewożenia ładunków chemicznych. Jest on pierwszy z serii 12-tu jednostek tego typu zamówionych przez Norwegię. ■ Polski autokefaliczny Kościół Prawosławny liczy 440 tysięcy wiernych. Są to głównie Ukraińcy i Białorusini i niewielka ilość Rosjan. Oficjalnym językiem w cerkwi jest język rosyjski. Kościół Prawosławny liczy 4 diecezje, 210 księży, 216 parochów, 2 klasztory i 300 cerkwi. ■ Wrocławski Oddział Związku Literatów Polskich, liczący 60 członków, współpracuje z Oddziałem Związku Pisarzy Sowieckich w Nowosybirsku. Prace pisarzy sowieckich są zamieszczane w miesięczniku *Odra*, a polskich — w miesięczniku *Sibirskije Ogni*.

18-4-75

W Moskwie odbyła się konferencja studentów krajów socjalistycznych, w której wzięło udział 450 delegatów m.in. i z Polski. Nie było przedstawicieli Jugosławii, Albanii, Północnej Korei, Chin. Konferencja była poświęcona problematyce ideologicznej i wzmożeniu solidarności między organizacjami studenckimi. Na konferencji podkreślono kierowniczą rolę ZSSR w komunistycznym ruchu młodzieżowym.

22-4-75

Tegoroczna nagroda im. ks. Idziego Radziszewskiego, ufundowana przez Towarzystwo Naukowe KUL'u, została przyznana prof. Konradowi Górskiemu. ■ W Warszawie zawarto porozumienie między PRL a ZSSR w sprawie kooperacji produkcyjnej i współpracy naukowo technicznej w dziedzinie maszyn drogowych i budowlanych. Wartość porozumienia wynosi 800 milionów rubli.

24-4-75

Stan wkładów PKO na dzień 31 marca br. wyniósł 239 miliardów 421 milionów złotych. Jest to wzrost od początku br. o 18 miliardów 46 milionów złotych. ■ *Trybuna Ludu* przewiduje, że w bież. roku przyjedzie do Polski ponad 450 tysięcy turystów polonijnych. Towarzystwo „Polonia” organizuje w ciągu lipca br. „Wielkie spotkanie polonijnych kombatanów z całego świata w związku z 30-tą rocznicą zwycięstwa nad hitlerowskim faszyzmem”. Spotkanie to odbędzie się we Wrocławiu.

25-4-75

W Krakowie zmarł, w wieku 95 lat, Jerzy Zdziechowski, b. poseł na Sejm RP, b. minister Skarbu w latach 1925-26, ekonomista i publicysta. ■ W 1973 roku przeprowadzono w PRL spis kadrowy, który objął wszystkie jednostki gospodarcze (poza resortami obrony narodowej i spraw wewnętrznych, organizacjami politycznymi, społecznymi i rolniczymi). Na 3 miliony 653 tysiące pracowników umysłowych 559 tysięcy posiadało jedynie wykształcenie podstawowe, a 15 tysięcy nie ukończyło nawet i podstawowego.

26-4-75

W bież. roku we wszystkich wyższych uczelniach w Polsce rozpocznie studia 68.826 osób, a więc o 3 tysiące więcej niż w roku ubiegłym. ■ W 1974 roku działały w PRL 33 Izby Wytrzeźwień, które dysponowały 1.400 łóżkami. Przewinęło się przez nie 247 tysięcy pacjentów. Rząd uchwalił, że do końca 1976 roku ma powstać 40 nowych placówek tego typu. Obecnie tylko trzy miasta wojewódzkie nie mają Izby Wytrzeźwień: Koszalin, Olsztyn i Zielona Góra. ■ Prawie 800 tysięcy Polaków zmienia corocznie adresy. Najczęściej z powodów rodzinnych oraz podjęcia pracy zawodowej poza miejscem urodzenia. Najwięcej osób przenosi się do Warszawy i Katowic.

28-4-75

W Moskwie została podpisana umowa między PRL i ZSSR o wzajemnej dostawie statków i wyposażenia okrętowego w latach 1976-1980. PRL ma dostarczyć 75 nowoczesnych jednostek o nośności 900.000 DVT. Dostawy sowieckie do Polski obejmą 157 jednostek pływających, w tym 22 statki pasażerskie. Jest to największa transakcja w historii polskiego przemysłu okrętowego. ■ Z inicjatywy ZSSR z okazji 30-lecia zakończenia wojny powstaje międzynarodowa „Biblioteka zwycięstwa”. Polskim wydawcą będzie Czytelnik. W tej serii ukazać się książki autorów polskich: Jerzego Andrzejewskiego „Popiół i diament”, B. Czeszki „Pokolenie”, W. Kotowicza „Frontowe drogi”, i „Opowiadania” Jerzego Putramenta.

29-4-75

W Koszalinie przekazano do użytku nowoczesną radiofoniczną stację nadawczą, pracującą na nowej fali średniej 249 m. o wysokiej częstotliwości.

1-5-75

Pismo *Życie i nowoczesność*, wychodzące w PRL, stwierdza fakt wyczerpania się rezerw siły roboczej na wsi, która dotąd zasilala przemysł PRL. Dalszy odpływ siły roboczej ze wsi będzie miał poważne konsekwencje dla rolnictwa. ■ W ambasadzie USA w Warszawie odbyła się uroczystość wręczenia prof. Witoldowi Lutosławskiemu dyplomu członka honorowego amerykańskiej akademii sztuki i literatury. ■ Katolicki Uniwersytet Lubelski przygotowuje symposium na temat „Przemiany powojenne w Polsce i w USA w zakresie społecznym, kulturalnym i religijnym”. Symposium odbędzie się od 30. 6. do 6. 7. br. Ze strony amerykańskiej symposium przygotowuje Komitet dla Spraw Kontaktów Kulturalnych z Polską przy Yale University. ■ Wicepremier PRL Jagielski uległ zawałowi serca w czasie „czynu 1-szomajowego”.

5-5-75

Polski oddział Pen Clubu w Warszawie przyznał nagrodę im. Mieczysława Lepeckiego na rok 1975 Władysławowi Bartoszewskiemu za książkę „1859 dni Warszawy”. ■ Znany pisarz Jan Parandowski, przewodniczący polskiego Pen Clubu, obchodzi w bież. roku 80-lecie urodzin.

6-5-75

Z okazji 30-tej rocznicy zakończenia II-ej wojny światowej nadano w PRL czterem jednostkom Wojska Polskiego „Imiona bohaterów walk wyzwoleniczych”. Tymi bohaterami są: marszałek Konstanty Rokossowski, gen. Bolesław Szarecki, płk Antoni Grabowski i chor. Józef Paczkowski. Przy życiu rysie gen. Szareckiego, który w czasie wojny był szefem służby zdrowia 2-go Korpusu, *Trybuna Ludu* pisze: „... gen. prof. dr B. Szarecki, przebywający wówczas na Zachodzie, rozumiał, że jego miejsce jest w kraju. Stara się o zezwolenie na powrót do ojczyzny. Ale władze emigracyjne nie wyrażają zgody. Wówczas sędziwy generał zastosował głodówkę protestacyjną i w ten dopiero sposób wymógł spełnienie swego życzenia. Był pierwszym generałem Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie, który powrócił do kraju. Był to wybór patriotyczny, ale jednocześnie klasowy, bowiem prowadzący świadomie do uznania nowej rzeczywistości społecznej w Polsce”.

7-5-75

W Warszawie podpisano umowę między PRL a ZSSR o współpracy i kooperacji produkcji samochodów ciężarowych. Obustronne dostawy realizowane w ramach tej umowy w latach 1976-1980 osiągną wartość 1,3 miliarda złotych dewizowych. M.in. Polska ma otrzymywać samochody o dużej ładowności marki „Kamaz”.

10-5-75

PRL wydaje około 40 milionów dolarów rocznie na import wełny. Jest to spowodowane systematycznym spadkiem pogłowia owiec. Np. w porównaniu z rokiem ubiegłym spadło ono znów o 6,3 %. ■ Mimo deficytu papieru w PRL i wydawania poważnych sum na import, zbiórka makulatury stale spada. W ostatnich dwóch latach ilość punktów skupu makulatury zmalała o 900, czyli o 1/4. ■ W bież. roku tytułem eksperymentu wprowadzono do 16-tu szkół PRL podstawy informatyki. Od września br. ma być ona wykładana w 300 szkołach średnich. ■ Zmarł w Warszawie, w wieku 79 lat, Stanisław Schimitzek, dyrektor departamentu w przedwojennym MSZ. W 1946 roku wrócił do Polski z emigracji.

12-5-75

W katedrze warszawskiej odbyło się nabożeństwo żałobne za Marszałka J. Piłsudskiego. O nabożeństwie nie było żadnych wzmianek w prasie ani klepsydr, jedynie na katedrze były umieszczone dwie zrobione ręcznie klepsydry z tekstem „w 40-letnią rocznicę śmierci, ku pamięci Józefa Piłsudskiego — Rodacy”. Kościół był przepełniony — dominowali młodzi.

27-5-75

W Warszawie rozpoczęła się światowa konferencja nauczycieli. W Konferencji biorą udział przedstawiciele około 140 organizacji nauczycielskich z całego świata. Tematem: „Kształcenie — zawód — zatrudnienie”.

30-5-75

Artur Rubinstein wystąpił z koncertem w Łodzi.

ZACHÓD — EMIGRACJA

21-3-75

W Klubie Polskim w Johannesburgu odbyło się Walne Zebranie Zjednoczenia Polskiego. Prezesem został wybrany J. Wallas.

4-4-75

Janusz Kowalewski otrzymał nagrodę jubileuszową Kiermaszu Książki S.P.K. w Szwajcarii. Nagroda wynosi 1000 franków szwajcarskich.

5-4-75

W Lucernie (Szwajcaria) odbyła się druga europejska konferencja do Spraw Obrony Praw Człowieka i Samostanowienia Narodów. Na konferencji dr J. Rakowski wygłosił referat o nieposzanowaniu praw człowieka w Polsce. W konferencji w Lucernie wzięło udział około 200 osób. Ze strony polskiej delegatami byli dr J. Rakowski, S. Karalus, A. Chilecki, J. Kazimirski, A. J. Cydzik i K. F. Vincenz.

10-4-75

Zmarł w Toronto, w wieku 64 lat, Eugeniusz Żytomirski, poeta i literat.

11-4-75

W Sztokholmie staraniem samodzielnego koła b. żołnierzy AK odbyła się pogadanka p. Wojciecha Sas-Korczyńskiego pt. „Moje przeżycia wojenne”.

12-4-75

W teatrze belgradzkim „Atelier Z 12” odbyła się premiera „Emigrantów” Mrożka w przekładzie Peter Vujicica. Przedstawienie cieszy się wielkim powodzeniem u publiczności i krytyków.

15-4-75

W Brazylii zaczął się ukazywać Biuletyn pt. „Szczerbiec” wydawany przez Polskich Kombatantów w Brazylii pod redakcją dr. K. Sienkiewicza. Ukazały się już dwa numery. ■ Znany wybitny pisarz ukraiński, Ułas Samczuk, przebywający po wojnie w Kanadzie, obchodził 70-lecie swoich urodzin. Samczuk jest autorem głośnej książki, wydanej przed wojną w Polsce, „Wołyń”, która ukazała się nie tylko w języku ukraińskim, ale również i w tłumaczeniu polskim.

18-4-75

Zarząd Koła S.P.K. Sztokholm zorganizował odczyt Erika Adolfssona pt. „Życie i działalność Jana Styki”. P. Adolfsson jest znanym archiwariuszem — odczyt został wygłoszony w języku szwedzkim.

19-4-75

W Mentonie (Francja) zmarł, w wieku 88 lat, gen. Oleksander Udowiczko. Był on jednym z najbliższych współpracowników atamana Symona Petlury. Przebywał we Francji od 1924 roku. Był przewodniczącym Europejskiej Federacji Ukraińskich Organizacji Wojskowych, przewodniczącym biblioteki im. S. Petlury w Paryżu i autorem historii wojskowych działań ukraińskich z okresu 1917-1921 pt. „Ukraina u wini na derżawnist”, która ukazała się w 1954 roku w Winnipegu. ■ W Genewie odbyło się Sympozjum zorganizowane przez Amnesty International na temat „L'Ethique médicale face aux abus de la psychiatrie à des fins politiques”. W Sympozjum

wzięło udział około 100 psychiatrów i prawników z Europy Zachodniej. ■ W Stowarzyszeniu Polskich Kombatantów w Paryżu prof. Jerzy Lerski wygłosił referat pt. „Misja emisariusza Jura, Londyn-Warszawa-Londyn 1943 i 1944”.

23-4-75

Janusz Deryng wygłosił w Lille, w Société Industrielle du Nord de la France, odczyt pt. „Prospective de l'architecture 'banale'”.

24-4-75

Londyński Obywatelski Komitet Pomocy Uchodźcom Polskim ogłosił sprawozdanie za r. 1973/4. Dochody wyniosły £ 12.489, z czego z wynajmu domów £ 8.511, procenty bankowe £ 3.973. Wydatki £ 10.426, z czego zasiłki £ 1.106, subwencje dla organizacji £ 1.250. „Antokol” został wyjęty z gestii Komitetu i stał się samodzielną *housing association*, związaną z samorządem (angielskim); program rozbudowy Antokolu został zredukowany, bo Anglicy dają £ 101.000 zamiast planowanych £ 160.000.

26-4-75

W Londynie zmarł nagle, w wieku 84 lat, gen. Józef Werobej, dowódca 10-tej dywizji piechoty w kampanii wrześniowej, prezes Związku Sybiraków.

27-4-75

W Galerie Jean Camion w Paryżu odbyła się wystawa obrazów Grażyny Remiszewskiej. ■ Tadeusz Wittlin z USA miał w Rzymie poranek autor-ski, w sali przy polskim kościele Św. Stanisława.

28-4-75

Jan Błoński, profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego, wygłosił na Sorbonie odczyt pt. „Gombrowicz homme de tradition ou homme de révolution”. ■ Pisarze rosyjscy Andriej Siniawski i Władimir Maksimow byli w Mediolanie i w Rzymie w związku z ukazaniem się włoskiej edycji *Kontynentu* oraz ostatniej książki Terza-Siniawskiego „Głos w chórze” w języku włoskim. Poprzednio ukazał się w Rzymie również przekład książki Maksimowa „Kwarantanna”.

29-4-75

Poseł na Sejm PRL, Janusz Zabłocki, wiceprzewodniczący katolickiego koła sejmowego „Znak”, wygłosił w Rzymie odczyt pt. „Rola katolików polskich w polityce europejskiej”. Odczyt nie wywołał żadnego zainteresowania. Obecnych było około 40 osób, w większości Polaków. Prelegent ograniczył się do banalnych spostrzeżeń, przyznając otwarcie, że katolicy polscy praktycznie nie na ten temat nie mają do powiedzenia.

1-5-75

W przepelnionym kościele polskim w Paryżu odbyło się z inicjatywy przyjaciela Polski, Bretończyka, René Le Gac, i przy jego aktywnej pomocy, nabożeństwo zorganizowane przez Związek Polskich Kombatantów za „Zapomnianych męczenników polskich na Wschodzie”. O tym nabożeństwie podała komunikat *Agence France Presse* z wyszczególnieniem 4.300 oficerów polskich w grobach Katynia i tysięcy zmarłych na zestrzeleniu syberyjskim podczas ostatniej wojny, oraz Akowców zestrzelonych do łagrów w latach sowieckich w latach 1945-48, za wszystkich tych, którzy zginęli „za Polskę wolną i niepodległą”.

2-5-75

W Rzymie odbył się kongres międzynarodowej organizacji katolickiej Pax Romana. W obradach wzięła udział polska delegacja w składzie: J. Woźniakowski i M. Skwarnicki z *Tygodnika Powszechnego*, A. Święcicki z *Więzi* i J. Czapliński z wrocławskiego Klubu Inteligencji Katolickiej. M. Skwarnicki został wybrany na jednego z wiceprezesów tej organizacji.

4-5-75

Federacja Polskich Obróńców Ojczyzny we Francji zorganizowała w Paryżu akademię z okazji święta 3-go Maja. Referat wygłosił Witold Nowosad, w części artystycznej wystąpili Ref-Ren (Felix Konarski), Nina Oleńska i Weronika Bell.

6-5-75

W Bibliotece Polskiej w Paryżu odbyło się doroczne zebranie Towarzystwa Historyczno-Literackiego. Po sprawozdaniu z działalności Towarzystwa i Biblioteki Polskiej Stanisław Paczyński i Józef Jakubowski złożyli hołd pamięci Mieczysława Biesiekierskiego, po czym prof. Franck L. Schoell wygłosił odczyt pt. „Le paysan polonais et son village dans l'œuvre de Reymont”. ■ W Cercle Saint Louis w Paryżu została otwarta wystawa obrazów Agnieszki Solawy i Paulette Valentin. ■ W Wiedniu zmarł, w wieku 83 lat, Kardynał József Mindszenty, prymas Węgier od 1945 do 1974. Kardynał Mindszenty spędził 23 lata swego życia bądź w komunistycznych więzieniach, bądź też od 1956 do 1971 w ambasadzie amerykańskiej w Budapeszcie, gdzie schronił się po Powstaniu Węgierskim.

7-5-75

Bibliographie de la France podaje statystykę eksportu książki francuskiej za rok 1974: „Eksport do krajów Europy Wschodniej wyniósł 4.999 tysięcy franków, co odpowiada 0,8 % całości eksportu. Głównym odbiorcą książek francuskich jest Polska. Eksport do ZSSR jest praktycznie nieistniejący”.

8-5-75

W Londynie zmarła, w wieku 71 lat, znana pisarka Teodozja Lisiewicz, wieloletnia prezeska Związku Pisarzy na Uchodźstwie.

9-5-75

Rada Fundacji im. Kościelskich w Genewie przyznała na rok 1975 trzy nagrody literackie, które otrzymali: Wojciech Karpiński i Marcin Król za książkę pt. „Sylwetki polityczne XIX wieku” (po 2.500 franków szwajcarskich), Julian Kornhauser i Adam Zagajewski za książkę pt. „Świat nie przedstawiony” (po 2.500 franków szwajcarskich) oraz Paweł Łysek za „Trylogię śląską” (2.500 Frs.).

11-5-75

Nastąpił nowy rozłam w Polskim Stronnictwie Ludowym, czego objawem były dwa konkurencyjne kongresy Stronnictwa (oba oznaczone nr. 5) — jeden w Londynie w dn. 3-4 maja, drugi w Brukseli w dn. 10-11 maja. Przyczyną rozłamu jest stosunek do „legalnego ośrodka rządowego”. Uczestnicy londyńskiego kongresu są za należeniem do tego ośrodka a uczestnicy kongresu brukselskiego — przeciw.

15-5-75

W ciągu 1974 roku do Niemiec Zachodnich przybyło z bloku sowieckiego 24.312 emigrantów pochodzenia niemieckiego, w tym 7.827 z Polski, 6.541 z ZSSR, 8.487 z Rumunii, 647 z Jugosławii, 423 z Węgier i 387 z Czecho-

słowacji. ■ Przełożony duńskiej prowincji Redeptorystów, ks. prof. dr Józef Grochot, został mianowany wikariuszem biskupim dla spraw duszpasterstwa emigrantów wszystkich narodowości w Danii.

25-5-75

W Rzymie, staraniem S.P.K., odbył się odczyt prof. Jerzego Lerskiego pt. „Misja powojenna pokolenia Polski niepodległej”.

KRONIKA AMERYKAŃSKA

2. 4. br. zmarł w Chicago, w wieku 58 lat, dr Toma Łapiczak, redaktor czasopisma *Ukrainske Zytia*, znany działacz społeczny i polityczny. ■ 26. 4. br. w Nowym Jorku miał miejsce debiut teatralny Danuty Mostwin. Mianowicie staraniem Polskiego Towarzystwa Prawniczego w USA odbyła się prapremiera dramatu „Ja za wodą, ty za wodą...”, osnutego na tle powieści pod tym samym tytułem. ■ Uniwersytet kalifornijski w Berkeley projektuje utworzenie studium ukraińskiego. Na uniwersytecie tym istnieją już studia: polskie, rosyjskie, greckie, holenderskie itp. ■ University of Illinois Press wydała księgę zbiorową ku czci prof. Aleksandra Turyna pod tytułem: *Seria Turyniana — Studies in Greek Literature and Palaeography in honor of Alexander Turyn* (Urbana-Chicago-Londyn, 1974, str. 624). Księga zawiera artykuły naukowe 32 autorów z 12 krajów Europy, USA i Kanady. Turyn, filolog klasyczny, był przed wojną profesorem Uniwersytetu Warszawskiego. W 1941 roku osiadł w USA; obecnie jest profesorem emerytowanym Uniwersytetu stanu Illinois w Urbana. ■ 25. 4. br. zmarł w Buffalo, N.Y., w wieku 68 lat, Chester C. Górski, były kongresman i b. przewodniczący Rady Miejskiej Buffalo. ■ Fundacja Kościuszkowska w Nowym Jorku przyznała 50.000 dolarów (5.000 dolarów rocznie przez 10 lat) Polskiemu Instytutowi Naukowemu w Nowym Jorku. Dotacja ta jest przeznaczona na zapraszanie co roku jednego naukowca z PRL na studia w USA i współpracę w badaniach naukowych Polskiego Instytutu. ■ Geouga Campus uniwersytetu Kent State wprowadził kursy nauczania 19 języków w tym języka polskiego. ■ 36-letni Amerykanin polskiego pochodzenia, E. Sadłowski, został wybrany na stanowisko dyrektora 31-go okręgu Związku Zawodowego Pracowników Stalowni. Okręg, liczący 140 tysięcy robotników, jest największym w USA. ■ Dr Franciszek Renkiewicz, został powołany do sztabu *Immigration History Research Center* przy uniwersytecie Minnesoty, którego głównym zadaniem będzie prowadzenie rozpoczętej w roku 1971 pracy w mikrofilmowaniu dokumentów posiadanych przez różne grupy etniczne w kraju. Dr Renkiewicz zastąpi na tym stanowisku p. Edwarda V. Kolyszko, który przyjął stanowisko dyrektora projektu *Inter-Ethnic Dimensions* w uniwersytecie Illinois w Chicago Circle. Dr Renkiewicz jest autorem pracy naukowej „The Poles in America” oraz redaktorem *Polish American Studies* wydawnictwa Polish-American Historical Association. ■ Mgr Franciszek Proch został dyrektorem wykonawczym Polskiego Komitetu Imigracyjnego (*Polish American Immigration and Relief Committee*). ■ Władze miejskie Chicago zdecydowały budowę centrum społecznego im. Kopernika. Centrum będzie m.in. służyć jako ośrodek działalności polonijnych organizacji emerytów. ■ Dr Witold Saski, profesor farmaceutyki uniwersytetu Nebraska, został wybrany członkiem Amerykańskiej Akademii Nauk Farmaceutycznych. ■ Tygodnik *Pittsbużczanin* od 1 maja br. przechodzi na dwutygodnik z powodu trudności finansowych. ■ 18. 4. br. zmarł w Filadelfii, w wieku 62 lat red. Stefan Sokółowski, długoletni redaktor tygodnika *Gwiazda* i wybitny działacz społeczny. Pochodził z kresów, brał udział

w pracy konspiracyjnej w kraju w czasie wojny; aresztowany przez Gestapo w 1943 roku był przez dwa lata w niemieckim obozie koncentracyjnym; do Stanów Zjednoczonych przybył w 1949 roku. ■ 23. 4. br. prof. L. Kołakowski wygłosił odczyt na uniwersytecie columbijskim w New Yorku pt. „Utopia and anti-utopia in marxism”.

KRONIKA AUSTRALIJSKA

Księża Chrystusowcy przejęli opiekę duszpasterską dla Polaków w Adelajdzie i całej Południowej Australii. ■ 2. 3. 75. Prezesem „Polskiego Koła Kulturalno-Artystycznego” w Melbourne został ponownie znany aktor i piosenkarz Gwidon Borucki. ■ Na „Światowym Zjeździe Delegatów Polonii Wolnego Świata” Polonię australijską reprezentować będą: prezes Rady Naczelnej Organizacji Polskich w Australii inż. E. Hardy, wiceprezes R. Trejster oraz red. J. Dunin-Karwicki. ■ 6. 4. 75. Znany polski konstruktor lotniczy, inż. H. Millicer, stale mieszkający w Melbourne, wygłosił w Polskim Kole Kulturalno-Artystycznym odczyt pt. „Przyszłość lotnictwa cywilnego w Australii”. ■ 12. 4. 75. W ramach I Międzynarodowych Zawodów Hipicznych w Australii (Adelaide) noszących nazwę *International Equestrian Expo 1975*, wystawione zostało przez grupę artystyczną „Tatry” widowisko pt. „Wesele Potockiego”. W widowisku wzięło udział, oprócz tancerzy z zespołu „Tatry”, 400 koni i jeźdźców. ■ W ramach *International Art Exhibition* urządzonej w klasztorze oo. palotyńów w Melbourne wystawili swe prace następujący polscy plastycy: S. Carrington-Zakrzewska, W. Carrington-Zakrzewski, M. Przybylski i K. Prolisko. ■ 18. 4. 75. W związku z rozpoczęciem wykładów języka i literatury polskiej na *Australian National University* (Canberra), urządzono tam wystawę polskich ekslibrisów i księzek. ■ 20. 4. 75. Z okazji rocznicy powstania w getcie warszawskim odbyła się w Melbourne akademia podczas której, obok sześciu świec upamiętniających 6 milionów Żydów zgładzonych przez hitlerowców zapłonęła siódma świeca ku uczczeniu pamięci Polaków którzy zginęli ratując Żydów. Inicjatorem i organizatorem dorocznych akademii „Siedmiu świec” jest Żyd polski J. Zelicki z Melbourne. W części artystycznej wystąpili artyści polscy i żydowscy. Melbourneńska gmina żydowska nie popiera tej imprezy. ■ W ramach dorocznego „Adelaide Arts Festival” w przyszłym roku (lutymarzec 1976) ma odbyć się konkurs fortepianowy pod nazwą „Dom Polski Piano Competition Adelaide”. Do konkursu tego mogą stanąć zaawansowani pianiści do lat 25. Organizatorzy konkursu — Zarząd Domu Polskiego w Adelaide — przewidują 3 nagrody pieniężne: pierwsza \$A 3.000, druga \$A 2.000 i trzecia \$A 1.000. ■ 24. 4. 75. Lidia Chramcow wygłosiła w University of Melbourne odczyt pt. „Jagellonian Poland — XVth and XVIIth centuries”. ■ 8. 5. 75. Mieszkająca w Melbourne Danuta Cywińska-Jurkowska odznaczona została izraelskim medalem „sprawiedliwych” za ukrywanie wraz z matką Żydów w Grodnie, podczas okupacji hitlerowskiej. ■ Przeszło 5 tysięcy osób wzięło udział w demonstracji antykomunistycznej jaka odbyła się w Melbourne — wśród nich wiele osób pochodzących z krajów pozostających w bloku socjalistycznym. Wśród demonstrantów nie zabrakło również Polaków, którzy zgrupowali się pod polską flagą. ■ Według obecnych przepisów imigracyjnych pierwszeństwo w osiedlaniu się w Australii mają członkowie najbliższej rodziny osoby stale zamieszkałej w tym kraju, a następnie osoby które należą do zawodów potrzebnych w danym czasie ekonomii kraju. Niedawno wprowadzone zarządzenie ministra imigracji mówi, że kwalifikacje zawodowe tak męża jak i żony są brane pod uwagę przy selekcji imigrantów do Australii. Znaczy to, że w wypadku kiedy kwalifika-

eje żony będą odpowiadały wymogom rynku pracy w Australii zaś kwalifikacje męża nie uprawniałyby go do selekcji, to żona uznana zostanie za główną żywicielkę rodziny i małżeństwo będzie mogło emigrować do Australii. Dotychczas tylko mężowie uważani byli za głównych żywicieli. ■ 15. 5. 75. W Melbourne państwowa rozgłośnia (3ZZ) należąca do *Australian Broadcasting Commission* zaczęła nadawać na falach średnich obcojęzyczne audycje dla grup etnicznych wchodzących w skład społeczeństwa australijskiego. Raz w tygodniu nadawana jest półgodzinna audycja w języku polskim. W skład sekcji polskiej wchodzi Andrzej Gawroński, Wawrzyniec Czereśniewski, Bogna Sasecka-Sussex, Barbara Schenkel, Daniela Antas i Jerzy Dobrostański. Koordynatorem między dyrekcją rozgłośni a Federacją Polskich Organizacji w Wiktorii są inż. Marian Białowiejski i dr Roland Sussex.

Jerzy DOBROSTAŃSKI

KRONIKA NIEMIECKA

Do polsko-zachodniemieckiego kolokwium, które miało się odbyć w Bonn, nie doszło. Naukowcy i publicyści z PRL zerwali w ostatniej chwili spotkanie, kiedy okazało się, że na liście niemieckich partnerów rozmów *round-table*, znalazł się deputowany do *Bundestagu* dr Herbert Hupka. W 1973 r. ukazała się w Düsseldorfie zbiorowa publikacja pt. „Jak Polacy i Niemcy widzą siebie nawzajem” (*Wie Polen und Deutsche einander sehen, Droste Verlag*). Wówczas osoba dr. Hupki nie przeszkadzała reżymowym politykom. Artykuł jego pióra znalazł się obok referatów Stefana Olszowskiego, Ryszarda Frelka, M. F. Rakowskiego i Ryszarda Wojny. ■ Monachijska *Süddeutsche Zeitung* pisze na temat niemieckich przesiedleńców z Polski: „Sytuacja jest w tej chwili paradoksalna: podczas gdy przesiedleńcy i uciekinierzy byli poprzednio oczekiwaną siłą roboczą, to w okresie rozpowszechniającego się bezrobocia tylko z wielkim trudem znajdują pracę. Ponieważ w Polsce nie ma szkół z niemieckim językiem wykładowym, znajomość języka, przede wszystkim wśród młodych, jest niedostateczna. Wielu nauczyło się w Polsce zawodu, który albo tutaj w ogóle nie istnieje, albo nie ma na niego zapotrzebowania. Władze zwracały już uwagę na to, że „późni przesiedleńcy” (*Spätaussiedler*) pierwsi padają ofiarą redukcji. „Wiele osób pochodzenia niemieckiego, które chcą wyjechać do Republiki Federalnej musi się liczyć z zawodową degradacją”. Polskę opuściło w 1974 roku zaledwie 7.827 etnicznych Niemców. Z tej liczby 30 % wyjechało z PRL „nielegalnie”, tzn. osoby te nie powróciły do Polski z odwiedzin u krewnych w NRF. ■ W połowie marca br. przebywała w Polsce zachodniemiecka delegacja z min. gospodarki Friderichsem na czele. Wzięła ona udział w pierwszej sesji komisji mieszanej do spraw współpracy gospodarczej PRL-NRF. Omawiane były m.in. możliwości wyrównania niekorzystnego dla Polski bilansu w stosunkach handlowych oraz perspektywy wymiany gospodarczej. Deficyt PRL w handlu z NRF wyniósł 2,2 mld marek (ok. 960 mln dol.). Prasa niemiecka stwierdza, że żaden z wielkich projektów kooperacyjnych o jakich mówiono od kilku lat, nie został dotąd zrealizowany. ■ Dzienniki niemieckie podkreśliły zmienną wypowiedź premiera Jaroszewicza, który powiedział: „W 1974 roku staliśmy się po raz pierwszy od szeregu lat importem netto w grupie artykułów rolno-spożywczych. ■ Ludność rolnicza w stosunku do ogółu ludności wynosiła w NRD 12,4 % w NRF 5,9 % w PRL 29,8 %; 1 ciągnik przypada w NRD na 43 ha, w NRF na 10 ha, w PRL na 70 ha użytków rolnych. ■ Uniwersytety w Warszawie, Krakowie, Poznaniu, Wrocławiu, Łodzi, Lublinie, Toruniu i Katowicach dysponowały 590 wolnymi miejscami

na studiach germanistycznych. W roku akademickim 1974/75 ubiegało się o nie 1.400 kandydatów. Studia germanistyczne pobiera łącznie 2.300 studentów. Z tej liczby 300 osób studiuje zaocznie. ■ Zespół wrocławskiej „Pantomimy” pod kierunkiem Henryka Tomaszewskiego przebywał w NRF. Niemieccy recenzenci wysoko ocenili inscenizację przedstawień „Menażeria cesarzowej” i „Odejscie Faustusa”. ■ Po otwarciu przez rząd sowiecki w połowie lutego br. filii Wszczęchwiazkowej Agencji Praw Autorskich w Berlinie Wschodnim, starania idą obecnie w kierunku uruchomienia podobnej placówki w Bonn. Władze NRF nie wyrażają jednak zbyt dużego entuzjazmu, będąc zdania, że obustronność publikacji w NRF i Sowietach nie jest tak liczna, ażeby wymagała założenia specjalnej agencji do tych spraw. Moskwa zmierza wyraźnie do uwikłania niemieckich wydawców w różnego rodzaju kontrakty i umowy, i uzyskania od nich gwarancji, że nie będą publikować sowieckiej literatury podziemnej. ■ Kartoteka Niemieckiego Czerwonego Krzyża obejmuje 306 tys. nazwisk osób mieszkających w PRL, które poczuwają się do pochodzenia niemieckiego i chciałyby wyemigrować do Niemiec Zachodnich. ■ Prezydent Walter Scheel oświadczył: „Moim zdaniem nasze pojednanie z Polską jest rdzeniem naszej polityki wschodniej, tak jak pojednanie z Francją jest rdzeniem naszej polityki zachodniej. Jeśli chcemy pokój w Europie — ale także pokój dla nas samych — musimy uporządkować nasze stosunki z Polską”. ■ Sąd Powiatowy w Gdyni skazał na kary pozbawienia wolności dwóch obywateli NRF. Günter W. Henschel, marynarz, skazany został na 2 i pół roku więzienia za to, że „znieważył pełniących służbę funkcjonariuszy Urzędu Celnego”. Manfred W. Voelkers z Hamburga otrzymał karę 3 lat pozbawienia wolności za „czynną napaść na funkcjonariusza straży portowej”. ■ W dniach 14-16 marca br. w miejscowości Gummersbach, w Nadrenii-Westfalii, obradowała grupa 60 byłych przesiedleńców, którzy omawiali możliwości włączenia się w sposób konstruktywny do procesu normalizacji stosunków z Polską. W obradach uczestniczyli również deputowani do *Bundestagu* — z ramienia SPD M. Gessner i H. Schmidt z FDP. Chadecja nie przysłała swojego przedstawiciela. ■ Przewodniczący Rady Państwa Henryk Jabłoński, przyjmując przedstawicieli Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich, powiedział: „W stosunkach z NRF najistotniejszym zagadnieniem jest doprowadzenie do uregulowania przez NRF... rozszerzeń odszkodowawczych ofiarom hitlerowskich obozów koncentracyjnych oraz zwrotu państwu polskiemu wydatków poniesionych na wypłatę rent”. Jabłoński nie wspominał, że rozmowy w sprawie rent toczą się od dawna i że rząd NRF jest gotów wypłacić Polsce 500 mln marek. Kilka tygodni wcześniej, prof. Gwidon Rysiak z krakowskiego UJ, podczas odczytu wygłoszonego w Nowym Jorku, stwierdził, że odszkodowania niemieckie dla polskich ofiar powinny być wypłacane rządowi PRL, a nie poszkodowanym. Utrzymywał przy tym, że ci ostatni mogliby wydać otrzymane pieniądze na takie przedmioty, jak radia, telewizory i samochody. Rząd PRL natomiast „wyda je na cele pożyteczne”. ■ W końcu marca br. wystąpił przed warszawską TV Ryszard Wojna, który odpowiedział na list telewidza: kolportowane w NRF informacje o tym, jakoby min. spraw zagr. Olszowski podczas pobytu w Bonn w grudniu 1973 zapewnił, że PRL wypuści w 1974 roku 50 tys. Niemców „nie odpowiadają prawdzie”. 10. 4. br. sekretarz stanu Moersch oświadczył w *Bundestagu*, że wypowiedź Wojny „nie jest zgodna z rzeczywistością”. ■ Kanclerz Schmidt w wywiadzie dla *Hamburger Neue Post* opowiedział się za politycznym kompromisem z Warszawą. *Trybuna Ludu* pominęła milczeniem wypowiedzi kanclerza o dążeniu do osiągnięcia kompromisu i chęci spotkania z Gierkiem. ■ Andrzej Szczypiorski ogłosił w bońskim biuletynie *Kultur-politische Korrespondenz*, swoje wrażenia z pobytu w NRF. Radiostacja *Deutsche Welle* nadała fragmenty reportażu w polskim programie. ■ Proreżymowy Związek Polaków „Zgoda” z siedzibą w Bo-

chum, przyznał stypendium doktorantowi Uniwersytetu Wrocławskiego Januszowi Kupczakowi, który przygotowuje rozprawę doktorską poświęconą działalności „Zgody”. ■ Przewodnicząca Bundestagu Anne Marie Renger przyjęła w parlamencie przebywający na występach w NRF 50-osobowy chór akademicki SGPiS. ■ Polsko-niemieckie przedsiębiorstwo handlowe Demex zostało otwarte w Düsseldorfie. Dyrektorem został Wacław Żukowski. ■ 15. 5. br. zakończyła się w Brunzwiku VII sesja komisji podręcznikowej Polski i NRF. Dyskutowano na temat dalszych wspólnych zaleceń w sprawie historii najnowszej i geografii po 1945 r. Pertraktacje nie posunęły się dalej. *Korrespondenz* informuje o silnych naciskach, wywieranych na polskich historyków ze strony rządu NRD. Ponadto w samej delegacji polskiej poglądy są nader zróżnicowane. Minister oświaty Bawarii p. Maier oświadczył, że „Bawaria nie uwzględni zaleceń polsko-zachodnoniemieckiej komisji do spraw podręczników szkolnych”. ■ W Porz-Westhofen k/Kolonii zmarł Wacław Jankowski, były redaktor *Wiariusza Polskiego* w Bochum, opolskich *Nowin Codziennych*, w latach 1928-1939 Jankowski był redaktorem *Gazety Olsztyńskiej*. ■ Rzecznik rządu NRF, Klaus Goelling potwierdził nadal negatywne stanowisko rządu NRF w kwestii odszkodowań dla polskich ofiar obozów koncentracyjnych. ■ 25. 4. br. została zawarta umowa socjalno-ubezpieczeniowa między PRL i NRF. Bonn zamierza wypłacić Polsce 500 mln marek tytułem zaległych rent. ■ Trzy olbrzymie czerparki łyżkowe, o łącznej wartości 145 mln marek (58 mln dol.), zostały zamówione przez PRL w zakładach Kruppa w Rheinhausen (Nadrenia). Czerparki-giganty są przeznaczone dla zagłębia węgla brunatnego w Bełchatowie k/Łodzi. ■ Na posiedzeniu frakcji CDU/CSU jej przewodniczący, prof. Carstens oświadczył m.in., że „zdaniem frakcji parlamentarnej CDU/CSU, Republika Federalna Niemiec jest zainteresowana poprawą stosunków z Polską”. ■ Niemiecscy i polscy naukowcy zamierzają wydać w 1976 roku wspólną pracę zbiorową na temat stanu stosunków pomiędzy PRL a NRF. Publikacja ma się ukazać równocześnie w obu krajach. Pierwsza tego rodzaju książka wydana w Düsseldorfie w 1973 roku, mimo obustronnej umowy, nie ukazała się w Polsce. I tym razem obserwatorzy są pesymistyczni. ■ Ojciec E. Forycki, prezes Związku Polaków w Niemczech, drugiej co do liczności organizacji polonijnej w NRF, od był kolejne rozmowy z prezesem prorządowego Związku „Zgoda”, I. E. Łukaszczykiem. Pertraktacje mają na celu doprowadzenie do fuzji obu stowarzyszeń, zgodnie z życzeniami ambasady PRL w Kolonii. ■ Obowiązkowa wymiana dewiz dla zachodnoniemieckich turystów udających się do PRL podwyższono do 25 marek dziennie. ■ Katolickie jury na XXI Zachodnoniemieckim Festiwalu Filmów Krótkometrażowych w Oberhausen, przyznało pierwszą nagrodę polskiemu reżyserowi Piotrowi Andrejewowi za film pt. „Rozmowa”. ■ Niemieckie rozgłośnie *Deutschlandfunk* i *Deutsche Welle*, nadające programy z Kolonii w językach: polskim, czeskim, słowackim i węgierskim, zostaną połączone. Oznacza to skrócenie i „złagodzenie” programu w ramach *détente*. ■ Zbiórka na Katolicki Uniwersytet w Lublinie, przeprowadzona przez ks. prałata Juliusza Janusza, duszpasterza Oddziałów Wartowniczych i Polonii okręgu Mannheim, przyniosła 6.685 marek (2.674 dol.). ■ Przy ujęciu Elby w Hamburgu, załoga libańskiego frachtowca *Baubda*, wyrzuciła za burtę przed przybyciem straży portowej, półtorej tony haszyszu o wartości 26 mln marek. Kapitan statku, obywatel PRL, został aresztowany. ■ Dr Juliusz Strumiński, wieloletni przewodniczący Komisji Cen w PRL, redaguje w Düsseldorfie biuletyn *Ostwirtschaftsreport*.

Andrzej J. CHILECKI

Pisane 13 maja 1975 r.

NOWY CENNIK BIBLIOTEKI » KULTURY «

DO CZYTELNIKÓW

Wydając nasze książki i ustalając ich cenę we Frankach, podawaliśmy jednocześnie ceny w dolarach dla ułatwienia naszym Czytelnikom i przedstawicielom. Ceny dolarowe były podawane według kursu dnia z małą nadwyżką, gdyż inkaso każdego, nawet najmniejszego czeku kosztuje około 0,50 dolara. W związku jednak z dewaluacją dolara, która przekroczyła od początku bież. roku 20 % nasz przelicznik nie tylko przestał być aktualny, ale jest dla nas po prostu katastrofalny, nie mówiąc o tym że koszty druku, papieru i poczty wzrosły od ub. roku prawie o 100 %. Ponieważ inkaso czeku zagranicznego trwa kilka tygodni dopiero ostatnio stwierdziliśmy jak ogromne ponieśliśmy straty. Ten stan nie może trwać dalej jeżeli chcemy nadal wydawać i dlatego zmuszeni byliśmy od połowy maja bież. roku liczyć 4 F. za jednego dolara, co i tak może okazać się prowizoryczne. Jednocześnie, tak jak od dawna robią wszyscy francuscy wydawcy musieliśmy podnieść ceny we frankach na niektóre dawniej wydane książki. Naszym celem nigdy nie był zarobek, ale musimy pokrywać nasze koszty, które stale rosną. Podwyższając wydatnie na rok bieżący prenumeratę *Kultury* i *Zeszytów Historycznych* — myśleliśmy że ten cel osiągniemy, tymczasem — już po raz trzeci — tak się nieszczęśliwie dla nas złożyło, że zanim zaczęliśmy otrzymywać pieniądze za zainkasowane чеки dolar zaczął spadać i spada nadal. W rezultacie dziś otrzymujemy za roczny abonament *Kultury* trochę mniej niż w ub. roku, przed podwyżką. Obecnie nie możemy zmieniać ceny prenumeraty, ale będzie to znów koniecznością jeżeli do końca roku nie ustabilizuje się na świecie kurs walut.

Mając nadzieję, że nasi wierni Czytelnicy nas zrozumieją

podajemy poniżej nowy cennik. Zmiany dotyczą również Wielkiej Brytanii. Inne kraje europejskie przekazują nam czeki we Frankach.

REDAKCJA

	Stron	F.
Allilujewa, S.: <i>Dwadzieścia listów do Przyjaciela</i> (Seria „Archiwum Rewolucji”)	256	20,00
Amalrik, A.: <i>Czy Związek Sowiecki przetrwa do roku 1984?</i>	96	10,00
Andrzejewski, J.: <i>Apelacja</i>	112	12,00
Arzak, M. (Ju. Daniel): <i>Odkupienie i inne opowiadania</i>	128	9,00
Bieńkowska, D. I.: <i>Pieśni suchego języka</i> (Poezje)	64	9,00
Bieńkowski, Wł.: <i>Drogi wyjścia</i> (Seria „Dokumenty”)	88	10,00
Bieńkowski, Wł.: <i>Motory i hamulce socjalizmu</i> (Seria „Dokumenty”)	128	12,00
Bierezin, J.: <i>W a m</i> (Poezje)	76	12,00
Bobkowski, A.: <i>Coco de Oro</i> . Szkice i opowiadania	272	20,00
Bobkowski, A.: <i>Szkice piórkiem</i> (Francja 1940-1944) t. I/II	760	25,00
Busza, A.: <i>Znaki wodne</i> (Poezje)	64	7,00
Chciuk, A.: <i>Rejs do Smithton — Stary ocean</i>	208	12,00
Chciuk, A.: <i>Wizyta w Izraelu</i>	160	20,00
Czapski, J.: <i>O k o</i>	228	12,00
Czaykowski, B.: <i>Point-no-point</i> (Poezje)	96	10,00
Czaykowski, B. i Sulik, B.: <i>Polacy w Wielkiej Brytanii</i>	581	30,00
Dobek, Cz.: <i>Drugi rzut i inne opowiadania</i>	288	17,00
Gombrowicz, W.: „Dzieła Zebrane”, t. VI „ <i>Dziennik (I) 1953-1956</i> ”	304	30,00
Gombrowicz, W.: „Dzieła Zebrane”, t. VII „ <i>Dziennik (II) 1957-1961</i> ”	256	30,00
Gombrowicz, W.: „Dzieła Zebrane”, t. VIII „ <i>Dziennik (III) 1961-1966</i> ”	224	25,00
Gombrowicz, W.: „Dzieła Zebrane”, t. I „ <i>Ferdynand</i> ”	292	24,00
Gombrowicz, W.: „Dzieła Zebrane”, t. IV „ <i>Kosmos</i> ”	160	15,00
Gombrowicz, W.: „Dzieła Zebrane”, t. IX „ <i>Opowiadania</i> ”	208	24,00
Gombrowicz, W.: „Dzieła Zebrane”, t. III „ <i>Pornografia</i> ”	168	15,00
Gombrowicz, W.: „Dzieła Zebrane”, t. V „ <i>Teatr</i> ”	224	18,50
Gombrowicz, W.: „Dzieła Zebrane”, t. II „ <i>Trans-Atlantyk</i> ”	132	14,00
Gombrowicz, W.: „Dzieła Zebrane”, t. X „ <i>V a r i a</i> ”	544	50,00
Greene, G.: <i>Moc i chwala</i>	247	15,00
Grynberg, H.: <i>Zwycięstwo</i>	96	9,00
Grzędziński, J.: <i>Maj 1926</i> (Seria „Dokumenty”)	112	9,00

	Stron	F.
Guilley-Chmielowska, H.: <i>Spotkania na galerii</i>	192	9,00
Guzy, P.: <i>Stan wyjątkowy</i>	144	12,00
Haupt, Z.: <i>Pierścień z papieru</i>	245	13,50
Heller, M.: <i>Świat obozów koncentracyjnych a literatura sowiecka</i>	324	30,00
Herling-Grudziński, G.: <i>Drugie przyjscie</i>	250	13,50
Herling-Grudziński, G.: <i>Dziennik pisany nocą</i>	192	25,00
Herling-Grudziński, G.: <i>Skrzydła ołtarza</i>	120	10,00
Herling-Grudziński, G.: <i>Upiory rewolucji</i>	176	15,00
Hersch, J.: <i>Polityka i rzeczywistość</i>	225	9,00
Hertz, Al.: <i>Refleksje amerykańskie</i>	260	16,50
Hertz, Al.: <i>Szkice o ideologiach</i>	160	12,00
Hirszowicz, M.: <i>Komunistyczny Lewiatan</i>	132	15,00
Hłasko, M.: <i>Cmentarze. — Następny do raju</i>	258	30,00
Hłasko, M.: <i>Opowiadania</i>	188	25,00
Huxley, A.: <i>Nowy wspaniały świat poprawiony</i>	121	7,00
Iwaniuk, W.: <i>Ciemny czas</i> (Poezje)	80	8,00
Iwaniuk, W.: <i>Wybór wierszy</i>	108	7,50
Iwanow, I.: <i>Czy istnieje życie na Marsie?</i>	112	7,00
Iwanow, I.: <i>Jest li żyzn na Marsie?</i>	102	7,00
Iwańska, A.: <i>Świat przetłumaczony</i>	240	15,00
Jedlicki, W.: <i>Klub Krzywego Koła</i> (Seria „Dokumenty”)	176	10,00
Kalinowski, Fr.: <i>Lotnictwo Polskie w Wielkiej Brytanii (1940-1945)</i>	372	36,00
Katelbach, T.: <i>Rok złych wróżb (1943)</i>	223	8,00
Koestler, A.: <i>Fragmety wspomnień</i> (Seria „Archiwum Rewolucji”)	240	13,50
Korboński, St.: <i>Polskie Państwo Podziemne</i>	288	40,00
Kozeliwec, I.: <i>Ukraina 1956-1968</i> (Seria „Dokumenty”)	272	18,50
Kot, St.: <i>Jerzy Niemirycz, inicjator Ugody Hadziackiej</i>	80	7,00
Kowalik, J.: „ <i>Kultura</i> ” 1947-1957. Bibliografia Kultury	392	15,00
Kowalik, J.: <i>Materiały do historii prasy polskiej na obczyźnie 1939-1962</i>)	80	9,00
Kulski, J.: <i>Stefan Starzyński w mojej pamięci</i> (Seria „Dokumenty”)	144	12,00
<i>Kultura masowa — opr. Cz. Miłosz</i> (Seria „Dokumenty”)	145	6,00
Lednicki, W.: <i>Rosyjsko-polska entente cordiale 1903-1905</i>	144	9,00
Lewickij, B.: <i>Terror i rewolucja</i> (Seria „Archiwum Rewolucji”)	288	15,00
Lipski, L.: <i>Piotruś</i>	80	7,00
Łobodowski, J.: <i>Złota Hramota</i>	190	9,00
Mackiewicz, St.: <i>Polityka Becka</i>	190	17,00
Madej, B.: <i>Piękne kalalie albo dojrzewanie miłości</i>	168	24,00

	Stron	F.
Mieroszewski, J.: <i>Modele i praktyka</i>	224	20,00
Miłosz, Cz.: <i>Człowiek wśród skorpionów</i>	128	15,00
Miłosz, Cz.: <i>Gdzie słońce wschodzi i kędy zapada</i>	96	15,00
Miłosz, Cz.: <i>Miasto bez imienia (Poezje)</i>	72	12,00
Miłosz, Cz.: <i>Prywatne obowiązki</i>	256	30,00
Miłosz, Cz.: <i>Widzenia nad zatoką San Francisco</i>	176	22,00
Mostwin, D.: <i>Ameryko! Ameryko!</i>	491	15,00
Mostwin, D.: <i>Ja za wodą, ty za wodą...</i>	304	30,00
Mostwin, D.: <i>Olivia</i>	238	15,00
Nowakowski, T.: <i>Happy-End</i>	208	18,50
Odojewski, Wł.: <i>Zasypie wszystko, zawieje...</i>	484	45,00
Orłó, K.: <i>Cudowna melina</i>	180	20,00
Pankowski, M.: <i>Smagła swoboda</i>	55	5,00
Pawlikowski, M. K.: <i>Wojna i sezon</i>	308	15,00
Pietrkiewicz, J.: <i>Poematy londyńskie i wiersze przedwojenne</i>	200	13,50
<i>Powszechna Deklaracja Praw Człowieka w językach: polskim, białoruskim, czeskim, litewskim, rosyjskim, słowackim i ukraińskim (Seria „Dokumenty”)</i>	64	10,00
Preiss, P.: <i>Biurokracja totalna</i>	208	18,50
<i>Program Związku Komunistów Jugosławii (Seria „Dokumenty”)</i>	276	8,00
<i>Przeciw niewolnictwu (Seria „Dokumenty”)</i>	64	10,00
Reale, E.: <i>Raporty. Polska 1945-1946 (Seria „Dokumenty”)</i>	288	18,50
Rembek, St.: <i>W polu</i>	309	8,00
De Roux, D.: <i>Rozmowy z Gombrowiczem</i>	160	15,00
Scherer, O.: <i>W czas morowy</i>	208	13,50
Singer, B.: <i>Od Witosa do Stawka</i>	400	18,00
Sołżenicyn, A.: <i>Archipelag GULag</i>	560	60,00
Sołżenicyn, A.: <i>Krąg pierwszy, t. I/II (wydanie drugie)</i> ..	704	60,00
Staliński, T.: <i>Cienie w pieczarze</i>	368	30,00
Staliński, T.: <i>Romans zimowy</i>	208	24,00
Staliński, T.: <i>Sledztwo</i>	224	25,00
Stempowski, J. (Hostowiec, P.): <i>Eseje dla Kassandry</i>	300	20,00
Stempowski, J. (Hostowiec, P.): <i>Od Berdyczowa do Rzymu</i> ..	416	35,00
Sukiennicki, W.: <i>Legenda czy rzeczywistość (Seria „Dokumenty”)</i>	128	9,00
Swinarski, A. M.: <i>Sasza i bogowie</i>	280	15,00
Tarniewski, M.: <i>Ewolucja czy rewolucja</i>	288	40,00
Toporska, B.: <i>Siostry</i>	216	13,50

	Stron	F.
Vincenz St.: <i>Po stronie pamięci</i>	256	13,50
<i>We własnych oczach (Antologia współczesnej literatury sowieckiej)</i>	524	24,00
Weil, S.: <i>Wybór pism, opr. i przekład Cz. Miłosz</i>	384	15,00
<i>Węgry, opr. Cz. Miłosz (Seria „Dokumenty”)</i>	126	9,00
Wierzyński, K.: <i>Sen mara (Poezje)</i>	128	11,00
Winczakiewicz, J.: <i>Izrael w poezji polskiej (Antologia)</i>	354	25,00
Witos, W.: <i>Moje wspomnienia, t. I/III</i>	1324	99,00
Wittlin, J.: <i>Orfeusz w piekle XX wieku</i>	654	34,00
Wygodzki, St.: <i>Zatrzymany do wyjaśnienia</i>	208	16,50
Zaremba, P.: <i>Historia Polski, Cz. I</i>	588	25,00
Zawadzka-Wetz, A.: <i>Refleksje pewnego życia (Seria „Dokumenty”)</i>	240	16,50
<i>Znasz-li ten kraj? (Seria „Dokumenty”)</i>	348	24,00
Żeleński, Wł.: <i>Zabójstwo min. Pierackiego</i>	104	10,00
<i>Zeszyty Historyczne poświęcone najnowszej historii Polski, ukazywały się od roku 1962 do 1972 włącznie dwa razy do roku. Od 1973 ukazują się co kwartał: w lutym, maju, sierpniu i listopadzie.</i> Każdy Zeszyt liczy 240 (lub 256) stron. Zeszyty Nry 2, 4, 5, 6, 7 i 15 są wyczerpane. Ukazał się Zeszyt 32		25,00

Dla ułatwienia obliczeń Czytelnikom z USA, Kanady i krajów Ameryki Południowej podajemy jakiej kwocie w dolarach równa się cena frankowa:

F.	\$	F.	\$
6,00	= 1,75	18,50	= 5,15
7,00	= 2,00	20,00	= 5,50
8,00	= 2,25	22,00	= 6,00
9,00	= 2,50	24,00	= 6,50
10,00	= 2,75	25,00	= 6,75
11,00	= 3,00	30,00	= 8,00
12,00	= 3,25	34,00	= 9,00
13,50	= 4,00	35,00	= 9,50
14,00	= 4,00	40,00	= 10,50
15,00	= 4,25	45,00	= 10,75
16,50	= 4,75	50,00	= 13,00
17,00	= 4,75	60,00	= 15,50
18,00	= 5,00	99,00	= 25,50

Prosimy Czytelników, by przy niewielkich zamówieniach dodawali 10 % ogólnej sumy na koszty przesyłki — przy większych 5 %.

Listy do Redakcji

Middlefield, 2 maja 1975.

Szanowny Panie Redaktorze,

Wspomnienie p. Tadeusza Katelbacha o moim ojcu pt. „Wańkowicz bez szminki” (*Kultura*, nr 331, kwiecień 1975) roi się od insynuacji, przemilczeń, nieściłości i tendencyjnych naswietleń. Sprostowanie ich wymagałoby artykułu dłuższego niż ta pośmiertna napaść. Ograniczam się więc do poruszenia tylko dwu spraw:

Pan Katelbach pisze, że „Monte Cassino” ukazało się w Polsce „bez nazwiska Andersa”. To nieprawda. Gen. Anders zidentyfikowany jest jako dowódca Korpusu już na pierwszej stronie pierwszego rozdziału książki, a potem jego nazwisko — często w dłuższym kontekście — powtarza się 16 razy. Na dowód przesyłam fotokopię indeksu nazwisk z „Monte Cassino” (wydanie 1958 rok), pierwszej w kraju książki o tej bitwie.

Pan Katelbach pisze, że przy czytaniu „Na tropach Smętka” obawy przed represjami w stosunku do Mazurów wymienionych z nazwiska w książce przewyciężyły jego senność. Niepotrzebnie. Nie powinien był przerywać drzemki, gdyż — jak oświadczył dr Jan Kaczmarek, ówczesny prezes Związku Polaków w Niemczech — autor przeprowadził przed drukiem książki staranną konsultację z odpowiednimi urzędami, instytucjami i działaczami, i w rezultacie tych środków ostrożności żadnej z wymienionych w książce osób nie spotkały represje.

Wyrazy poważania łączę,

Marta ERDMAN

Berks, Anglia, 6 maja 1975.

Szanowny Panie Redaktorze,

W ciągu ostatnich 24 lat czynniki państwowe awansowały oficerów. Awanse te były ogłaszane w Dzienniku Personalnym G.I.S.Z. Była podana data awansu i stopień. Ogłoszenie w Dzienniku Personalnym G.I.S.Z. było dokumentem, na który mógł się powoływać awansowany oficer, a data awansu dawała datę starszeństwa. Awanse takie mogły powstać tylko na skutek tego, że czynniki nadające awans były upoważnione do tego przez Prezydenta R.P.

Od roku 1954 zaczęły ukazywać się awanse oficerskie — nadawane przez czynniki nie upoważnione do nadawania awansów przez Konstytucyjnego Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej. Awanse takie stwarzały dla awansowa-

nego oficera ten kłopot, że nie mógł on powołać się na urzędowy Dziennik Personalny G.I.S.Z. — a tym samym — starszeństwo-było-niewiadome.

Stan taki powstał na skutek tego, że Prezydent R.P. opierając się na Art. 13 lit. d, Ustawy Konstytucyjnej — zwolnił w dniu 4 sierpnia 1954 r. gen. Władysława Andersa z zajmowanych przez niego wszystkich państwowych stanowisk. Od tej daty wszelkie państwowe czynności gen. Władysława Andersa były uznane przez Prezydenta i Rząd R.P. za nielegalne. Tym samym awanse nadawane przez gen. Władysława Andersa były nielegalne w świetle prawa Konstytucyjnego. Rząd R.P. uznał awanse nadawane przez gen. Wł. Andersa — za awanse „prywatne”.

Szereg oficerów awansowanych przez gen. Wł. Andersa — w pełni zasługiwało na awans. Jednak dzięki temu, że awanse te nie mogły się ukazać w żadnym piśmie urzędowym — awansowani oficerowie — nie mogli się powołać ani na urzędowy Dziennik Personalny G.I.S.Z. — ani na starszeństwo.

W warunkach obecnych — tak zwanego „Zjednoczenia” — wydaje się wskazane i jest możliwe uprawnienie tych „awansów prywatnych”.

B. WANKE

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Jan Kowalski (pseudonim) New York. — Nie zamieścimy. Jeśli wysuwa się oskarżenia, i do tego tak poważne, to trzeba mieć odwagę podpisać je własnym nazwiskiem. Niepokojąco mnożą się te anonimy na emigracji.

Wychodzący od 1932 roku

ZWIĄZKOWIEC

1636 Bloor St. W. - Toronto, Ont. M6P 1A7, Canada

jest jedynym pismem Polonii ukazującym się dwa razy w tygodniu. Chcesz wiedzieć o Kanadzie, być dobrze poinformowanym o życiu Polonii, mieć bezstronne wiadomości i omówienia wydarzeń międzynarodowych, być w kontakcie z życiem Polaków na całym świecie i w dalekiej Ojczyźnie — czytaj i prenumeruj

PÓŁTYGODNIK „ZWIĄZKOWIEC”

W każdym numerze dwie powieści nowoczesnych pisarzy polskich, artykuły z dziedziny wiedzy, wiadomości, specjalnie redagowane działy: „SPORT” — „ZWIĄZKOWIEC DLA DZIECI” — „KOBIETA W ŚWIECIE I W DOMU”

POMÓŻCIE NATYCHMIAST. SYTUACJA JEST
KRYTYCZNA. KRYZYS EKONOMICZNY TEGO KRAJU
DOTKNĄŁ DOTKLIWIE I P.O.S.K.

POLSKI OŚRODEK SPOŁECZNO-KULTURALNY
P.O.S.K.

prosi społeczeństwo polskie w wolnym świecie o doraźną i szyb-
ką pomoc finansową dla dokończenia dzieła budowy gmachu
w Londynie.

Każda polska organizacja i każda osoba może pomóc w miarę
swych możliwości:

- stając się Fundatorem POSK przez wpłatę co najmniej £ 250;
- stając się Członkiem POSK za jednorazową wpłatą £ 10;
- Członkowie wpłacając dodatkowe udziały: [dodatkowe prawo
głosu — £ 10];
- wpłacając dobrowolny dar każdej wysokości.

Czeki i przekazy pieniężne wysyłać na adres:
POLISH SOCIAL and CULTURAL ASSOCIATION
9, PRINCES GARDENS, LONDON, S.W.7.



Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZINSKI
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, Mesnil-le-Roi, 78600 - Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.
Dépôt Légal : 2^e Trimestre 1975.

KULTURA

REDAKTOR : JERZY GIEDROYC
Adres Redakcji : 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 Maisons-Laffite : Telefon : 962-19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	roczna
AFRYKA POLUDNIOWA : Dr F. Kaluza, 214 Giovanetti Str., New Muckleneuk, Pretoria, 0002	R. 2,00	R. 10,00	R. 18,50
ARGENTYNA : Natalia Dabrowska, « Libreria Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires, Suc 25	F. 11,00	F. 65,00	F. 120,00
AUSTRALIA : Polish Book Depot VISTULA, Daking House, Rawson Place, Sydney NSW, 2000, tel. 212-2013	\$ A 2,00	\$A. 11,00	\$A. 20,00
AUSTRIA : Henryk Odianicki-Pocobut, Wien I, Schönlatern- gasse Nr 5/2. Stiege/Türe 14, Tél. 52-40-762	Sch. A. 55,00	Sch. A 325,00	Sch.A. 575,00
BELGIA : Janina Korab Brzozowska-Csaky, 19, Armédee Lynen, app 57, 1030 Bruxelles, Nr konta pocztow. 7315-20 Tel. 218-69-23	F.B. 110,00	F.B. 650,00	F.B. 1200,00
BRAZYLIA : Janina Pomian-Piatkowska, Al Barao de Li- meira 1022, apt 74 CELIS., 01202 Sao Paulo (SP) tel. 221- 1724	\$ US 2,50	\$ US 13,00	\$ US 24,00
FRANCJA : do nabycia w redakcji « KULTURY » i w księ- garniach polskich w Paryżu	F. 11,00	F. 60,00	F. 110,00
HOLANDIA : Mrs J. Minkiewicz, Wielingenlaan 6, Vlissingen, (01184) 4073, Postgiro 1379176	Fl. h. 8,00	Fl. h. 45,00	Fl. h. 80,00
KANADA : Krystyna Krakowska, 5109 Blvd de Maisonneuve O., Montreal, Que, H4A 1Z1 Tel 486-2839; B. Krasuski, 8 High Park Blvd., Toronto, Ont. M6R 1M4; Very rev. Donald Malinowski, Coralberry Ave., Winnipeg, Man. R2V 2P2; Tel. 339-5577; Z. Micherdzinski, 285-287 Ottawa St.N., Hamil- ton, Ont. L8H 3Z8, Tel. 545-2115; Henryk Slowikowski, 14 Southern Drive, Ottawa, Ont. K1S 0P4; « Polish Voice Publishing » Co., 1089 Queen str. W. Toronto 145 Ont., Polish Alliance Presse, Ltd. (« Zwiakowiec »), 1636 Bloor St. W., Toronto, Ont., M6P 1A7	\$ Can. 2,50 DM. 7,00 F. 11,00	\$ Can. 13,00 DM. 40,00 F. 65,00	\$ Can. 24,00 DM. 75,00 F. 120,00
NORWEGIA : Br Lubinski, Klommenstengt 8, Moss — SZWAJCARIA : Maria Wasung, 6, r. des Lilas, Case postale, 1211 Genève 7. Tel. 33-34-20, Nr konta pocztow. 12.14431 ..	F.S. 9,50	F.S. 50,00	F.S. 85,00
SZWECJA : Norbet Zaba, Kallskärgatan 3/IV, 115 33 Stockholm., Tel. (08) 60-15-70	K.S. 11,00	K.S. 65,00	K.S. 120,00
U.S.A. : S. Dobczynski, Alma Shipping Co, 121 St. Marks Pl., New York N.Y. 10009; L. Dudarew-Ossetynski, 1603 No Fuller Ave., Hollywood, Cal. 90046, tel. 876-8868; M.E. Dobrowolska, 4419 N. Pershing Dr., Arlington, Va. 22203; Ada Dziewanowska, 41, Katherine Road, Watertown, Mass. 02172. T. Konopacki, 27437 Detroit Road, Cleveland, Ohio, 44145. Tel. 8714847; Ch. M. Kretowicz, 4254-34th St., San Diego, Cal. 92104, tel. 284-6271; V.B. Kwast, 376, Wallingford Terr., Union, N.J. 07083, Tel. MU 8-0346, M. Kosciuch, 12331 French Road, Detroit, Mich 48234; Polish Book Store, 7970 Summerdale Ave., Philadelphia, Pa, 19111; The Polish Book Importing Co, 410 Matchaponix Av., Jamesburg, N.J. 08831. POLONIA, Bookstore, 2921 Milwaukee Ave., Chicago, Ill. 60618. R.J. Sas-Babczynski, 10472 Barnwall Street, Bellflower Cal. 90706 Tél. 867-1857; Jan Wojcik 674 Farmington Ave., New Britain, Conn. 06053; Księgarnia Ludowa, Peoples Book Store, 5347 Chene Str., Detroit, Mich., 48211	\$ US 2,50	\$ US 13,00	\$ US 24,00
W. BRYTANIA : Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London, S.W 5. ORD.	£ 0,95	£ 5,80	£ 10,50
WŁOCHY : Witold Zahorski, Roma, via Gallia 60 int. 27., Tel. 75-67-241	F. 11,00	F. 65,00	F. 120,00

W krajach niewymienionych prenumerata roczna - F. 120, półroczna - F. 65.
Przesyłka pojedynczego numeru: F. 1,40.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe:
INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, Le-Mesnil-le-Roi,
par 78600 - MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18-228-56 (z Francji)
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 (z zagranicy).

Nowości wydawnicze

TOM 253 — STEFAN KORBOŃSKI

POLSKIE PAŃSTWO PODZIEMNE

Przewodnik po Podziemiu z lat 1939-1945

Książka zawiera rozdziały: *Warunki w jakich rodziło się i rozwijało Polskie Państwo Podziemne.* — *Służba Zwycięstwu Polski.* — *Związek Walki Zbrojnej.* — *Delegatura zbiorowa.* — *Delegaci Rządu.* — *Biuro Polityczne i CKON.* — *Delegatura Rządu.* — *Rozporządzenia, oświadczenia i odezwy delegatów Rządu.* — *Armia Krajowa.* — *Walka cywilna.* — *Kierownictwo Walki Podziemnej (KWP).* — *Krajowa Reprezentacja Polityczna (KRP).* — *Rada Jedności Narodowej (RJN).* — *Podziemie BBWR-owskie i OZON-owe.* — *Podziemie ONR-owskie.* — *Podziemie komunistyczne i komunizujące oraz ANTYK.* — *Prasa i wydawnictwa podziemne.* — *Żydzi pod okupacją.* — *Kolaboracja.* — *Katyń.* — *Przed „Burzą”.* — *„Burza”.* — *Powstanie Warszawskie.* — *Początek okupacji sowieckiej.* *Ostatnie miesiące Polskiego Państwa Podziemnego.* — *Epilog.* — *Lista „Sprawiedliwych wśród narodów”.* *Indeks nazwisk.*

Str. 288.

Cena F. 40,00 (dol. 10,50)



TOM 255 — ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT TRZYDZIEŚTY DRUGI

zawiera m.in. prace: *Świadectwo Smrkowskiego* w opr. Gustawa Herling-Grudzińskiego; J. Lewandowskiego: *Podróż za miedzę*; Bogusława Miedzińskiego: *Wspominając Sawinkowa*; W. Masłowskiego: *Polska Krajowa Kasa Pożyczkowa*; gen. Antoniego Szyllinga: *O Kampanii Wrześniowej*; Lucjana Szulkina: *O powstaniu i upadku „Ghetta podziemnego”*. Działy: WRZESIEŃ 1939, DOKUMENTY, OKRUCHY HISTORII, RECENZJE oraz LISTY I POLEMIKI.

Str. 240.

(Cena F. 25 (dol. 6,75))